

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 12/291

1971



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

Z. HAUPT : **WIĘZIEN Z ISLE OF ELY**

J. JURKSZUS-TOMASZEWSKA :

KONFRONTACJA DWU SAMOTNOŚCI

**EDWARD OCHAB W OPOZYCJI -
NOWE PROCESY POLITYCZNE**

SPIS RZECZY

Czesław Miłosz:	<i>Zapiskane wczesnym rankiem</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	4
Marcin Wyziembło:	<i>Historia w czasie teraźniejszym</i>	21
Zygmunt Haupt:	<i>Więzień z Isle of Ely</i>	27
Andrzej Brycht:	<i>Chmury</i>	35

WIERSZE

Andrzej Busza:	<i>Biała róża</i>	44
" "	<i>Czerwona Róża</i>	45
" "	<i>Les mains propres</i>	46
" "	<i>Przeigrana partia</i>	46
" "	<i>Wiosenne widzenie pani S.</i>	47
Andrzej Chciuk:	<i>Współczesna poezja australijska:</i> <i>K. Slessor „Biegunowości”, A. D. Hope „Australia”, B. Dawe „W nowym krajobrazie”</i>	48

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Refleksje i dygresje</i>	51
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	61

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	70
Józef Lewandowski:	<i>„68 Publishers Toronto”</i>	76

ZE ŚWIATA

Jadwiga Jurkszus-Tomaszewska:	<i>Konfrontacja dwu samotności</i>	77
-------------------------------	--	----

K R A J

Bogdan Mieczkowski:	<i>Szacunki zmian w płacach realnych w latach 60-tych</i>	93
—	<i>Edward Ochab w opozycji</i>	98
—	<i>Nowe procesy polityczne</i>	99
—	<i>Jeszcze o procesie „taterników”</i>	108

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

—	<i>Pan Premier w roli historyka</i>	111
---	---	-----

K S I A ̇ Z K I

M. Broński:	<i>Be-Be</i>	115
Franciszek Kalinowski:	<i>„Świt zwycięstwa”</i>	119
Andrzej Chciuk:	<i>W Polsce o Australii</i>	123
Józef Lewandowski:	<i>Ukraińsko-polskie stosunki w XIX w.</i>	126
—	<i>Nadstane nowości wydawnicze</i>	130



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	132
---	----------------------------------	-----



Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	141
--------------	----------------------------	-----



Z. Dubnowa-Erlichowa, M. Wyziembło, Zb. Jasiński, Al. Peczenik, Z. S. Siemaszko, ks. W. Sojka:	<i>Listy do Redakcji</i>	142
Redakcja:	<i>Odpowiedzi</i>	146



—	<i>Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1971</i>	148
---	--	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Grudzień-Décembre

1971

INSTITUT



LITERACKI

REDAKCJA „KULTURY” SKŁADA SWOIM
PRENUMERATOM I CZYTELNIKOM
NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE

WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

M. Czarnowas, Toronto, Ont. (Kanada)	F. 16,00
Czytelnik z Polski, po raz trzynasty	F. 66,00
T. Fabisz, Hindsa (Szwecja)	F. 50,00
E. Grek, Brossard, Que. (Kanada)	F. 40,00
Mieczysław Kowalski, Clifton, N.J. (USA), po raz drugi ..	F. 6,00
Dr Stanisław N. Korzeniowski, Riverdale, Ill. (USA), po raz dwudziesty	F. 275,00
S. Leszczyński, Toronto, Ont. (Kanada), po raz trzeci	F. 27,00
Nina Sereda, Montreal, Que. (Kanada), po raz trzydziesty dru- gi: „Zamiast kwiatów w Dzień Żaduszny na znane i nie- znane groby moich najbliższych zmarłych i zamordowanych przez Gestapo i NKWD”	F. 135,00
St. Stachelski, Johannesburg, po raz trzeci	F. 260,00
Prof. Alfred Tarski, Berkeley, Cal. (USA), po raz trzeci	F. 550,00
Towarzystwo Przyjaciół Kultury w Melbourne — dochód z rewii urządzonej przy udziale artystów teatru „Ogniwo”, po raz 3-ci	F. 509,92
Zamiast kwiatów na grób najbliższego nam Przyjaciela, Profe- sora Dr. Jana Swidy — przyjaciele z San Francisco	F. 110,00
Anonimowo z Pittsburgh, Pa. (USA)	F. 16,50
Bezimiennie z Nowego Jorku	F. 126,50

(D.c. wpłat na str. 160)

DZIĘKUJEMY!

PRZYPOMINAMY NASZYM CZYTELNIKOM
O ODNOWIENIU PRENUMERATY NA ROK 1972

Ceny prenumeraty *Kultury* znajdują się na wewnętrznej stronie okładki, przy nazwiskach przedstawicieli.

Prenumerata *Zeszytów Historycznych* opłacana razem z prenumeratą *Kultury* wynosi F. 35, dol. 6,00 lub równowartość.

Prenumeratorów przekazujących pieniądze z zagranicy pocztą prosimy o wpłacanie ich wprost na nasze konto pocztowe, gdyż inaczej koszty inkasa są bardzo wysokie. Należy wpłacać na:

INSTITUT LITTERAIRE
91, Av. de Poissy, Mesnil-le-Roi
par 78 - MAISONS-LAFFITTE
FRANCE.

Nr konta: PARIS C.C.P. 18 228 38.

Ponawiamy prośbę o przekazywanie zmian adresów bezpośrednio do Redakcji przed końcem miesiąca, tak aby następna wysyłka mogła być już adresowana prawidłowo. Przy każdej zmianie adresu prosimy przesyłać międzynarodowy kupon pocztowy na list — na koszty związane ze zmianą płytki adresowej.

DZIĘKUJEMY!

Zapisaane wczesnym rankiem

L'ACCÉLÉRATION DE L'HISTOIRE

Późno dla rodu ludzkiego.
Jedna za drugą milkną kassandry.

Nie płomieniami, trzaskaniem murów.
To zbliża się na łapkach kota.

Komentarz: Pesymisto! Więc znów kosmiczna zagłada?
Nie, bynajmniej. Boję się rąk za lud walczących,
które sam lud poobcina.

D A R

Dzień taki szczęśliwy.
Mgła opadła wcześniej, pracowałem w ogrodzie.
Kolibry przystawały nad kwiatem kaprifolium.
Nie było na ziemi rzeczy, którą chciałyby mieć.
Nie znałem nikogo, komu warto byłoby zazdrościć.
Co przydarzyło się złego, zapomniałem.
Nie wstydziłem się myśleć, że byłem kim jestem.
Nie czułem w ciele żadnego bólu.
Prostując się, widziałem niebieskie morze i żagle.

Dziennik pisany nocą

Neapol, 3 maja 1971

Chciałem pojechać na tegoroczną *Rassegna dei Teatri Stabili* do Florencji, żeby zobaczyć *Divadlo Za Branou*. Nie udało się. Nie udało się też, choć z innych względów, reżyserowi słynnego teatru praskiego: Krejczca, „skompromitowany” w roku 1968, musiał za karę zostać za bramą, przez którą przepuszczono do Włoch jego dwa przedstawienia, *Lorenzaccio* Musseta i *Iwanowa* Czechowa.

Ciągnął mnie głównie *Iwanow*. Jest to pierwszy bodaj utwór teatralny Czechowa, w czytaniu rozlazły i melodramatyczny. Nie wierzyłem że można go rzeczywiście z powodzeniem wystawić, że można i w nim pokazać wielkiego poetę półcieni, idącego spokojnie powolnym krokiem, z zamyślnym i smutnym uśmiechem na twarzy, wąziutką ścieżką między życiem i śmiercią, między męką bezsensu i gdzieś głęboko ukrytą nadzieją — a raczej potrzebą — sensu. Oczyszczona z melodramatyczności, opowieść sceniczna o życiu *Iwanowa* oparta jest na motywie, który często zastanawiał Czechowa: zderzenia przeciętności z tęsknotą do „podniebnych lotów”. *Iwanow* mówi o sobie: „Mnie się zdaje, że ja się podźwignąłem... Wziąłem na siebie taki ciężar, że grzbiet mi trzasnął. Kiedy mamy dwadzieścia lat, to wszyscyśmy bohaterowie, na wszystko się porywamy, wszystko potrafimy, a pod trzydziestkę już jesteśmy znużeni i do niczego niezdatni. Czym, czym wytłumaczyć, że się tak łatwo męczymy? A zresztą, może to co innego”. Na pewno co innego, jak widać z *Czarnego mniacha*, spowinowaconego z *Iwanowem* opowiadania Czechowa. „Podźwignął się” i Kowrin, „geniusz” nie zauważający życia tuż tuż, bo zapatrzony w Życie hen hen. Na wąziutkiej ścieżce

trzeba patrzeć pod nogi, czarny mnich (podobny, gdy się zbliża, do „huraganu lub trąby powietrznej”) jest jedną z postaci diabła.

Można, okazuje się, wystawić *Iwanowa*, co jest jeszcze jednym dowodem że nie umiem czytać tekstów teatralnych. Zatelefonował N., którego wysłano z Rzymu jako recenzenta na festiwal florencki: ołsniony przedstawieniami Krejczy, Czechowem bardziej nawet niż Mussetem. Przy okazji dowiedziałem się, że zespołowi Krejczy bez Krejczy towarzyszyli policjanci czescy w cywilu, ani na chwilę nie odstępując swych podopiecznych. Dowódca tej eskorty poprosił, za pośrednictwem kierownictwa festiwalu, o wyłączenie telefonów z numerów hotelowych zajmowanych przez aktorów i personel techniczny teatru *Za Branou*. Spełniono jego życzenie. Prasa włoska pominie prawdopodobnie rzecz milczeniem. Co komu do tego jakie są obyczaje przybyszów z egzotycznych krajów socjalistycznych? Egzotyizm jest tu słowem na miejscu, odbarwianym z każdym dniem gruntowniej z domieszki protestu czy tylko oburzenia. Nie zdajemy sobie w pełni sprawy jak dalece rosnąca banalność takich incydentów, kwitowanie ich obojętnym jeśli nie pobłażliwym wzruszeniem ramion, wyraża zgodę „wolnego świata” na wszystko co pochodzi „stamtąd”.

5 maja

W San Martino, muzeum historii Neapolu, wisi obraz *Episodi della peste del maggio 1656 al Largo Mercatello* pędzla Micco Spadaro (Domenico Gargiulo), malarza nie wybitnego wprawdzie lecz wrażliwego, i — co najważniejsze — świadka naocznego dżumy neapolitańskiej z roku 1656. Da się powiedzieć wiele dobrego o ścisłości i zwięźlej rzeczowości kronik pisanych, nie potrafią one jednak rywalizować z przekazami wizualnymi gdy chodzi o oddanie zgęszczonej i nieuchwytniej zarazem atmosfery grozy, owej szczególnej tonacji koszmaru która albo wymyka się słowom albo, częściej jeszcze, uwięziona w słowach odpowiada głuchym echem. Warto więc obraz Spadaro mieć wciąż przed oczami, czytając zapisy i relacje historyczne z okresu umierania Neapolu.

Largo Mercatello, dziś Piazza Dante, robi na obrazie Spadaro wrażenie ogromnej wyschniętej studni. Efekt uzyskany przez malarza dzięki podniesieniu jakby ku niebu kopuł, domów i wież, widocznych za nagimi murami placu. Mury placu są właśnie nagie, bez żadnych prawie zabudowań, co potęguje uczucie zagrożenia. Kiedy się na malowidło patrzy z daleka, uderza w nim podobieństwo do rycin przedstawiających piekło w starych wy-

daniach Dantego. W mrocznej czeluści kotłowisko ciał, małych, nic nie znaczących, udreńczonych, skazanych; ciemna sieć, ciężka od zaciągu śmierci.

Zbliżenie do płótna przypomina jego właściwy temat, *epizody* dżumy neapolitańskiej widziane w maju 1656 roku w różnych częściach miasta, a później przeniesione na wspólną scenę Largo Mercatello. Choć łatwo każdy epizod wyodrębnić, zobaczyć z osobna, wraca nieustannie wizja wciągającej i duszącej miazgi, na czym najbardziej pewnie zależało artyście: długo oglądając jego obraz, w końcu jak przez otwartą nagle zapadnię dosięgamy dna świata zbudowanego na rozpaczliwej nicości życia. Stosy trupów pod murami, na platformach furgonów, na porzuconych noszach, na ziemi; między nimi półżywe zjawy ludzkie, wlokące za ręce lub nogi świeżo umarłych; oto jakiś mężczyzna, z przewiazanymi chustą ustami i nosem, niesie małą trumienkę; oto inny na kłęczkach wyciąga ręce do góry, przebity krzykiem nie supliki lecz złorzeczenia; oto dwa ciała w ostatnim uścisku; oto dziecko, które ssie pierś martwej kobiety. I znowu, nawet nie odchylając już zbyt głowę, bezkształtna miazga, której jedynym wyrazem jest brak wszelkiego wyrazu. Inaczej, nie skrepowany dyktandem rzeczywistości, malował Orcagna swój *Trionfo della Morte*. Tam była przestroga, tu jest wyrok.

Dokładnie na środku Largo Mercatello znajduje się jądro obrazu. Nie znam podobizny Spadaro, ale przysięgłbym że to siebie samego sportretował w osobie ciemno ubranego młodzieńca, który ma jakby wyżarte płaczem oczy ślepca, a w rękach trzyma przechylony dzban; obok niego zgięty w pałak mężczyzna pije z tego dzbana wodę. Jest to symboliczny skrót pragnienia. Pragnienia czego?

Kroniki wahają się w szacunku zmarłych na dżumę od trzystu do czterystu tysięcy, przy około półmilionowej ludności jednego z największych podówczas miast Europy. Za źródło zarazy uważano powszechnie „trujące proszki”, rozsiewane przez „wrogów Neapolu”, wcale niekoniecznie cudzoziemców. Sprawców widziano wszędzie, wystarczyło pozbyć się odруchowo na ulicy jakichś odpadków, otrzepać z kurzu ubranie, by tłum dokonywał bez litości samosądu na „siewcy”. Prawdę mówiąc, kroniki dają obraz dwóch dżum: rzeczywistej i psychicznej. Im nieumiejętniej zwalczano pierwszą, tym groźniejsze spustoszenie szczyła druga. W kościołach odprawiano nabożeństwa, mnożyły się procesje błagalne, pobrzękiwały bronią dzienne i nocne patrole gwardii wicekrólewskich, ale nic nie powstrzymywało stopniowej agonii praw boskich i ludzkich. „Mający umrzeć — notuje kronikarz — skakali sobie wzajem do gardeł”.

W aktach pewnej konfraternii religijnej natrafiłem na relację

o dwudziestopięcioletnim handlarzu starzyzną, Agostino Lanzaolo. 29 maja został ujęty przez gwardie jako jedyny z „groźnej cizby”, która na strzepy rozszarpała starą przekupkę podejrzaną o *seminazione delle polvere velenose*. Nazajutrz rano poprowadzono go na Piazza Mercato, gdzie stała szubienica. Odmówił przystąpienia do spowiedzi, nie chciał uklęknąć przed ołtarzem, odepchnął od siebie krucyfiks podany przez kapelana z konfraternii. Zachowywał się butnie, ponaglał kata, powtarzał wciąż z „diabelskim uporem”: *voglio morire, andiamo presto alla morte*. Kapelan, wyprosiwszy przesunięcie egzekucji, pobiegł po pomocników do konfraternii. Przyszło ich czterech, zaklinali, modlili się, płakali, rozpalili nawet ognisko „by mu żywo uzmysłowić męki piekielne”; bez skutku. Pod wieczór, gdy niepodobna było już dłużej odkładać egzekucji, urzędnik dał znak. Agostino zaśmiał się głośno, wszedł śmiało na szafot, i ledwie mu rozwiązano ręce, sam sięgnął po pętlę „by ją sobie na szyję założyć”. Nagle stało się coś, co relacja braciszków określa jako „widomą interwencję nieba”: spojrzął na milczący tłum na Piazza Mercato, przyglądał mu się w takim skupieniu i z „takim na zbiełałym licu cierpieniem”, że wszyscy dokoła zastygli. I zażądał spowiedzi. Czasu było mało, więc wypowiedział się szybko, „płacząc jednak obficie i powielokroć bijąc się w piersi”. Płakano też i bito się w piersi w tłumie, a wieszanego wkrótce potem żegnano okrzykami *gaudio universale*.

Ciekawe, że relacja w aktach konfraternii kończy się zdaniem: „I było to tak jakoby miastu na krzyżu rozpiętemu, złaknionemu bardziej jeszcze prawdy niż wybawienia z pestylen-cji, przytknięto do spieczonych i stwardniałych warg naczynie z wodą”.

9 maja

Wracam z kolacji u kogoś wysoko tu postawionego (i rozumnego). Większość gości rozjechała się wcześniej, zostało nas w końcu tylko parę osób. Gospodarz był w dobrym humorze, zaczął sam rozmowę o watykańskiej *apertura all'Est*, którą ktoś z obecnych nazwał watykańską *Ostpolitik*. Gospodarz, admira-tor Brandta, przyjął tę poprawkę z kwaśnym uśmiechem. Po czym opowiedział swoją niedawną rozmowę (jeśli można ją nazwać rozmową) z pewnym watykańskim monsignorem, głównym właścicielem „otwieraczem”, którego usiłował przekonać że operacja wymaga wielkiej ostrożności. Monsignor słuchał go bez słowa, nie z uwagą, choćby podszytą sprzeciwem, lecz ze słodkawo-ironicznym wyrazem twarzy. Miało to zapewne oznaczać: „Nie nas o ta-

kich rzeczach pouczać, nie nas spadkobierców świetnych tradycji dyplomacji watykańskiej”. Ten słodkawo-ironiczny grymas sportyka się nawet u pomniejszych księży rzymskich, ilekroć tematem rozmowy staje się magiczna *apertura*. Mało komu w obrębie władania kluczy piotrowych przychodzi do głowy, że bywają „otwarcia” przez które i Duchowi Świętemu dość trudno jest się bez szkody dla siebie precyzyjnie w dyplomatycznym wcieleniu.

Zrewanżowałem się Gospodarzowi historyjką, jaka przydarzyła się zaraz po wojnie w Watykanie niezyczącemu już profesorowi Władysławowi Folkierskiemu. Folkierski był wówczas ministrem WRiOP rządu londyńskiego, a misję rzymską powierzono mu dlatego, że rozeszła się wiadomość o zamiarze Piusa XII wysłania do Warszawy delegata apostolskiego. Miał ostrzec papieża na audiencji specjalnej, że *la cattolicissima e fedelissima nazione polacca* zrozumie ten gest jako pośrednie uznanie nowego porządku rzeczy w Polsce. „Nie o Polskę tu chodzi, mój synu — odrzekł Pius XII, — ale o Rosję. Chcielibyśmy nawiązać stosunki z Rosją, cóż kiedy Rosja nie chce”. Folkierski, człowiek bardzo religijny, złożył pobożnie ręce i podniósł wzrok ku górze: „Opatrzności Boskiej niech będą dzięki, że przynajmniej Rosja nie chce”.

Opowiedział mi to w Lozannie w roku 1948 sam Folkierski. Jego wersję potwierdził później co do słowa obecny na audiencji tłumacz.

11 maja

Wyszła tu dobrze udokumentowana książka Grazziniego o Sołżenicynie. Recenzuje ją dziś Eugenio Montale.

Znakomity poeta zadaje sobie pytanie czy Sołżenicyn słusznie postąpił, rezygnując z wyjazdu z Rosji „noblowską” furtką. I odpowiada, że tak: „Nie widzę w Sołżenicynie materiału na emigranta i wielkiego kosmopolitę. Nie wyobrażam go sobie przy pisarskim biurku na Via Sistina”. Mowa naturalnie o kamienicy na Via Sistina 126 (dawnej Strada Felice). Duża tablica na wysokości pierwszego piętra, z popiersiem w płaskorzeźbie u góry i wieńcem laurowym u dołu, głosi po rosyjsku że: „Tu mieszkał w latach 1838-1842 Nikołaj Wasiljewicz Gogol. Tu napisał *Martwe dusze*”.

Była to dla Gogola rzeczywiście Ulica Szczęśliwa. Tomy zapisano o tym jak wspaniale czuł się w Rzymie, w jakiej żył nieustannej euforii, jak codziennie odnajdywał w swoich spacerach rzymskich coś nowego i godnego podziwu, jak kochał Włochów i „ten swoisty srebrzysty refleks który ukazuje się często na niebie i na chmurkach”, z jaką rozkoszą jadał w starych gospodach

Pod Zajęcem i Pod Sokołem, lub przesiadywał godzinami w Café Greco (do przebywającego wtedy w Rzymie malarza Iwanowa, z którym się przyjaźnił, pisywał kartki zaadresowane po włosku: *Al Signor Alessandro Ivanov, Pittore russo celeberrimo, Roma, Via Condotti, Café Greco*). W jego własnych listach nie mniej jest śladów tego szczęśliwego okresu. „Jeśli istnieje na świecie kraj, w którym zapomina się o cierpieniach, bólach, śmierciach i własnej niemocy, jest nim Rzym. Co by ze mną było w innym miejscu?”. „Włochy są moje! Nikt mi ich nie odbierze. Urodziłem się tutaj. Rosja, Petersburg, śnieg, szubrawcy, katedra, teatr — wszystko to był sen. Obudziłem się na nowo w mojej ojczyźnie”. „Nie ma życia dla pięknych dusz w Rosji, na powierzchni utrzymują się tylko świnię”. „Jestem wesoły. Moja dusza jest jasna. Pracuję i ze wszystkich sił staram się doprowadzić szybko do końca moje dzieło. Życia, życia, jeszcze trochę życia!”. Kiedy Annienkow, który codziennie po południu przy zaciągniętych roletach przepisywał mu na czysto pod dyktando nowy rozdział *Martwych dusz*, nie umiał lub nie chciał ukryć swego zachwyty i wykrzykiwał: „Uważam ten rozdział za genialny, Nikołaju Wasiljewiczu!”, Gogol odpowiadał cieniutkim, ledwie dostłyszalnym głosem: „Niech mi pan wierzy, Pawle Wasiljewiczu, także inne nie są gorsze”. I zaraz potem, podniecony i rozpromieniony, wyciągał swego kopistę na spacer by uciszyć bijące z dumy serce.

A jednak? A jednak był też inny Gogol, którego tak opisuje Daria Borghese (Ołsufiewa) w książce *Gogol a Roma*: „Zaczęła go już wówczas męczyć bezsenność. Często siedział całą noc na wąskiej kozetce, obawiając się zemdenia, albo gorzej jeszcze — napełniającego łękiem uczucia letargu, które go co jakiś czas nawiedzało. O świecie zdzierał z łóżka prześcieradła by Nanna, służąca państwa Celli, nie dowiedziała się jak dziwnie spędza noce Signor Niccoló”.

Signor Niccoló.

15 maja

„Ekscelencjo, czuję że to jest moment zadeklarowania wiary żywionej w milczeniu. Jeśli Ekscelencja uważa mnie za godnego wstąpienia do Narodowej Partii Faszystowskiej, będę sobie poczytywał za najwyższy zaszczyt miejsce najpokorniejszego i najposłusznieszego sługi w jej szeregach”.

Depeszę tej treści wysłał Pirandello do Mussoliniego we wrześniu 1924 roku, w trzy miesiące po zabójstwie Matteottiego. Przepisuje ją z książeczki Gianfranco Vené *Pirandello fascista*.

Pirandello faszysta? Z jego wizją życia, historii, wieloznacznej egzystencji ludzkiej? W *Sześciu postaciach scenicznych w poszukiwaniu autora* ojciec powiada: „Každy z nas myśli że jest taki a nie inny, ale to nieprawda. Uprzymiarniamy to sobie dobrze, gdy w jakimkolwiek z naszych postępów, przez nieszczęsny przypadek, zostajemy jakby zaczepieni lub zawieszani; uprzymiarniamy sobie że nie jesteśmy całkowicie w tym postępku, że więc byłoby okrutną niesprawiedliwością sądzić nas tylko po nim”. Gombrowicz, o którego pokrewieństwach z wielkim dramaturgiem i nowelistą włoskim mówi się stanowczo za mało, wysłałby podobną depeşe do Ekscelencji w Warszawie gdyby koniec wojny zastał go w kraju? Tak właśnie należy rozumieć jego listy do Iwaszkiewicza, drukowane w swoim czasie w *Twórczości*? Jako przypadkowy postępek, po którym nie wolno go sądzić?

W moim przekonaniu Pirandello zgłosił natychmiast formalny akces do faszyzmu, żeby mu dano spokój, żeby mu nie przeszkadzano pisać, skoro i tak ambicje i uroszczenia wszelkich ustrojów politycznych były dlań nie więcej niż dziecinna fanfaronada. Faszyści, chętnie przyjąwszy ten akces, odnosili się do „najpokorniejszego sługi” z nieufnością, traktowali go jak „obce ciało”, jak enigmatycznego i nieobliczalnego karmazyna, wartego taryfy specjalnej dla splendoru nazwiska. To pewne że nie był kandydatem na tradycyjnego włoskiego (a zresztą czy tylko włoskiego?) literata dworskiego¹.

Smętne natomiast refleksje o dworskiej uległości literatury poddanej naciskom z góry, przyuczanej do karnego stania w oryndku musztrą „zamówień” i „wytycznych”, nasuwa to co wiem o większości pisarzy w okresie faszyzmu we Włoszech. E. Z. zamierzał kiedyś przygotować antologię świństw, jakie pod panowaniem różg liktorskich wypisywali honoratorzy (ulubiony termin Jerzego Stempowskiego) włoskiego słowa drukowanego, uchodzący obecnie za ozdobę intelektualnej lewicy i to przeważnie skrajnej. Wycofał się w końcu z tego przedsięwzięcia, bojąc się że go w jakimś ciemnym rzymskim zaułku zakatrupią koledzy

1. W przedmowie do *Novelle per un anno* Corrado Alvaro wspomina jak w dniu śmierci Pirandella, 10 grudnia 1936, syn pisarza Stefano odczytał zebrany jego testament: autor *Sześciu postaci* żądał by go wywieziono z domu na karawanie ubogich, by nikt nie szedł za trumną, by spalono jego zwłoki i albo rozsypano popioły z wiatrem, albo zamknięte w urnie złożono w rodzinnej *Villa del Caos* pod Agrygentem. Wyśłannik Mussoliniego zbladł i mruknął: „Wyniósł się na tamten świat, trzasnąwszy drzwiami”. *Duce*, na wiadomość o ostatniej woli zmarłego, bił długo pięścią w stół w *Palazzo Venezia*; wyobrażał sobie inaczej „swego” laureata Nobla na marach: w czarnej koszuli na trójkolorowym katafalku, z legitymacją partyjną w splecionych dłoniach.

po piórze, ale pozwolił mi raz zajrzeć do swego archiwum. Czegoż i kogóż tam nie było! Jakie cymelia nikczemności i obrzydliwości!

20 maja

Idąc do kiosku po poranne gazety, natknąłem się na pogrzeb. Okazało się że to pogrzeb doktora M., którego przelotnie znałem. Wypadało, zgodnie z tutejszymi obyczajami, odprowadzić zmarłego do zakrętu ulicy.

Dawno temu, po osiedleniu się w Neapolu, pisałem że „pogrzeby przypominają tu spieszne orszaki, zmarłych oplakuje się szybko i obficie, a cmentarze nie należą do miejsc często odwiedzanych”. Niezupełnie to ściśle, zwłaszcza jeśli chodzi o cmentarze. W słoneczne niedziele na Poggioreale roi się od ludzi, wygląda to czasem jak ogromny piknik. Nic na pozór nie wskazuje by Neapolitańczycy słuchali swego filozofa Crocego, który wraz z Goethem wołał: „Precz z grobów!” i zalecał: „Nie myślcie o śmierci; śmierć nie jest problemem, jak nie jest problemem cień wobec światła”.

Na pozór. Bo w rzeczywistości „cień” i „światło” przenikają się tu wciąż nawzajem, tworzą przedziwną mieszaninę, której po tylu latach pobytu w Neapolu nie jestem w stanie uchwycić. Prawda, ból i oplakiwanie zmarłych trwają krótko, nieporównanie krócej niż niema i skamieniała żałoba, jaką widuje się na cmentarzach północy. Ale na Poggioreale, w atmosferze prawie pikniku wiosennego, bywa i tak że żałobnicy wyciągają ze starych i półotwartych grobów kości, by je na przemian czyścić i całować. W katakumbach kościoła *Santa Maria della Sanità* przechowywane są resztki zmarłych na dżumę, oczywiście anonimowe: sporo Neapolitańczyków posiada tam swoje zamykane na kluczyk gablotki szklane, prywatne *ossaria*, z adorowanymi kośćmi w środku. Kto zna Sycylię, mógłby sobie to skojarzyć z sycylijskimi łakociami dla dzieci w kształcie czaszek i piszczeli. Rzecz jednak nie w tym, Sycylijczycy słyną ze swej obsesji śmierci, gdy w wypadku Neapolitańczyków chciałoby się raczej mówić o niezwykłym, wcale nie posępnym, spoufaleniu ze śmiercią. Co tkwi w źródła tej poufałości i zażyłości? Realny, dotykalny instynkt komunii, zastępujący wiarę w zmartwychwstanie?

W roku 1952, podczas podróży do Burmy i Indii, zaprowadzono mnie w Kalkucie do świątyni bogini Kali. W pobliżu, za niskim murkiem, znajdowało się otwarte krematorium. Pionowe smugi dymów, rozchwiane słupy w drgającym od upału powietrzu, unosiły się ku niebu z dołków różnej wielkości, w których

krewni zmarłych obkładali zwłoki wiązankami drzewa i chrustu. W kilku wgłębieniach białały już tylko garstki popiołu, ale w wielu sterczały jeszcze spomiędzy tłących się gałęzi niedopalone ręce i nogi. Ludzie wchodzili i wychodzili z krematorium tak obojętnie, jak gdyby brali udział w pogodnym obrzędzie ludowym. Takie samo krematorium Moravia widział w dziesięć lat później w Benares i opisał je w książce *Un'idea dell'India*. Jego komentarz: „Ta stoicka obojętność nie pochodzi z braku wrażliwości, lecz jest produktem religii która śmierć uważa za zwykłą zmianę szaty czy powłoki... Śmierć w Europie jest sprawą retoryczną i ponurą, maskującą antyczny strach uroczystą nudą. Śmierć w Indiach jest lekka, prosta, filozoficzna, pogodna i pozbawiona znaczenia, jaka była może w starożytnej Grecji”.

Śmierć w Neapolu nie jest ani śmiercią w Europie, ani śmiercią w Indiach. Chyba czymś pośrednim. W każdym razie cień i światło towarzyszą tu sobie jak w zegarze słonecznym.

26 maja

Aktualizacja legendy o Wielkim Inkwizytorze, którą Iwan Karamazow skomponował i opowiedział Alioszy, wymaga przestawienia akcentów. Groźny starzec z Sewilli oznajmia milczącemu Chrystusowi, że w ciągu piętnastu stuleci kościół „poprawił” Jego naukę. „Wszystko zleciłeś papieżowi, a więc wszystko jest teraz w mocy papieża, a Ty lepiej wcale nie przychodź, nie przeszkadzaj, przynajmniej do czasu”. Ludzie są przeświadczeni o swojej wolności, a tymczasem oni sami ofiarowali tę swoją wolność kościołowi, potulnie złożyli ją u jego stóp. Człowiek urodził się buntownikiem, a czy buntownik może być szczęśliwy? Najbardziej zatem męczący i nieustanny frasunek człowieka jest taki: mając wolność, szukać czym prędzej kogoś, przed kim można się pokłonić, lecz pokłonić się chce człowiek przed niewątpliwym i razem ze wszystkimi innymi. I oto szuka tego, komu mógłby oddać dar wolności; bo z darem wolności się rodzi, nie wiedząc jednak co z nim robić. Zbyt wysokie, Chrystusie, miałeś mniemanie o człowieku: jest niewolnikiem, chociaż się buntuje. Przyśięgam Ci, człowiek jest słabszy i nikczemniejszy, niż myślałeś! Wolność sumienia: cóż bardziej ponętnej i bardziej zarazem męczącej! „Istnieją trzy siły, tylko trzy siły na ziemi, które mogą na wieki zniewolić i zjednać sumienia tych słabych buntowników dla ich własnego szczęścia. Te siły — to cud, tajemnica i autorytet”.

Przestawienie akcentów polega na tym: cud i tajemnica odchodzą na dalszy plan, ustępując pierwszeństwa autorytetowi. To

jest ostatni szaniec obrony kościoła instytucjonalnego, jedyne jaki interesuje Wielkiego Inkwizytora. Niechęć do liberalizmu, do demokracji *tout court*, tłumaczy „mieszane uczucia” kościoła wobec „wolnego świata”. Tęskni do rozmówców (czy partnerów), którzy jak on cenią wysoko Autorytet. Zdaje się marzyć o przywróceniu zachwianej równowagi Autorytetu w nowym „konstantynizmie”, zdolnym ująć w karby „niewolnika który się buntuje”. W „konstantynizmie” dzielonym z kim?

Zdumiewającą, genialną cechą „poematu” Iwana Karamazowa jest jego obosieczność. Mowa niby o kościele, a jednocześnie w tyradzie starca z Sewilli słychać głos rewolucjonisty Szigalewa, protoplasty bolszewizmu, teoretyka „absolutnej niewoli wysnutej z założeń absolutnej wolności”.

Jakaś przyszła, poprawiona wersja legendy Dostojewskiego mogłaby wyglądać i tak: przychodzi znowu na ziemię On, żeby „przeszkadzać”; purpurat-spadkobierca Wielkiego Inkwizytora nie każe Go już sam wtrącić do lochu, lecz zwraca się z prośbą o interwencję do Władcy; tym Władcą na straży Autorytetu będzie — czemu nie? — jeden z uczniów Szigalewa.

29 maja

Piszą mi z Ameryki, że ewangelią kampusów uniwersyteckich stały się ostatnio *Zapiski iz podpolja* Dostojewskiego.

Zjawisko zasługuje na coś więcej, niż zniecierpliwione machnięcie ręką. Jeżeli się *Notatki z podziemia* czyta bez informacji o okolicznościach ich wydania, to z książki pozostaje tylko manifest „nihilistycznego rozwydrzenia”, pochwała „kaprysu irracjonalnego” i *acte gratuit*, wycie szakala przeciw Kryształowemu Pałacowi: czyli jak ułał pożywka dla rycerzy „kontestacji globalnej”. Ale czy studenci amerykańscy wiedzą, że cenzor carski skreślił końcowy rozdział o nawróceniu „okropnego nihilisty”, że — jak wyjaśnia Przybylski w *Dostojewskim i przeklętych problemach* — *Notatki z podziemia* „miały być o utworze o czuwaniu łaski uświęcającej nad obmierzłym i wstrętnym człowiekiem”? Zamierzona przez pisarza „demaskacja obrzydliwości tragicznej” człowieka z podziemia przeobraziła się, za sprawą cenzury, w afirmację jego obrzydliwości wyzywającej i triumfującej. Takie bywają losy książek: cenzorowi carskiemu zależało prawdopodobnie na poniżeniu aż do dna piekiel, bez widoków odkupienia, „rosyjskiej gnidy”; dziś amerykańscy młodzieńcy znajdują w tym poniżeniu smak zakazanego owocu z drzewa rajskiego.

Ze niedocieczone zaiste bywają drogi literatury, powinien

pamiętać każdy szanujący siebie i czytelników pisarz, zanim ugnie się przed „siłą wyższą” nozyc cenzorskich. Przeczytałem niedawno w manuskrypcie nową powieść A., teraz słyszę że autor zgodził się na „oczyszczenie” swego *opus magnum*. Nie wiem jak daleko pójdą te cięcia, skróty i poprawki, ani nawet czy po ich przeprowadzeniu powieść ukaże się w końcu na upragnionych półkach księgarskich, nie jest jednak wykluczone że rzecz o kilku wymiarach dotrze do rąk czytelników w mdłym i jednowymiarowym splaszczeniu.

Maisons-Laffitte, 4 czerwca

Widzę przeglądając prasę krajową, że spod ochrony łowieckiej został wyjęty Tadeusz Breza: z przekazem odezwali się o nim kolejno Maciąg, Krzeczkowski, Kisiel. Dewaluację zainicjował Maciąg, prezentując Brezę jako pisarza który „kapitulował przed każdorazowym, rozumnym w jego mniemaniu tłumaczeniem historii”, „lekką stopą przeszedł przez swoją epokę”, „zręcznie i mądrze omijał burze katastrofalne dla innych”. Krzeczkowski klasnął w dłoń: „Dawno już nie zdarzyło się, by któryś z członków naszego literackiego *establishmentu* powiedział głośno co naprawdę myśli”. Niewiele trzeba w Polsce do wywołania oklasków.

Breza zaliczany będzie w sumiennej historii naszej powojennej literatury do kategorii pisarzy, których pozycja pozostawała przez długie lata w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do ich rzeczywistej wartości. Miał duszę na wpół zawodowego urzędnika, „świadomego (jak to się mówi) ciężącej na nim odpowiedzialności”, a na wpół przymilnego i wечно wystraszonego kleryka. Zjedliśmy razem kolację w rzymskiej knajpcie nazajutrz po „przełomie październikowym”, był wówczas radcą kulturalno-prasowym ambasady PRL przy Kwirynale ze szczególnym poruczeniem dziurki od klucza w Spizowej Bramie. Rozmowa szła topornie, miałem okazję podziwiać z bliska jego „lekką stopę” oraz sztukę „zręcznego i mądrego omijania burz które łamały innych”. Pamiętam, że w pewnym momencie powiedziałem coś ostrego o Bierucie. Obejrzał się na wszystkie strony i wyszeptał z nutką paniki w głosie: „Nie poruszajmy tematów, które mogą nas poróżnić”. Takim tematem był wtedy dla niego jeszcze Bierut: typowa reakcja urzędnika, który nie zdążył na poczekaniu odwyknąć od wiszącego długa w biurze Portretu. Rosję nazywał wciąż, z bojaźliwą rewerencją, Wielkim Niedźwiedziem. Ale miżerna resztką próżności dyplomaty kazała mu tak podcieniowywać to określenie, bym przecież zrozumiał że i on dorzuca swoje

trzy grosze do trudnej umiejętności PRL wywijania się kosmatym łapom ze zbyt miążdżącego uścisku braterskiego.

Trochę rozdrażniony wspominałem mimochodem, choć nie miałem początkowo tego zamiaru, jego mało znaną książeczkę dla młodzieży *W potrzasku* (coś w rodzaju *Ucieczki Felka Okonia*). Spojrzał na mnie z wyrzutem, po czym utkwiał wzrok w suficie. W parę lat później zapewniano mnie, że Październik ocalił go od większego blamażu: przerwał mu mianowicie pracę nad monumentalnym *Potrząskiem* dla dorosłych; czasy się zmieniły, dla dorosłych pisano już poematy i to jakie. Plotka czy nie, takie były dramaty licznych pisarzy polskich w okresie kryzysu „rozumnego tłumaczenia historii”.

6 czerwca

Z okazji śmierci Lukacsa w dzisiejszym *Corriere* Enzo Bettiza relacjonuje swoją wizytę u niego w roku 1966. Lukacs: „Wszystko jest obecnie dozwolone na Węgrzech, wszystko z wyjątkiem Lukacsa. *Aber, bitte, schreiben Sie das nicht!*”. Dekadent w młodości, stalinista w wieku dojrzałym, „rewizjonista” na starość; geniusz kompromisu między herezją i ortodoksją. Niezłą tego próbkę dał krótko przed śmiercią, pasując Sołżenicyna (w nudnym i belferskim eseju) na autentycznego — nareszcie! — przedstawiciela „realizmu socjalistycznego”. Tylko w tak uczonej głowie mogły się rodzić tak piramidalne głupstwa.

Jest do napisania powieść o rozmaitych wcieleniach Naphty z *Czarodziejskiej góry*. Zamykałaby ją scena w której osiemdziesięcioletni starzec, skazany na wygnanie we własnym kraju, koryzysta ze sposobności wygadania się przed dziennikarzem zagranicznym; w dialektycznych wygibasach chwali ustrój którego jest wygnańcem, domaga się jedynie szeregu „korektur”; wyliczając je, zerka od czasu do czasu na gościa i mruczy pod nosem *aber, bitte, schreiben Sie das nicht!*

13 czerwca

Na herbacie u T. bardzo ciekawe i znamienne spostrzeżenie S. Dopóki siedzieliśmy w Polsce (mówił) i słuchało bez przerwy z publicznych ambon o „reakcjonistach zachodnich”, wolno było po cichu przypuszczać że nie będzie trudne znalezienie z nimi wspólnego języka. Otóż byliśmy w błędzie. Gdy się dłużej prze-

bywa tutaj, wychodzi na jaw że dla „reakcjonistów zachodnich” to my właśnie z krajów komunistycznych jesteście czystej krwi „reakcjonistami”. Stąd wniosek: naprawdę swobodnie rozmawia się tam, z przyjaciółmi którzy to samo *wiedzą*.

20 czerwca

Na wystawie Rouault przypomniało mi się to, co pisałem w moim dzienniku (po przeczytaniu *Zycia Jezusa* Hegla i *Listu do duchownego* Simone Weil) o przeciwstawnych wątkach Zmartwychwstania i Męki. Rouault jest naturalnie malarzem Męki, sporo przemawia za tym że podobał się Simone Weil. Zagadkowe, niejasne uczucia i asocjacje nasuwa oglądanie jego swoistego moralitetu średniowiecznego. Odkupiciel przerażony Dziełem Stworzenia: kto tak o Nim powiedział? Albo uwaga z młodzieńczych *Carnets* Camusa: „To dlatego że pozazdrościł nam naszego cierpienia, Bóg umarł na krzyżu. To dziwne spojrzenie, które nie było jeszcze Jego własne”. Że nie było jeszcze Jego własne, widać po opuszczonych ołowianych powiekach, które w *La Sainte Face* lubił malować Rouault. W końcu wszystko się na siebie nakłada, zlewa się w jedną straszliwie ciężką całość: *Le clown béni* jest Chrystusem zdjętym z krzyża, Jego twarz mają również *Trois juges*.

Był malarz, który podniósłszy Jego ołowiane powieki, odsłoniwszy Jego własne wreszcie spojrzenie, połączył w cudowny sposób Mękę ze Zmartwychwstaniem. Piero della Francesca.

Pamiętam dobrze, choć to było przed laty. Przyjechałem rano, w letni upalny dzień, do Monterchi pod Arezzo. W wiosce odbywał się targ, strzelano już z moździerzików, pito wino, kręciła się karuzela, jakiś wędrowny pajac jarmarczny pokazywał sztuki na rozłożonym między straganami dywaniku. W kaplicy cmentarnej *Madonna del Parto*, najbardziej ludzka i ziemiska Madonna jaką w życiu widziałem: ciężarna chłopka, w rozpiętej na dużym brzuchu sukni, o twarzy w której maluje się wzbieranie bólu. W południe (bo to blisko) dotarłem do Borgo Sansepolcro. Takiego Zmartwychwstania nikt nigdy nie namalował: prawie dzika twarz, ogromne oczy triumfatora i pokonanego, króla w glorii i śmiertelnie zranionego błazna.

Tyle już o tym pisano (m.in. Herbert), ale wracając z Sansepolcro do Monterchi nie można nie myśleć, że tędy chadzał na starość ślepy Piero prowadzony za rękę przez małego chłopca. Zresztą Chrystus na krzyżu z *Polittico della Misericordia*, w tymże Borgo Sansepolcro, jest jak gdyby ślepym starcem. Ma opuszczone, ołowiane powieki.

27 czerwca

Naród, narodem, narodowi, narodu: słowo-alibi, słowo-plaster, słowo-zastrzyk usmierający i usypiający. Robi karierę, nie schodzi z ust rządzących i rządzonych. Od kiedy? Od roku 1968? Nie, raczej od przewrotu pałacowego Gierka. Rządzący wynoszą pod niebiosa „zwarłe narodowo państwo”, mrugając porozumiewawczo do rządzonych. Rządzeni wyzywają się w narodowym muzealnictwie, w odkopywaniu przeszłości i tradycji historycznych spod złów milczenia, w buncie korzeni przeciw papierowym kwiatom. Na oko, zważywszy sytuację, cóż w tym złego? W rzeczywistości, przy biciu w bębny narodowe, odbywa się klasyczna mistyfikacja totalitarna. Celebrowanie narodu dobija myśl o społeczeństwie, w zwodniczym ciepełku narodowym rozłazi się do reszty świadomość społeczna, Centrali (zmierzającej do sowietyzacji a nie rusyfikacji) w to graj, że wtłoczone w korporacyjne przegrody społeczeństwo daje się przestawić na boczny tor kompensacyjny ideologii kustoszów. „Można teraz żyć — powiadają przyjezdni z kraju, — pod warunkiem że się nie wychodzi z domu”. Uderzająca analogia: w okresie faszyzmu włoskiego, gdy do szczytu dochodziła egzaltacja *italianità* (tutejszy odpowiednik „polskości”), ucieczką antyfaszystów była formuła *si è rinchiuso in casa*, „zamknął się w domu”.

Marina del Cantone, 5 lipca

Bardzo wczesnie obudził mnie lizaniem i poszczekiwaniami nasz piesek. Podrzucono go nam kilka tygodni temu na podwórko, małego jak kłębek wełny, zabiedzonego, zapchlonego, pokrytego wrzodami. Po tygodniu już uczeplił się życia z całą zjadłością swej półmyśliwskiej rasy.

Dałem mu jeść i zabrałem go na skały. Wschodzące słońce podgrzewało przód skał, ułożył się więc wygodnie w jednym z załomów. Daleko w kierunku Capri łuszczyła się jeszcze poranna mgła, ale w zatoczce Cantone morze było gładkie i czyste jak arkusz cynfolii, cichym i równomiernym poślizgiem obmywało kamienistą plażę. Zapóźnieni rybacy nocni wyciągali z łodzi sieci, wytrząsając z nich więcej alg i krzewów niż ryb: od lat morze jest tu zatrute, a reszty dzieła zniszczenia rybostanu dokonuje kłusownictwo z użyciem petard i bomb chałupniczego wyrobu. Z małego klasztoru na szczycie San Costanzo wytrysnął storczyk dymu.

Zasnął przywarto na płask do skały, łeb wcisnąwszy między łapy, szybko jednak przewrócił się na grzbiet. Śniło mu się coś,

przebierał w powietrzu łapami jakby w odruchu samoobrony, niekiedy wydawał dźwięk podobny ni to do kaszlu ni do skowytu. Sny zwierząt były niegdyś dowodem koronnym że posiadają duszę, sprawa nie wydawała się bezsporna i prosta. Pod koniec zeszłego stulecia wybrał się do papieża Lord Russell (bodaj czy nie ojciec filozofa), by go skłonić do próby zmiętygowania włoskiego okrucieństwa wobec zwierząt. „Zwierzęta nie mają duszy” — odparł jakoby papież, spadkobierca tradycji Świętego Franciszka. I właśnie wtedy padł argument o snach zwierząt, z jakim skutkiem niech osądzi każdy kto na włoskich szosach widział dziesiątki zabitych psów, lub słyszał o bestialskich (?) polowaniach na koty na Zatybrzu i o niewiarygodnej wprost masakrze ptactwa w dniu otwarcia sezonu łowieckiego we Włoszech. Dwie najświeższe wiadomości dla wątpiących o duszy zwierząt. Przebiły strzałą jakiegoś dzikusa bocian w wiedeńskim Praterze, który przez szereg dni, ciężko bijąc osłabionymi skrzydłami, przyfruwał do gniazda z pokarmem dla swoich małych. W Marsa Matruh, dobrze znanym żołnierzom Brygady Karpackiej, popełnił samobójstwo jedyny koń Beduina po śmierci swego pana: podczas choroby Beduina stróżował koło namiotu odmawiając żarcia, natychmiast po pochówku wbiegł na wierzchołek stromego wzgórza i skoczył w przepaść. Sny snami, ale samobójstwo!

W latach wojny, na pustyni irackiej, do rejonu zakwaterowania naszej baterii przyniesiono ledwo urodzonego szczeniaka, przypuszczalnie podrzutka z sąsiedniej osady arabskiej. Nie wiadomo było jak go karmić, aż wpadłem na pomysł przerobienia nakłutej prezerwatywy na smoczek, który napełnialiśmy rozcieńczonym słodkim mlekiem skondensowanym. Ja też, wprowadziwszy tym sposobem szczeniaka już od pieluszek na drogę życia świadomego, nadałem mu imię Żulik. Był uroczym pieskiem, rozpieszczaną przez wszystkich żołnierzy maskotą baterii. W Egipcie zabroniono nam go wziąć na statek idący do Włoch: jak oszalały kołował po oddalającym się nadbrzeżu portowym. W parę miesięcy później zjawiał się w naszej baterii na przedpolach Monte Cassino. Po kampanii włoskiej odkomenderowano mnie do Rzymu; odtąd ojcował Żulikowi niepodzielnie plutonowy P., który zdaje się wyjechał z nim w końcu do Polski. Wyniosłem z wojny tylko dwie pamiątkowe fotografie: Żulika na masce „łazika” i Sosnkowskiego dekorującego mnie w Anconie. Obie straciłem w jakiejś karczemnej burdzie, piło się wtedy w Rzymie na umór.

15 lipca

Z wypowiedzi Sołżenicyna w tomie *Les Prix Nobel en 1970* dowiaduję się, że materiał do powieści o „katastrofie samsonow-

skiej” w Prusach Wschodnich zaczął zbierać na pierwszym roku studiów uniwersyteckich, w roku 1937; w Prusach Wschodnich, gdzie dowodził baterią artylerii w stopniu kapitana, aresztowano go w lutym 1945 roku; *Sierpień 1914* skończył pisać w przeddzień otrzymania nagrody Nobla.

Jest to „węzeł pierwszy” epopei, wzorowanej kompozycyjnie na *Wojnie i pokoju*. Ale tylko kompozycyjnie. Klucz do powieści tkwi w zdaniu: „Bierze pokusa szukać pocieszenia w tołstojowskim przekonaniu, że to nie generałowie dowodzą armiami, nie w rękach kapitanów spoczywają losy okrętów i batalionów, nie w mocy wodzów i prezydentów jest nadawać kierunek rządów, lecz nasz wiek wykazał zbyt wiele razy jak mylne było przekonanie Tołstoja”. Do takich dochodzi wniosków świetny i odważny pisarz, którego szkoły faszerywały Marksem, a życie ćwiczyło Stalinem. Warto o tym pamiętać w rozmyślaniach na temat współczesnej inteligencji rosyjskiej.

Skoło „tołstojowskie przekonanie” okazało się mylne, powieść o wojnie w naszym stuleciu musi być przede wszystkim powieścią sztabową. Jest nią w dużej mierze właśnie *Sierpień 1914*: rozwlekłym, drobiazgowym, miejscami pedantycznym traktatem sztuki wojennej, w którym zaskakuje i zdumiewa nie tyle sztabowa biegłość Sołżenicyna, ile jego narracyjna wstrzemięźliwość. Zapewne, nie brak w powieści opisów wspaniałych, jak samobójcza śmierć Samsonowa czy polowy pogrzeb pułkownika Kabanowa. W sumie jednak, choć za wcześniej jeszcze na sąd wiążący po jednym zaledwie „węźle”, epopea nie zapowiada się najlepiej. Być może Sołżenicyn, zdając sobie sprawę z tego zwicnięcia proporcji między opowiadaniem pisarza i dochodzeniem trybunału wojennego, postanowił się dla okraszy ratować „kino-migawkami” w stylu wczesnego filmu sowieckiego, głównie Eisensteina. Są żenujące.

Zakwestionowanie „tołstojowskiego przekonania” ma jeszcze i taki skutek dodatkowy, że rozgrom w Prusach Wschodnich ukaże się oczom czytelnika jako niemal grom z jasnego nieba: z jednej strony źli i tchórzem podszyty „sternicy”, z drugiej dobry i patriotyczny „naród”. Wolno się spierać o ilość i rodzaj chmur na rosyjskim niebie przed wybuchem pierwszej wojny światowej, ale skąd podmalowanie go na jasno? I czemu to karykaturalne przerysowanie postaci rewolucjonisty Lenartowicza? Byłoby smutne, i dalekie od prawdy, gdyby po ostatnim „węźle” epopei Sołżenicyna miał się wyłonić obraz Lenina wjeżdżającego do Rosji przez wrota, które z zawiasów wyważył jedynie upadek ogromnego cielska Samsonowa.

24 lipca

Wieczorem wyjeżdżają na połów łodzie z dużymi lampami karbidowymi. Widać stąd jak każdy rybak odpycha swoją łódź od brzegu na głębszą wodę, wskakuje, a potem na stojąco, ruchem wahadłowym, piersią naciskając wiosła i odchylając się do tyłu, wywleka za sobą z zatoczki ogoniastą strugę światła. Około jedenastej na ciemnym otoku morza rozpina się wachlarz punkcików świetlnych i trwa tak do brzasku.

Jutro powrót do Neapolu. Siedzieliśmy przed domkiem do późnej nocy, nie zważając na komary. Księżyc zdawał się zmieniać ciągle kolor: raz był jakby nasycony czerwienią pożaru, kiedy indziej przypominał blady abażur chiński, to znowu wibrował chłodnym i metalicznym blaskiem. Równo rok temu tu w Marina del Cantone, przed jedynym telewizorem w hotelu na plaży, gapiliśmy się w tłumie urlopowiczów na lądowanie Amerykanów na księżycu. Kto wie czy z upływem lat, z każdym nowym krokiem milowym „zwycięskiego pochodu ludzkości”, będziemy mogli czytać jeszcze jak dawniej słynny wiersz Leopardiego *Canto notturno di un pastore errante dell'Asia*.

*Che fai tu, luna, in ciel? dimmi, che fai,
Silenziosa luna?
Sorgi la sera, e vai,
Contemplando i deserti; indi ti posi.*

„Co robisz, księżycu, na niebie? powiedz mi co robisz, milczący księżycu? Wschodzisz wieczorem i płyniesz, kontemplując pustynie; potem spoczywasz”. I dalej:

*Dimmi, o luna: a che vale
Al pastor la sua vita,
La vostra vita a voi? dimmi: ove tende
Questo vagar mio breve,
Il tuo corso immortale?*

„Powiedz mi, o księżycu: po cóż pasterzowi jego życie, twoje życie tobie? powiedz mi: dokąd zdąży to moje krótkie błądzenie, twój bieg nieśmiertelny?”

Zaniknie zupełnie (jak twierdził Bertrand Russell) *cosmic pity*, bez której „zwycięski” człowiek współczesny poczuje się stokroć samotniejszy i bardziej zabłąkany, niż jego pasterscy prajcowie w Azji?

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Historia w czasie teraźniejszym

Ustalanie faktów, podstawowa czynność każdego poznawania historycznego, składa się z dwóch jednoczesnych zabiegów. Pierwszym jest ewidencjonowanie wydarzeń i zjawisk, drugim ich hierarchizacja i selekcja. Są to zabiegi pracochłonne w każdych warunkach, co ostatecznie jest przyczyną wykrystalizowania się zawodu historyka. W każdej sytuacji istnieje ktoś zainteresowany w ukryciu tego, „jak to tam właściwie było”, zawsze więc trzeba się liczyć zarówno z zatajeniem wydarzeń jak też i z ich mistyfikacją. Karol Marks słusznie twierdził, że nie wolno sądzić o człowieku na podstawie tego, co on sam o sobie twierdzi, podobnie więc nie można sądzić o epoce (państwie, ustroju, grupie społecznej itd.) na podstawie tego, co ona sama ma o sobie do powiedzenia.

Ustalenie faktów jest zawsze zadaniem kłopotliwym, ale w przypadku ustrojów totalitarnych zadaniem szczególnie kłopotliwym, a to zarówno z powodu daleko posuniętej cenzury jak i z powodu doprowadzonego do względnej perfekcji systemu kamuflażu i dezinformacji. Wyrosły z posiewu myśli marksowskiej ustrój polityczny, zwany socjalizmem, komunizmem lub sowiezizmem żąda tak od własnych jak i cudzych poddanych, by sądzili o nim wyłącznie to, co rzecznicy ustroju podają do wierzenia.

Te myśli cisną się do głowy przy czytaniu zarówno krajowej jak i zagranicznej prasy, odzwierciedlającej pewne na pozór dziwne łamańce czołowych i mniej eksponowanych działaczy tzw. obozu partyzanckiego. Ponieważ ci sami ludzie w najbliższym czasie będą, być może, dokonywali zupełnie innych łamańców, warto pewne rzeczy zanotować zarówno dla ułatwienia pracy przyszłych badaczy, jak i dla oświecenia niewtajemniczonych i zdezorientowanych.

Niewątpliwie, obóz ten jest jednym z ciekawszych zjawisk zarówno w skali Polski jak i całego bloku sowieckiego. Temat historyczny, ważny, nawet zasadniczy, ale nieprzystępny, odp-

chający samą nieokreślonością, wróżący niepowodzenie każdemu badaczowi, który by zechciał podjąć się zadania początków, rozwoju i — dziś już chyba można to stwierdzić — dekompozycji grupy politycznej dowodzonej trzy lata temu przez ambitnego szefa policji Mikołaja Diomko vel Mieczysława Moczara.

Oczywiście, istnieją historycy, którzy wiedzą więcej od nas, z tego chociażby względu, że odgrywali w tym obozie od wielu lat dość dużą rolę, ale wątpię, czy są oni akurat zainteresowani w ujawnianiu tzw. prawdy.

Użyte wyżej sformułowanie „dekompozycja” jest określeniem ostrożnym i nie powinno być utożsamiane z epilogiem. Na podstawie dostępnych materiałów skłonny jestem do wyciągnięcia wniosku skromniejszego, iż dokonuje się kolejne, choć bardzo istotne, przegrupowanie w obozie polskich neostalinowców. Usunięcie w cień Moczara zapowiada koniec błyskotliwej kariery tego wczorajszego pretendenta do władzy krajowej. Nie jest to chyba porażka z której można się dźwignąć. Heterogeniczny obóz partyzantki był złączony przede wszystkim prawdopodobieństwem sukcesu, więc doznający porażek wódz traci i wierność i miłość swych podwładnych.

Kłęska Moczara jest przekreśleniem planów jakiegoś zastępu najbliższych, najwierniejszych współpracowników, zwłaszcza tych, którzy z MSW, MON i ZBOWiDu pragnęli wznieść się na szczybel jeśli nie Biura Politycznego KC, to na szczybel centralnego aparatu partyjnego.

Jak już jednak zaznaczyłem, ruch moczarowski był zjawiskiem niejednorodnym, nie daje się więc sprowadzić do samych tylko policjantów i ich agentury. Przypominam sobie rozmowę jaką miałem w 1962 roku z działaczem tego obozu, nazwijmy go Ż. Pan ten proponował mi akces do ugrupowania. Na moje obiekcje tłumaczył mi cierpliwie mniej więcej co następuje: Moczar i jego najbliżsi to rzeczywiście durnie, błazny, antysemita. Ale za ich plecami formuje się grupa ludzi wykształconych, sensownych, potrafiących uprawiać docelową grę, którzy w ostatecznej instancji będą decydować i o ruchu „partyzanckim” jak i losach Polski¹.

Kłęska Moczara nie jest jednak tożsama z kłęską szeroko

1. Ma może sens sprostować mniemanie, iż Moczar cieszył się powszechnym poparciem wśród b. członków PPR z okresu okupacji i b. AL-owców. Sama nazwa „partyzanci”, używana przez ruch, jest mistyfikacją. By się nie rozdrabniać zaznaczę, iż Moczara nigdy nie popierali tacy działacze okupacyjni jak Jerzy Duszyński, Janusz Zarzycki, Jerzy Morawski, Karol Grabski, Jerzy Duracz i wielu im podobnych. Nawet przeciwnie. Walka stoczona w latach 1958-1961 przeciwko tzw. „grupie Jurków” (od imion w/w działaczy) skonsolidowała moczarowców i zaskarbiła im czasowo sympatię Związku Sowieckiego. Klucza do zrozumienia zjawisk personalnych udzielił mi przed laty R. jedna ze świecznikowych postaci b. AL. Na zapytanie, dlaczego nie robi kariery w nowym układzie personalnym, wyjaśnił, że kariery robią niemal wyłącznie ci „ze spalonych wsi” a nie ci „z głodujących miast” — zwroty w cudzysłowach pochodzą z hymnu AL.

pojętych moczarowców i tu sprawdziły się przewidywania mojego rozmówcy Ż. Kariera Szydłaka, Olszowskiego, Babiucha, Jaruzelskiego, Czaplí dowodzi jak najbardziej, iż w rezultacie przesileń, które w ostatnich latach dotknęły PZPR, czołowe stanowiska w państwie zostały objęte przez sojuszników Moczara, ale to właśnie stało się — obok innych — jednym z ważniejszych elementów jego klęski. Tzw. w Warszawie „młodzi, silni” szybko zrozumieli, że dla własnej pomyślności czas utracić ambitnego szefa, usuwając jednocześnie nienajlepszy zapach jaki roztaczał dookoła. Moczarowcy ci prosperują i nie ronią łez z żalu za swym ostatnio pechowym przywódcą.

Wygrali więc nielojalni poputczycy. Ludzie „zaangażowani” nie mogą poszczycić się równymi sukcesami. Nic złego im się na razie nie dzieje, doc. dr Wojciechowski nadal propaguje na cały kraj nową publikację dr. Walichnowskiego, ale ludzie typu Kąkola, Gontarza lub często ostatnio cytowanego niepocholebnie Pomykały, czy wreszcie sam Kępa nie mogą oprzeć się lękowi, że któregoś dnia, zgodnie z prawidłowością rozgrywek mafijnych, zostaną pozbawieni zajętych stanowisk i w ogóle wyparci poza nawias rządzącej grupy. Toczy się więc batalia między „lojalnymi” a „nielojalnymi”. Toczy się w wielu płaszczyznach i o niektórych można snuć tylko mgliste przypuszczenia. Wiadomości o rozgrywkach w płaszczyźnie organizacyjnej, docierające za pośrednictwem R.F.E. lub prasy zachodniej noszą z natury rzeczy niezwykły charakter i dopiero z biegiem czasu będzie można odróżnić w nich prawdę od przypuszczeń.

Jedna płaszczyzna leży niejako na powierzchni. Jest to walka w sferze ideologii, choć i tu nie łatwo od razu zorientować się kto czyje stanowisko wyraża, jak i to, co w wypowiedziach i artykułach jest demagogią, co żłudzeniem, a co autentycznym zamiarem.

Warto jednak odnotować łamańce ideologiczne moczarowców, tych najwierniejszych z wiernych, tych, dla których upadek Moczara stanowi lub może stanowić źródło osobistego zagrożenia.

Ideologia „partyzantów” nie była nigdy ani zbyt skonkretyzowana ani zbyt rozbudowana. Składała się z wydanej w 1962 roku broszury Zbigniewa Załuskiego pt. „Siedem polskich grzechów głównych” oraz z kolportowanych w druku lub ustnie przypisów do tej książki Mówiono więc o sobie jako o ugrupowaniu patriotycznym, jeśli nie wręcz niezależnym to przynajmniej o wiele mniej zależnym od Moskwy niż obecne kierownictwo partyjne. Nawet antysemityzm uzasadniano w podobny sposób.

Ta argumentacja zdobyła Moczarowi zastęp zwolenników, którego liczebności nie należy lekceważyć², ale przynajmniej nie ułatwiła jeśli wręcz nie zaprzepaściła ostatniej rundy rozgrywki

2. Pod tym względem bardzo ciekawa byłaby analiza pierwszej emigracyjnej wypowiedzi Andrzeja Brychta w *Kulturze* Nr 9 z bieżącego roku.

o władzę: Moskwa żywi wręcz instynktowną nieufność do wszelkiego polskiego nacjonalizmu, nawet udawanego, nawet tego od bicia Żydów i być może ma w tym nawet rację.

W tej sytuacji wierni Moczara dokonują, nie wiadomo czy na rachunek szefa czy na swój własny, pośpiesznej weryfikacji haseł. W warunkach, gdy Moskwa jest — w sposób widoczny dla wszystkich — ostateczną instancją i polityczną i personalną, pochwała tradycjonalizmu à la Załuski i szermowanie frazesem patriotycznym, który może być opatrnie pojmovany, stanowczo nie jest na czasie. Trzeba więc śpieszyć z dowodami lojalności wobec „starszego brata”. Mało tego, trzeba dowieść, że się jest dlań bardziej wiernym, bardziej użytecznym i bardziej bez zasad niż inni.

Listę gorliwych otwiera osławiony Ryszard Gontarz w równie podłej sławy gazecie *Prawo i Życie*³.

Gontarz bije czołem zupełnie bez umiaru:

„Jeśli żyjemy, istniejemy jako naród, jeśli na mapie świata miejsce między Odrą i Bugiem nosi nazwę 'Polska', to jest tak dlatego, że na drodze faszyzmu niemieckiego stanął Związek Radziecki, stanęły narody ZSRR, Armia Czerwona”.

To stwierdzenie, mimo oczywistej przesady poglądów, mieści się jednak w utartym systemie propagowanych haseł i byłoby chyba niewystarczające dla zaskarżenia sobie względów i zwrócenia życzliwej uwagi odpowiednich referentów w sowieckiej ambasadzie przy ul. Belwederskiej. Ci są ludźmi trzeźwymi i wiadomo że na byle frazes, w dodatku nie wiążący, nie dadzą się nabrać. Nie wystarczyłyby chyba również ataki „na zachodnich oszczerców Związku Sowieckiego”. Gontarz czuł się więc zmuszony walić na całego. Bez żadnego nawet okolicznościowego à propos, podejmuje obronę paktu Ribbentrop-Mołotow z sierpnia 1939 roku, paktu, w którym obydwie strony uzgodniły podział Polski.

Odadzimy głos Gontarzowi:

„Nie należy się dziwić, że (na Zachodzie) przy każdej okazji wyciąga się i opatruje fałszywymi, oszczerczymi komentarzami pakt Ribbentrop-Mołotow z 1939 roku. [...] Pamiętajmy przy tym, że zwolenników krucjaty anty bolszewickiej, nawet u boku hitlerowskich Niemiec nie brakło wówczas w żadnym kraju kapitalistycznym, nie wyłączając Polski. W tej sytuacji przyjęcie przez ZSRR niemieckiej propozycji podpisania paktu o nieagresji było, obiektywnie rzecz biorąc, jedyną szansą uniknięcia śmiertelnego niebezpieczeństwa. Nie był to więc błąd Stalina, lecz absolutna konieczność wynikająca z trzeźwej oceny sytuacji. Pakt Ribbentrop-Mołotow pozwolił ZSRR nie tylko uniknąć niebezpieczeństwa walki na dwa fronty, lecz także umożliwił uzyskanie czasu dla przygotowania się do nieuchronnego starcia z faszystowskimi Niemcami [...]. Ta prawda, jak wiele innych jest także oczywiście niewygodna dla zwolenników zimnej i gorącej wojny. Dlatego wolą właśnie rozwodzić się nad błędami Stalina, rozważać problem w kategoriach niby moralnych i kłamać”.

3. R. Gontarz, *Prawdy i fikcje*. „Prawo i Życie”, 11. VII. 1971.

Oczywiście, w Polsce przez piętnaście lat tak nikt nie pisał i to zostało chyba zauważone. Stwierdźmy jednak, że ilość chętnych do podobnego pisania i w Związku Sowieckim nie jest zbyt duża. W rehabilitowaniu Stalina i paktu z Hitlerem *Prawo i Życie* idzie o wiele dalej nie tylko niż przeciętni sowieccy historycy, lecz również dalej niż sowiecka linia oficjalna, o czym można przekonać się czytając wydany przed dziesięciu laty pierwszy tom „Istorii Wielikoj Otieczestwiennoj Wojny” pod red. gen. E. Bołtina, do którego odsyłam ewentualnych zainteresowanych.

Czy pisanie Gontarza stanowi zjawisko odosobnione? Bynajmniej. Redagowane przez instruktora KC, Z. Macużankę instruktywne czasopismo „Nowe Książki” opublikowało numer poświęcony „uwieńczeniu” wydania Wielkiej Encyklopedii Powszechnej. O Encyklopedii i uwieńczeniu pisać nie ma potrzeby, sprawę tej w najnowszej historii Polski ominąć nie będzie można. Chodzi nam o ten numer „Nowych Książek”⁴. Numer rzeczywiście specjalny. Widać w nim dwie linie. Redakcja zajęła elastyczną linię partyzanckich poputczyków, pragnąc zachować i profit jak i przyniósł grzech i pozory cnoty. Artykuł wstępny stwierdza, że:

„Zostały popełnione — co jest zresztą nieuchronne przy takim dziele — różne błędy i przeoczenia. Pamiętamy głosy krytyczne dotyczące np. tak ważkiego hasła jak 'obozы koncentracyjne hitlerowskie'. Była to może krytyka nie zawsze wyważona, ale nie można było przejść nad nią do porządku” (str. 834).

Podobnie znany pacyfikator polskiej kultury, ale jednak tylko poputczyk, Andrzej Lam: „Należało jednak zachować wzmianki o Jasienicy, Kotcie, Rudnickim i Kijowskim”. Jasienica umarł, więc nie będzie już mógł odciąć się od takiego obrońcy, zaś Rudnicki w kraju i Kott na emigracji widocznie spełniają rolę „dobrych Żydów”, których wyróżnienie pozwala podkreślać, „czto my nie antisemity”. Zresztą, dla Kotta i Rudnickiego nikt na nowo encyklopedii wydawać nie będzie.

Ale i „wierni” doszli do głosu. Człowiek, którego rola w fałszowaniu historii zasługuje być może na specjalne omówienie, doc. dr Włodzimierz Kowalski, zajął inne niż redakcja stanowisko. Stwierdził on że:

„są również hasła, które należałoby rozszerzyć przez ukazanie związku z historią Polski np. [...] 'Stalin' — jego zasługi w dziele tworzenia Wojska Polskiego i jego walka o granicę na Odrze i Nysie” (cyt. publ. str. 938).

Dodajmy od siebie, być może nawet łopatologicznie, że odpowiednie hasło rzeczywiście jest ubogie pod względem więzi z polską problematyką. Zawiera kilka słów o represjach wobec polskich komunistów w 1937 roku, ale ani słowa o masowych mordach w 1934, 1937, 1939-1941, których ofiarami padli zarówno

4. *Nowe Książki* Nr 13, 15 VII. 1971.

nie-komuniści jak i komuniści, mordy, w których Stalin nie wątpliwie wyprzedził Hitlera.

Na tym jednak nie koniec. Warto przyjrzeć się jeszcze pewnym usługom oddawanym przez moczarowski aparat propagandowy na arenie międzynarodowej. Otóż kilka lat temu ekrany telewizyjne w Polsce obiegła seria filmów, propagujących wycyny bohaterskiego polskiego asa wywiadu w II wojnie światowej — kpt. Klossa. Seria ta powstawała nie tylko z naturalnego zapotrzebowania na fikcję fabularną ale spełniała również określone funkcje indoktrynacyjne: przygotowywała społeczeństwo do rosnącej roli kapitanów Klossów w życiu państwa.

Film udało się gdzieś sprzedać, m.in. do Szwecji. A w ślad za filmem pojawiły się opracowane i wydrukowane w Polsce zeszyty komiczne w języku szwedzkim.

Na szwedzkim terenie Kloss jest już agentem nie polskiego lecz sowieckiego wywiadu i propaguje humanitarną funkcję GPU. Ażeby niewładający językami moskiewscy eksperci zrozumieli wagę oddawanej im usługi, na ścianie gabinetu ojcowsko-dobrego sowieckiego generała bezpieczeństwa wisi portret jeszcze bardziej ojcowskiego, jeszcze bardziej dobrotliwego Józefa Stalina.

Sprawa ma specyficzny zapaszek. Wywiad sowiecki penetrując neutralną Szwecję, zwerbował przed laty do swej siatki szefa sztabu szwedzkiego lotnictwa, płk. Wennerstroema, który oddał temu wywiadowi wielkie usługi. Ponieważ wszystko ma swój koniec, więc i Wennerstroem w pewnym momencie wpadł. Jego działalność drogo kosztowała Szwecję, ale stała się zarazem ostrym ostrzeżeniem dla społeczeństwa. Broszury produkowane w Polsce są więc jakąś próbą nastawienia szwedzkiego społeczeństwa w sposób życzliwy dla sowieckiego MGB, są jakąś próbą dywersyjnego lądowania na szwedzkich tyłach. Wiadomo, partyzanci.

Marcin WYZIEMBŁO

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Więzień z Isle of Ely

Z mego łóżka w szpitalu mogłem widzieć przez okno jedynie szczyt dachu i na nim żelazną różę wiatrów, na pionowej osi której obracała się chorągiewka wyrobiona w kształcie dzokeja na rozbieranym koniu. Ten jeździec blaszany z uporem i determinacją galopował nieskończenie i stał w miejscu, i ta dwoistość kinetyczno-statyczna była niepokojąca ale zrozumiała.

Oddział szpitala w którym się znalazłem nosił nazwę „Pageant Ward”, od imienia fundatora zdaje się, i w normalnych czasach był oddziałem dla dzieci. Ale teraz został przeznaczony dla pacjentów ze stopniem oficerskim. Zastanawiało mnie, pamiętam, a co z dziećmi pacjentami na czas wojny? ale jakoś nie mogłem tego wypenetrować. Ściany tu były wymalowane w kulawe kaczątka i kominek miał siatkę taką jakie zawsze są w dzieciennych pokojach ażeby milusińscy nie wpadali tam gdzie nie potrzeba.

W pokoju o kilkunastu łóżkach połowa z nich była pusta. Po mojej lewej stronie, przedzielony ode mnie pustym łóżkiem, leżał młody podporucznik, Anglik, o chudej, zielonej twarzy i podkrążonych oczach i miał nogę w gipsie. Coś tam źle było z tą nogą bo w szpitalu leżał już bardzo długo. Na skamieniałym gipsie opatrunku miał chemicznym ołówkiem wyrysowane jak ma tam te kości połamane i na tę białą gazę wystąpiły brudne plamy od przesiąkającej materii.

Od tej jego nogi, za przeproszeniem, śmierdziało, ale to strasznie, trudno to opisać. Są wonie które rodzą się i żyją w jedynych, odosobnionych miejscach, w szlachtuzach, jakichś fabrykach, na przykład wokół fabryk drożdży, browarów, cukrowni w czasie kampanii, wytwórni nawozów sztucznych i jak tam natknąć się na te ścieki przypadkowo to sobie myślimy: co za gama!

Kiedyś oglądałem na swym kocu szpitalnym jakieś pismo ilu-

strowane i był tam taki rysunek z podpisem. Miało to być zabawne, rysunek przedstawiał parę skunksów, śmierdzieli amerykańskich (proszę mi wybaczyć te zapachowe historie — zaraz skończę) i była tam także ich młoda progenitura a słowa miały uzupełnić ten dowcip: „O, mały nasz już dorasta, zaczyna śmierdzić...”. Są takie okoliczności że jakiś bardzo prosty, naiwny kawał, choć prymitywny podrażni nasz zmysł poczucia komizmu nieproporcjonalnie do wartości podniety i nie możemy utulić się od śmiechu, napada nas to jak czkawka. Czasem zarazimy tym kogoś będącego podobnym do nas wyjątkiem i wtedy to już prawdziwe konwulsje ile razy spotkać porozumiewawczy wzrok. Ale tym razem trząśłem się sam od bolesnego śmiechu, bo aż mnie szwy bolały i to może potęgowało jeszcze bardziej moje chichoty. Po prostu nie mogłem wytrzymać.

Mój sąsiad zainteresował się moimi dreszczami i podałem mu ów magazyn z tym kompromitująco naiwnym dowcipem. I co się okazało? co zaraz pojąłem i odżałowałem jako niechcianej z mej strony gaffy. Każdy inny dowcip tylko nie na temat zapachów ubawiłby może mego sąsiada z lewej. Ale ten wywołał jedynie bolesny grymas na jego twarzy.

W parę dni potem przyjechali do niego w odwiedziny rodzice. Przywieźli mu tam jakieś smakołyki i siedzieli przy jego łóżku, tacy szczęśliwi że go widzą, zatroskani ale już znudzeni tym długim popołudniowym siedzeniem, kiedy nieopatrznie w ciągu pierwszych dwudziestu minut wyczerpali wszystkie domowe i wojskowe i szpitalne perypetie i tematy. I siedzieli potem godziny całe, ładnie skupieni, wypowiadający jedno zdanie w ciągu całych okresów milczenia. Można było widzieć trwożny niepokój zaczajony na stałe w źrenicach ojca, a przy tym nerwowe drganie muskułów szczęk ażeby nie zaziwać. Czasem matka poprawiała coś tam z poduszki albo wygładziła koc i znowu zapadali w milczenie. Czasem rodzice grzecznie pomagali w czymś tam innym pacjentom, ot jakieś drobnostki, zapytanie o przyniesienie książki czy podanie wody. Było dla nas i dla syna dużą ulgą kiedy wreszcie sobie pojechali.

Naprzeciw Anglika było łóżko które zajmował Polak, kapitan. Naszedł gdzieś na minę talerzową i wykrcił się z tego tym że urwało mu palce u prawej nogi, ale już było wszystko bardzo ładnie wygojone i kusztykał teraz całkiem raźnie i niedługo miał się wypisać. Co rana przychodził i meldował się u niego jego ordynans, młody chłopaczek. Stawał w progu, stukał obcasami i salutował i pojawienie się jego było witane przez wszystkich sympatycznym uśmiechem. Zawsze coś tam przynosił swemu panu i coś tam, zawsze prowadzili jakieś konszachty. Mały żołnierz

polski pytał się innych pacjentów na sali czy nie mają jakichś życzeń czy spraw do załatwienia.

Polski kapitan był bardzo zamknięty w sobie i zawsze zagłębiał się w jednej i tej samej książce. Mógł to być kryminał, albo Biblia, albo regulamin służby w polu, książka zawsze ta sama i nie mogłem wpenetrować co to było, bo jak powiedziałem kapitan był zamknięty w sobie i nieprzystępny. Facet miał chyba pod czterdziestkę, był z batalionu czołgów, bardzo typowy zawodowy oficer.

Potem było znów puste łóżko i dalej, już naprzeciw mnie był pacjentem mały młody podporucznik, Szkot, o rumianej twarzy. Coś mu tam było w pośladek który mu raz dziennie smarowano za parawanem. Poza tym wyglądał najzdrowiej w świecie. Rano ubierał się kompletnie i zabierał do polerowania swego pasa koalicyjnego. Robił to z ogromnym nabożeństwem i uwagą. Miał do tego cały zestaw flakonów z płynami, pasty, flanele i irchę. Po godzinach czyszczenia i chuchania na kocu leżało coś co w blasku i połysku i iskrzeniu się było czymś nieprawdopodobnym. Muszę zaznaczyć że w tym codziennym ćwiczeniu inni byli bardzo zainteresowani i nie szczydzili artyście uwag, porad i aprobaty.

Następne łóżko oddzielone przejściem przez salę było zajęte przez holenderskiego oficera. Był to młody jegomość i miał także jakieś historie z nogą. Ale co to był za facet! Nigdy nie wyobrażałem sobie przedtem że takim może być Holender. Był atletyczny i przystojny, brunet o gęstych brwiach i silnym zaroście, który nawet po solidnym wygoleniu się rano kładł mu na policzkach ciemne smugi. I ustawicznie gadał. Gadał i gadał jak najęty, trzymał prym, rej wodził, perorował i pryncypalił. Usadowiony wygodnie w na poły leżącej pozycji, popodpierany poduszkami, z nieczytaną książką na kolanach, omiatając pokój szpitalny pewnym spojrzeniem, pobudzał do rozmowy, argumentów, dowcipkował, mówił paradoksy, udzielał rad i wskazówek na wszystkie strony. Z zasiedziały mi pacjentami był w doskonałej komitywie i mieli już własny język i styl jaki rodzi się w zamkniętych środowiskach i porozumiewali się łatwo a mnie trudno było połączyć się o czym mówią.

Potem był kapelan wojskowy, typowy *padre* w okularach, któremu nie wiem co było, tak zdrowo i normalnie wyglądał i był wścibski i interesował się sprawami innych, to już z powołania. Ale nawet Holender krępował się używać przy nim grubszych słów, tyle że siostrę, pielęgniarkę z nocnej zmiany nazywał *night mare*.

Potem było łóżko Polaka, podporucznika od czołgów, który miał przetrącony kręgosłup i chodził w gipsowym gorsie, tak,

nie leżał ale chodził, i kręcił się wszędzie. Rano pomagał przesuwac łózka i w czasie robienia porządków na ochotnika zabierał się do zmiatania. Był z tego samego batalionu co starszy kapitan i ten kapitan to jakby szorstko opiekował się tym podporucznikiem.

Potem, już naprzeciw niego leżał milczący i chory francuski major, *commandant*. Potem angielski porucznik, który miał coś tam z nerkami. A następnie, już najbliższy mnie, po mojej prawej stronie ale przedzielony przejściem mały angielski kapitan od czołgów którego przysłali na dogojenie z Libii. To byliby wszyscy.

Nie, nie wszyscy. Był tu jeszcze jeden pacjent, ale nie z nami, tylko w separacie, osobno. Dochodziły mnie o nim tylko słuchy, skrót, uwagi. Istniał gdzieś tam i swoją obecnością tam narzucał się mimowoli, jak to zawsze zaprzätne umysły czyjaś własnie nieobecność, a przez to wszechobecność. Był gdzieś tam i istniał przez niedomówienie, niedopowiedzenie, zagadkę, poprzez szept, współczujące westchnienia.

Jak tu dociec kim był naprawdę? Wszystko co o nim wiedziałem to tylko poprzez słowa. A same słowa tylko to jak palce ślepcy wodzące po twarzy bliskiej osoby, mające coś o niej powiedzieć. Jak tu obmacać czeluść głęboką, jaskinię wielopiętrową, jak słowami pokryć, odgadnąć wszystkie jej załomy, odgadnąć wklęśnięcia, zmierzyć niezmierzoną niezmierną grotę?

.....

Było to kiedy indziej, gdzie indziej.

Rano, w dzień Nowego Roku, przez intercom szpitalny zapowiedziano że *chers malades* odwiedzi tradycyjnie, jak co roku, jego ekscelencja biskup St. Jérôme, Monseigneur Ferret. I od samego rana zrobił się szalony ruch.

Pielęgniarki, zamiataczki, siostry zakonne, interni, cały szpital wpadł w niezwykły ferwor. Lśniące i tak podłogi polerowano do ostatecznego połysku. Jak wiadomo nawet w szpitalu pokój staje się z dniami prywatną norą, drobiazgi, książki, szlafroki ubierają go w swojskość właściwą i bliską okupantowi. Tę jedyną wewnątrz, w którym zdarzyło mi się pokutować, zbiorowe siły załogi szpitalnej usiłowały zredukować do jednakowej nicości. Wszystkie drobiazgi z mego stolika powędrowały do szuflad, potrzebne mi podręczne rzeczy pochłonęła głębia szafy. Z wielkiego zapału omal nie zapomniano dać nam śniadania. Story zostały opuszczone, okna, pomimo zimy, utrzymano do połowy otwarte.

Przykryli mnie aż pod brodę, chociaż mój wielki palec u nogi wystający z gipsu byłby wrażliwy nawet na dotknięcie przez welon oblubienicy. Zbliżała się wielka chwila. W ostatnim mo-

mencie wpadła jeszcze siostra zakonna z rozpylaczem i skropiła wodą leśną kłamkę u drzwi mego pokoju.

Nastało wyczekiwanie, jakieś szmery, kroki. Znowu cisza. Nagle drzwi drgnęły i otwały się i do pokoju wpadł mały, zaśniony chłopak, z tępą, czerwoną od mrozu twarzą i zwichrzonymi od zdartej czapki włosami. Gazeciarz, który co rana przynosił mi paczkę gazet, nowojorskiego *Times'a* i lokalne kanadyjskie gazety, a że to w prowincji Québec to oczywiście gazety francuskie.

Znów nastąpiło wyczekiwanie. Znów drzwi drgnęły i otworzyły się i tym razem, w asyście całego orszaku z kierownictwa szpitala, sióstr i pielęgniarzy ukazał się zapowiedziany wizytator. Spodziewałem się że będzie to jakiś majestatyczny prałat a tymczasem był to niedużej postaci, wzrostu co tylko przepadłego chłopaka-gazeciarza, starszy ksiądz w sutannie. Podeszedł do mego łózka i podał mi rękę, którą wykonał drobny, jakby stenograficzny gest błogosławieństwa. Przypomniałem sobie że całuje się wtedy biskupi pierścieniami, co też i zrobiłem. Patrząc, uśmiechnięty łagodnie, trochę jakby przeze mnie, jakby nieźródkowywał soczewek oczu. Tak jak pisze o tym Proust, kiedy był dzieckiem w jakimś Dieppe czy Ostendzie z babką na plaży i był świadkiem spotkania tej starej, bogatej Żydówki z jakąś księżniczką? młodą arystokratką?, która przegrzecznie rozmawiała z tą babką ale arystokratycznie nieźródkowywała wzroku na niej, tak jak się jest miłym i grzecznym wobec dzieci, ale ich naprawdę się nie widzi.

— *Vous-êtes un Polonais, on dit?* — powiedział do mnie *Monseigneur*. — Znam pański kraj, byłem kiedyś w Polsce.

W czasie tej krótkiej wizyty, przystanku u mego łózka, *Monseigneur*, łagodny biskup St. Jérôme, znalazł chwilę czasu by powiedzieć mi jak przed laty zdarzyło mu się, w charakterze jakiegoś sekretarza? wikarego? na jakimś misyjnym objeździe czy rekolekcjach pobytować w stronach które tak dobrze znałem. Już nie pamiętam o czym z tego wspominał. Owszem, z wielkim pietyzmem mówił o tamtejszym biskupie polskim, o świętobliwości tej postaci, o człowieku który wedle powszechnej opinii zmarł *in odore sanctitatis*, o kimś kto dla tego kanadyjskiego księdza zabłąkanego aż na Wołyn pozostał uosobieniem wiary, dobra, nieskazitelności.

A może wspominał krajobraz tamtej ziemi, wody jej rzek, Stochodu, Słucza, Horynia, Ikwy, Seretu, wody lazururowe i srebrzyste i twarde jak szkło, czyste i zwierciadlane, z piaskiem przeświecającym z ich dna, piaskiem tak białym i czystym że można nim wysypywać posadzkę kościoła przed wielkim świętem. I wiklinę, gąszcz wikliny nadbrzeżnej, osobny kraj wikliny,

nie mający nic wspólnego z innymi krajami, kraj należący do wody.

A może był świadkiem tego jak innym odbiera się wiarę. Jak rewindkuje się stare świątynie, w asyście policji, starosty, szwadronu KOP, jak zdziera się blachę z cebulastych bań cerkiewnych, wywaza z zawiasów stare carskie wrota, wyrwa płótna poczerniałych wizerunków świętych z ram obrazów, rozwłócza z posad przyciesie, narożniki dzwonnic...

.....

Prospekt usłyszenia jeszcze jednej opowieści szpitalnej zapowiada już prawdziwą nudę, banał, antycypuje ekshibicjonizm, kliniczny opis dolegliwości, krytykę fachowców, co to niby mają nieść ulgę cierpiącej ludzkości, ale wbrew hipokratesowskiej maksymie *primum non nocere* dobrze jeszcze doleją pacjentowi.

Już z góry powinienem był przeprosić za tło i przyrzec że nic tu nie będzie o mnie i moich cierpieniach. Natomiast...

Rano zaczynał się tu ruch bardzo wcześniej. Po śniadaniu, po wyporządkowaniu mego pokoju pojawiały się prawdziwym stadkiem młodziutki pielęgniarki, a właściwie nie pielęgniarki ale istoty tego gatunku *in spe*, bo były to kursistki? studentki? praktykantki? pielęgniarskiego *college*'u związanego ze szpitalem i ich półdniowy, poranny najazd był widocznie w *curriculum*, programie kursu. Były świeżutkie, młodziutki, w sztywno nakrochmalonych czepkach i fartuszkach. Każda miała, a jakże, z tyłu, w pasie u wężła ciasno zapiętego fartuszcza wetkniętą parę nożyczek, takich do rozcinania bandaży i innych podręcznych operacji. Były rozświergotane i uśmiechnięte i takie zdrowe i sympatyczne i aż jasno się robiło od tego najazdu. Poprawiały poduszki, patrzyły pod światło na słupek rtęci w termometrze, poprawiały kwiaty we flakonie, kazały dobrze się naginać kiedy masowały zbolały grzbiec i nacierały spirytusem ażeby nie porobiły się odleżyny. Aha! już odleżyny, a obiecywałem że nic nie będzie o fizycznych, cielesnych dolegliwościach. No, już dobrze, przyrzekam że nic nie będzie.

Jakże je tu zabawić? Już wiem! Kiedy jeszcze wcześniej rano przyniesiono mi gazetę, która teraz leżała porzucona na podłodze obok łóżka, nie! bo już ją skrętnie podniesiono i złożoną uplasowano na stoliku obok baterii słoików i pigulek, otóż przeznacząc jej szpalty natrafiłem tam na swego rodzaju historię.

Była to historia żołnierza, dezertera, który wiele lat temu, w czasie wojny na kontynencie europejskim, a było to gdzieś w Normandii, zdezerterował po prostu i już. Nie chciało mu się nastawiać karku, po prostu nie mieściło mu się w głowie by wyrwany z jednego kraju miał służyć za cel ludziom innego

kraju, walcząc o wolność i tak dalej. Wielomilionowe armie, już z racji wielkich liczb i nieubłaganych praw statystyki socjologicznej liczyły dziesiątki tysięcy dezertersów i pewnie to było i brane w obrachunek i jakoś to pewnie załatało się w końcu po wojnie i skończyło *happy-end*'em. I tu w gazecie był wypadek właśnie takiego grubo zapóźnionego *happy-end*'u. Ów niechętny żołnierz po zdezerterowaniu znalazł sobie schron, przytułek i azyl w ramionach prowincjonalnej dziewczyny, kochanki, takiej na pół chłopki, normandzkiej dziewczyny, co to pewnie pracowała w jakiejś manufakturze, albo była *une bonne*, a może była bileterką w kinie, albo prowadziła sklepik z materiałami piśmiennymi albo modami w malutkim miasteczku, a ukochanego ukrywała w domu i doglądała i dogadzała. Sypiał tam w tym domku w kryjówce pod schodami, bo to przecież wojna, dezercja, zandarmi.

I żyli tam, jak to w zakończeniu każdej bajki o miłości dwojga, szczęśliwi, razem, długie lata, pod schodami, on i ona, jak w bajce i miało przyjść zakończenie jak w bajce.

Oczywiście, na francuskiej prowincji, w malutkim miasteczku wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi. Bo *mademoiselle*, oczywiście pracowita, skrzętna, poprawna, pilnie bywająca w niedzielę w kościele, jak na *mademoiselle* przystało, nie potrafiła czy nie chciała ochronić się od następstw nieodłącznych w pożyciu dwojga młodych ludzi. Po prostu co rok to prorok. Dzieci pojawiały się z nieubłaganą logiką i oczywistością, pewnie bez jakichś położniczych komplikacji, podrasstały w ciągu lat, lata biegają, nie? Mama w wolnych od zarobkowej pracy chwilach doglądała je, hołubiła, warzyła im kaszki i rozdzielała całusy i klapsy, co kiedy się należało. Już najstarsze zaczęły i do szkoły chodzić, chłopcy w czarnych, klotowych fartuszkach nakładanych zwyczajem francuskim dzieciom na ubranka. Ojciec pewnie dzielnie pomagał w tym wychowywaniu, jako że to on miał specjalnie wiele czasu, kiedy pokazywał się ze swej kryjówki pod schodami.

Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi, i w małym miasteczku przyjeżdżało to nawet zgodnie i bez specjalnych gestów zgorznienia, bez szczególnych łamań rąk, a nawet ten matrymonialny dziwoląg, będący pewnie przedmiotem plotek, rozmów i dyskusji, stał się i rodzajem jakiejś dumy tego zapadłego kąta, w każdym razie ułożyło się to wcale ładnie. A mogło być inaczej. Trzebaż-bo to znać straszliwą francuską prowincję. Mogło to przyjąć inne formy, zawijasy ludzkiej-nieludzkiej pasji, potępienia, zjadłości, okrucieństwa, braku pobłażliwości, niezrozumienia, nienawiści dla faktu nieuszanowania konwenansu, dla czegoś nie mieszczącego się w zaściankowym kodzie przyzwoitości.

Wojna się skończyła i zapomniano o niej, minęły lata i leniwie i gnuśnie obracające się tryby maszyny porządku społecznego

bez szczególnych zgrzytów zmeły i wchłonęły niestosowne pozostałości tego romantycznego incydentu. Wszystko zostało przebaczone i zapomniane, jak zapewniła o tym notatka dziennikarska, którą zachwyciłem moje pielęgniarki bez miary.

.....

W całym tym gadulstwie, głośnym marzeniu, kiedy wodzę sobie oczami po otaczającym świecie, odrywam je zmęczone od jednych przedmiotów, zaczepiam o drugie, kiedy mi z falą myśli nadpływa takie czy inne zaczadzenie, naraz, gdzieś mi się to wszystko gubi i szukam wpośród gratów myślowych naokoło, tak jak to nam kiedyś coś się zapodzieje, tuż-tuż było i może leży gdzieś na wierzchu, ale nie widzimy tego zaślepieni i trochę to irytuje, ale nie bardzo, bo i tak wymyślimy sobie coś nowego, a jak nie to to stare się znajdzie.

Inni wybiorą sobie z życia jakiś wycinek, okienko na jedną sprawę i dopiero nanoszą w to dodatków, krawiecczynę, to obłoczek, to wachlarz, to ścierwo, odbije się im coś po jedzeniu albo zaświerzbi w uchu, ubiorą to w sieczkę konwersacji, usmażą razem w tragicznym sosie, odcedzą, nadchuchają na to i już gotowe.

A tymczasem tak nie jest.

Są sprawy nierozumiałe i tak pozbawione początku i końca, sensu, tak wyzbyte nawet cech zagadki, aluzji, że nie ma o co się zaczepić by wyprowadzić ciąg dalszy. A gdy przymusić się do pójścia w jedną stronę to wychodzi się na inną, albo kręci w koło, jak podróżny który zabłąkany wpośród zadymki natrafia na własne ślady.

.....

Stąd i zakończenie urywków tych historii. Raz byłem w nich dezertorem wielkiej wojny, ukrywającym się w ramionach ukochanej pod schodami domku na dalekiej prowincji francuskiej, innym razem świętokradczą ręką pomagałem przy „rewindykacji” greckich cerkwi na Kresach polskich, a jeszcze innym razem byłem tajemniczym „więźniem w masce” w separacie szpitala w *Isle of Ely*.

Zygmunt HAUPT

Chmury

Tego dnia było mroźno, ale nie za bardzo, śnieg wysoki, po odwilży ścięty szorstką szklistą skorupą, wiatr leciutki dra piezny, pognali nas między hałdy osiem kilometrów od koszar, gdzieś na Rudę Śląską, w bok od Wirka. Oporządzenie pełne: w plecaku sześć cegieł, cztery kilo każda, maska, łopatka, dwa koce, karabin z bagnetem. Zagonili nas śpiewem.

— Śpiew! — krzyknął kapral.

Czterdziestu w plutonie, głosy przemarznięte:

*„Nie rozpaczaj, moja miła,
bo to jeszcze nie jest czas,
wtenczas będziesz rozpaczala,
jak wywiozą w pole nas!”*

— Wilki! — wrzeszczy kapral. — Jak śpiewacie! Stara baba lepiej wypierdzi! Bagnet włóż! Bieeegieem marsz! Czołgi z lewa!

Rozbiliśmy się w tyralierę. Z drogi w pole skok. Śnieg po kolana. Skorupa chrzęści, wpadamy. Biały kurz.

— Lotnik, kryj się!

Na pysk.

— Atak gazowy! — krzyczy kapral z drogi.

Nakładamy maski.

— Okopać się! — piszczy kapral wydartym głosem.

W suchym śniegu grzebią łopatki. Pod spodem woda.

— Przygotuj granat! — drze się kapral, brodzi do nas powoli.

— Przygotuj granat — podaje tyraliera jeden drugiemu.

— Naprzód! — ryczy kapral.

Podrywamy się, krzyczymy: huraaa! i biegniemy pięćdzie-

siąt metrów. Tam każdy macha prawą ręką, niby że granat rzuca, i sam pada z powrotem mordą w śnieg. Tak trzy razy. Dużo wrogów poległo, pif paf, rozerwani na strzępy. Biegiem do szosy. Szkło paruje w maskach.

— Maski zdejm! — krzyczy kapral, otrzepując poły płaszcza i spodnie. My umęczeni śniegiem.

— Bagnet złóż — mówi kapral zmachany porządnie, chudy blady chłopczyzna, rok starszy. — Śpiew!

Jedziemy:

*„Dadzą konia mi karego
i szabelkę do niego,
wtenczas żołnierz jest wesoly,
siadający na niego!”*

— Reky! — pruje się kapral. — Wojsko śpiewa, czy wół pierdzi? Bagnet włóż! Bieegieem...

I znowu: czołgi, lotnik, gaz, okopywanie, granat, skok — pięć serii.

Na szosie maski ściągamy: w środku piana i krew. Oczy wywalone, pot na płaszczach.

— Śpiew! dyszy kapral.

*„Porucznik jego ojciec, sierżantem jego brat,
a on szeregowy, co serce moje skradł,
tam na zabawie zapoznaliśmy się,
a moje serce do niego aż się rwie”.*

Dobrze poszło, aż do tego miejsca:

*„Do wojska, do wojska zabrali jego mnie,
a moje serce do niego wciąż się rwie!”*

Porwało się. Pierwsze czwórki skończyły, koniec ciągnął jeszcze.

— Szwejki! — znowu rozdarł się kapral. — Na pogrzebie teściowej, na stypie!

Znów pojawiły mu się czołgi, znów poczuł gaz, znowu hordy wraze z krzykiem wybiegły od hałd i trzeba znów je było ubić granatami. Piana z nas szła. Ale śpiew też poszedł:

*„A z faszystów ni śladu, ni znaku,
tylko trąbka w oddali gdzieś gra,
ba ba ha!”*

— Gra! — krzyknął kapral. — Wy, zapiewajdo — krzyknął do mnie — dawajcie armiejca!
Pełny dech naciągnąłem w siebie i zawyłem wysoko, szeroko:

*„Raaz armiejec był gierooj,
na razwietkie bajewooj!”*

Za mną pluton w dwa głosy:

*„Ej, ej, krasnyj gieroj, gieroj,
na razwietkie bajewooj!”*

I znowu ja, tym razem basem:

*„Na razwietkuu on chadił,
mnoga plennych prywadił!”*

A pluton za mną ten sam refren. Dużo zwrotek ma ta dzika, monotonna pieśń, ale ani razu nie było fałszu. Kapral z boku maszerował, godnie niosąc rozmarzoną twarz. Mineliśmy dwa miasteczka, pijak jeden pod słupem telefonicznym rozdarł się:

— Kacapy idut!

— Pierdol się! — krzyknął kapral. — Bo cię zabierzemy i wrócisz za dziesięć lat!

Pijak schował się za słup.

— Mnie, człowieka pracy... — pisnął płaczkliwie, ale już byliśmy daleko.

Za hałdami wielkimi, na brzegu sadzawki, rozpoczęła się musztra. Zwroty, marsz na baczność, czołganie pełzaniem. Dwie godziny.

— Starczy — powiedział kapral. — Słuchajcie, co powiedział generał Walter: więcej potu na ćwiczeniach, mniej krwi w boju. Generał Walter to był bohater. A wy jesteście młode żołnierzyki naszej ludowej ojczyzny, która to jest sygnatariuszem paktu warszawskiego. Którzy z was wie, jak się nazywa naczelny dowódca sił naszego warszawskiego układu?

Cisza. Patrzymy na siebie niepewnie.

— No, śmiało! — zachęca kapral z tajemniczym uśmiechem.

— Żukow — wyrывa się wreszcie jeden.

Na ustach kaprala ten sam nieprzenikniony uśmiech.

— Wołkow — mówi inny odważniej.

Uśmiech kaprala przekreśla te możliwości.

— Koniew — oznajmia trzeci.

I nic. Nie ma aprobaty.

— Bykow — mówię ja. Po chwili dodaje: — Jak nie Bykow, to Rykow.

Chłopcy śmieiej zaczynają zgadywać:

— Mołotow.

— Czapajew.

— Budionny.

Niezmienny uśmiech kaprala gasi jednak entuzjazm zawodników.

Twarz kaprala staje się nagle bardzo poważna. Zwraca się do nas surowo:

— No, dosyć tej zgaduj zgaduli. Nie wiecie. Wobec powyższego będziemy ćwiczyć forsowanie przeszkody wodnej. To bardzo ważny element nowoczesnej wojny. Widzicie tę sadzawkę?

— Tak jest! — wrzasnęliśmy.

Spojrzał na nas i na sadzawkę jak generał przed bitwą.

— Na moją komendę wszyscy, jak jeden mąż... Naprzód!

Wskoczyliśmy na lód z sześcioma cegłami w plecakach, karabiny niosąc w rękach wysoko. Lód cienki, kruchy, zarwał się po dwóch krokach, wpadliśmy po szyje w zimną wodę.

— Chronić broń! — drze się kapral, biegając po brzegu dookoła sadzawki. — Naprzód! Naprzód! — krzyczy wściekły, bo stanęliśmy w miejscu skuci wodą, ogłupiali całkiem, krzyczy do naszych głów nad pękniętym lodem i rąk wyciągniętych w górę z karabinami, cztery kilo każdy, bez zamków i nabojów, zdatnymi do objania gruch i grzebania w piecu.

— Naprzód! Naprzód! Broń chronić, ona ma służyć pokoleniom!

Oni szli naprzód, łamiąc lód przed sobą kolbami, ci najmniejsi zapadali po oczy — a ja: powolutku brzegiem kolistym, aż stanąłem po drugiej stronie. Byłem najwyższy, w tyralierze atakującej sadzawkę stałem pierwszy z prawego skrzydła, ledwo but zamoczyłem, krusząc skraj lodu. Wreszcie wyleźli z wody, kapral zadowolony zacierał ręce w rękawicach zielonych z jednym palcem, pohukiwał, przyglądając się ciekawie parze z własnych ust, oni stali nieruchomo, z rękami rozstawionymi, woda szła z nich tężej, rozkraczeni i sztywni jak kukielki, otoczone białym obłokiem pary. Patrzyli na mnie i powoli rodził się w nich bunt, aż wreszcie jeden zawołał:

— Obywatelu kapralu, on nie był we wodzie!

Kapral chuchnął porządnie, zaśmiał się:

— Gdzieście byli, jak ludzie rośli? Trza wam było samemu taki duży być, byście teraz tak samo suchy byli!

Zaśmiałem się z jego mowy, i z tego, że mi się udało, a jego zdjęło podejrzenie. Myślał długo i mocno, marszczył swą bladą twarz.

— Wy! — krzyknął nagle z wściekłością, odwracając się do mnie. — Przeszkody wodnej nie sforsowaliście! Co za żołnierz z was! Jazda, wykonać rozkaz!

Znów wróciłem na tamten brzeg i z rozbiegu skoczyłem w wodę. Korzyść tylko, że nie trzeba tłuc lodu. Śmieli się ze mnie, podrygując na tle topniejących, czarniawych hałd.

Stanąłem koło nich, rozkraczony jak wszyscy i powiedziałem spokojnie:

— Obywatelu kapralu, a kto jest dowódcą paktu warszawskiego?

Przestali się śmiać, a kapral, który skakał na brzegu sadzawki, żeby rozgrzać swoje smutne ciało, znieruchomiał z twarzą pełną nienawiści.

— Odpierdolcie się ode mnie, szeregowy! — wrzasnął. — Ja wam pokażę zadawać prowokacyjne pytania!

I odwróciwszy się do pozostałych żołnierzy, krzyknął:

— Dziesięć minut przerwy, możecie popalić!

Jeden chciał do kieszeni sięgnąć. Poła jego płaszcz trzasnęła jak blacha zjedzona rdzą. Zamarzliśmy na gips.

— Zimno? — krzyczy kapralik.

— Tak jest! — my krzyczymy.

— To pośpiewamy sobie! — krzyczy kapralik. — Młodego żołnierzyka, trzy, cztery!

*„Widziałam jak faszyci walili jego twarz,
ach, młody żołnierzyku, gdzie swój karabin masz!
Krew zalewała zielony jego szat,
zginął żołnierzyk, jak polskiej róży kwiat!”*

— Pięknie! — przytupuje kapral. — Tylko tak dalej!

*„Dziewczęta wity wianki z zielonej wikliny,
Koledzy wywalili po trzy magazyny...”*

— Dość! Do rytmu bardziej! Bacność! Kierunek niebo, krokiem marsz!

Z lewej w miejscu przepisowo ruszamy. Depczemy brudny śnieg. W niebo patrzymy, drepcząc w miejscu na brzegu sadzawki. Niebem ciągną ciężkie siwe chmury.

— Serce generała! — wrzeszczy kapral. — Spiew!

*„Ziemia spadła na ciało,
zapachniało jak senny las,
ale serce zostało,
na przedmieściach hiszpańskich miast!”*

— Cztery! — podaje kapral.

„... *Któż odłamki pozbiera
i ułoży z nich serce
generała Waltera?*”

Ano, właśnie. Zmierzch. Wracamy do koszar. Gorąco. Serce generała grzeje. Młody żołnierz wrusza. Konik kary rozmarza. Krasnyj gieroj wspomaga.

Izba żołnierska ciemna, ogień strzyka w kozie. Tają mundury i płaszcze. Za drzwiami ochryply wrzask:

— Zbiórka w korytarzu do czyszczenia broni!

Czyścimy. Dwie godziny. Apel. Capstrzyk.

— Spać! — krzyczy kapral. — Oczki zamrużone, lewa ręka na kocu, wojsko śpi, włosy rosną! Liczę do trzech, i chrapanie słyszę... Rrraz!

Każdy chrapie z całej siły, kwiczą, gwizdzą, bulgoczą.

— Wy! — krzyczy kapral i zrywa ze mnie koc. — Gwoździ w butach nie macie! Kibel szorować przez trzy dni i mycie ǫpo-
dłogi po capstrzyku!

— Tak jest! — krzyczę, leżąc w łóżku na baczność.

— Wstać! — on wyje, siny ze złości.

Wyskakuję na ziemię. Kalesony bez guzików, opadają, ko-
szula do pępka, patrzy on długo na mnie wzrokiem pełnym
wzgardliwej litości:

— Przemarzliście, co?

Jeszcze chwilę popatrzyl.

— Sprzątać, rraz!

Odwraca się, wychodzi, kręci głową, mruczy:

— Mamusia was nie wychowała, ale ja z was zrobię człowieka.

Pobudka, mundur w kostkę złożony trzydzieści na trzydzieści, mokry, zagnieciony. Chłopcy wskakują w spodnie, każdy krzywi się, szczęka zębami. Nie, pomyślałem i zrzuciłem z siebie tę wstrętną, śmierdzącą szmatę. Wojny nie ma, jeszcze jestem czło-
wiekiem. Wlałem z powrotem do łóżka, owinąłem się w koc.

— Wstawaj! — krzyknęli do mnie, wyskakując na apel —
draka będzie!

— Mogą mnie pocałować — mruknąłem, usiłując zasnąć.

Tysiąc chłopca na placu apelowym. Baczność. Oficer dyżurny składa raport dowódcy jednostki. Od baraku pierwszej kompanii krzyk. Szamotanina. Trzech z warty bije się z żołnierzem w bie-
liźnie. Rwą na nim koszulę, on na schodkach ośnieżonych wali w szcękę jednego, wyrzywa mu karabin, zamierza się kolbą, tamci dwaj odskakują, wtedy ten co leżał chwytą go za nogi,

przewraca w śnieg. Koc narzucają na niego, owijają szczelnie, zarzucają na plecy ten ładunek.

I tak nieśli mnie wysoko, ciężko, potykając się w śniegu, tysiąc chłopca przyglądało się w śmiechu i zdumieniu, aż trzasnęły za mną ciężkie drzwi wartowni.

Wrzucili mnie do celki małej, wąskiej, z kratą wysoko bez szyby, zimno lało do środka jak szczury do spichrza. Tam siedziałem cały dzień i noc.

— Zimno wam będzie — powiedzieli wieczorem — założcie mundur.

— Suchy? — spytałem.

Rzucili mundur do celi. Mokry był tak samo jak wczoraj, kiedy wylałem z wody. Wyrzuciłem nogą te szmaty i leżałem przez noc nago, skulony na ceglanej podłodze. Śnieg leciał na mnie.

Rano przyszedł kapitan, politruk naszej kompanii.

— Założycie mundur?

— Jak suchy, założę.

— A jak mokry?

— Nie założę.

Popatrzyl mi w oczy uważnie.

— Inny byście woleli, aa? — zapytał znacząco, czekając chwilę żebym przyznał, że tak, że wolę każdy, byle nie polski, nie ruski, nie czeski, bułgarski, węgierski. Ale nie dałem się nadziać na taki gruby hak.

— Może być ten sam, aby suchy — odpowiedziałem spo-
kojnie.

— A jak mokry, to nie?

— Nie. Jak mokry, to nie.

— A inny? — on pyta.

— Co inny?

— Inny mokry — powiada.

— Mokry, to ani inny, ani mój.

— Nie założycie?

— Nie.

— Będziecie za to pokutować — mówi zły.

— Pokutować będę w piekle — mówię.

— Ja wam tu zrobię piekło — on mówi.

— Proszę bardzo — mówię — już widzę diabła.

Poczerwieniał z wściekłości.

— W stan oskarżenia staniecie! Pod prokuratora pójdziecie!

— Jak będę chciał — powiadam, stojąc przed nim goły,
z gęsią skórą. — Przysięgi nie składałem, prawa nie macie.

Zasmucił się.

— Aaa, nie składaliście przysięgi? To nie jesteście świado-

my żołnierz. Ale za tydzień przysięga! Za tydzień będziecie świadomy. Wtenczas wam damy chleba.

— Ja lepszym chlebem kituję — powiedziałem.

— Ach, wy — zagulgotał z nienawiścią bezsilną, bo to przecież była prywatna rozmowa, bez świadków. I zasyczał: — Ech, skurwysyńska twarz!

Trzasnął drzwiami, zamknął na klucz. Zacząłem się rozcierać, podskakiwać. Znow zgrzytnął klucz. Kapitan wrócił.

— Szeregowy, bacność!

Przyjrzałem mu się, wariat? Na bosaka na bacność? Ale co mi szkodzi, pomyślałem, stanę. Stałem.

— Stójcie na bacność aż do odwołania!

— Co mi szkodzi, mogę stać, i tak nic nie mam do roboty

— powiedziałem.

Zatrząś się:

— Kto na bacność mówi, kto!

— Ja — powiedziałem, ale drzwi już trzasnęły.

Odwróciłem się twarzą do kraty i dalej stałem na bacność, wlepiając oczy w kwadrat nieba za kratą, pocięty prętami kraty na mniejsze kwadraciki: tam było jasno niebiesko.

Stałem i nie czułem zimna, ani nic. Przyleciała sroka, usiadła na kracie, skrzeczała, gapiała się na mnie chytrym okiem. Też na nią patrzyłem, ale nie odzywałem się. Takeśmy patrzyli na siebie, dużo zabawy z tego było. Aż za drzwiami usłyszałem szmer, klapka na judaszu pisnęła.

— Osiem godzin już stoi — mówił wartownik.

— Wariat, czy co? — dziwił się kapitan. — Dajcie go do jakiej roboty, bo skamienieje!

Otworzyli.

— Wychodzić!

Przelazłem do izby wartowni. Karabiny w stojakach. Baniak z rudą zupą na stole. Mundur mój na ławie rozłożony, koło żelaznego pieca na trzech nogach. Suchy już mundur. Włożyłem. Szpadel dali.

— Śnieg odgarniecie sprzed wartowni!

Zaszedłem z boku, o szpadel się oparłem. Śniegu przez noc nawiało. Metr, albo więcej. Kupa roboty będzie, ho, ho. Słońce biło od śniegu. Zabolaly oczy.

Głowę podniosłem do nieba. Jeszcze dwóch żołnierzy zobaczyłem, nieśli baniak zlewki, skurczeni, krzywym truchtem, rozkołysane zlewki chlapały na śnieg, zostawiając rude po barszczu plamy. W górze słońce, ale trochę za mną, z przodu chmury szły szybkie i płynne, zmieniały swoje kształty rozmaite, dobrze było tak patrzeć. Długo patrzyłem i powoli przestawałem je widzieć, po niebie zakrążyły twarze anielskie kaprali, kapitanów

i żołnierzy, krążyły tam też plecaki, z których wylatywały cegły, z każdego po sześć, i wisiały w przestrzeni czystej niebieskiej, lekkie jak baloniki, między nimi śmigały karabiny model czterdzieści cztery, pozbawione zamków, z obłuzowanymi lufami, ciągnąc z sobą postrzępione pasy parciane, długie, kręte, ruchliwe, szła z nich ckliwa muzyka pasterskich fujarek.

Zamknąłem oczy. Poczułem zimno. Pluton powracał z ćwiczeń.

*„Raz armiejec był gieroj,
na razwietkie bajewoj...”*

— śpiewał już inny zapiewało. Jeszcze raz spojrzałem w górę. Chmury szły prędko, szare, siwe i białe. Szły tak prędko, aż kręciło się w głowie. Nie wiedziałem, czy stoję, czy biegnę za nimi. Objął mnie dreszcz gorączki. Upadłem w śnieg.

Andrzej BRYCHT

“POLONIA”

NOWA KSIĘGARNIA POLSKA W CHICAGO
2921 Milwaukee Ave., CHICAGO, Ill. 60618.

Czynna codziennie od 10-ej do 6-iej pp.

Posiada na składzie: książki i czasopisma polskie, polskie karty okolicznościowe i Dział Antykwariatu; przyjmuje książki do sprzedaży komisowej.

Skład Główny na Chicago wydawnictw Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte (pod Paryżem), m.in. paryskiej KULTURY i ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH.

Księgarnia przyjmuje prenumeraty na polskie czasopisma i wykonuje pocztowe zlecenia księgarskie.

Wiersze

Andrzej BUSZA

BIAŁA RÓŻA

*tu ogród zaniedbany
wszędzie mnóstwo zielska
panoszy się i przelewa
jak zielone pomyje*

*pokrzywa zajęta ścieżki
włochatą hordą
chwast wdziera się
na grędy zuchwale*

*w samym środku
łysego trawnika
starczy jak piszczel
złamana motyka*

*opodal płot kuternogi
przebiera żerdziami
i rwie się
do drogi*

*nad nim
przewalają się ciężko
barchanowe chmury
wypchane po brzegi rtęcią*

*wierną na swój sposób
pozostała mi
w tym krajobrazie
tylko róża*

*wschodzi codzien z rana
biała i niepokalana
jak jutrzienka
nad ruiną raję*

CZERWONA RÓŻA

*z dnia na dzień
róża
staje się
centrum i carycą
mego ogrodu*

*skupia w sobie
zaborczo
wszystkie czerwienie*

*odbarwia maki i maliny
okrada gwoździe w płocie
ze rdzy*

*ogród blednie
bieleje
róża
rakowato rośnie
jak wampir pečznije
na Mirę i Antares
się boczy*

*kiedy rano
budzę się
i otwieram oczy
przez serca okiennic
nie świeci już słońce
tylko łypie
czerwona róża*

LES MAINS PROPRES

*gdybym tak mógł
skryć się wewnątrz drzewa*

*schować ręce
wśród gałęzi*

*splukać z palców
gruz i pył*

*oddałbym chyba
ten świat*

*ciepły i miękki
jak pierś ptaka*

PRZEGRANA PARTIA

mistrz szachy rozstawia

*najpierw pionki
równym rzędem
jeden obok drugiego
jak klawisze
przedniego instrumentu*

*potem figury
w ścisłej hierarchii
powagi i urzędu*

*dwa przygotował plany
jeden rzeczywisty
drugi sfingowany
spięte razem
z mistrzowską ironią*

*otwarcie
czysty Capablanca
dalsza kompozycja
bardziej odważna
w stylu Alechina*



*a tu nagle
koń mu się powinął*

*zdtawiona bluszczem wieża
rozsypuje się w proch*

*spod 64 płyt
wypęta gadzina*

szachownicę zdobyła szarańcza

WIOSENNE WIDZENIE
PANI S.

*z mgły porannej
co jak mleczny wąż
się wiję
wieniec kamienic
wolno wynika*

blade domy i żonkile

*tu i tam
na parapecie
krwawy bąbel
tulipana*

*trotuarem biegnie dama
śliska skóra
cholewy lśniące
po kolana
na tańcuchu
blady chart*

*tuż za rogiem
dandys
anemiczny i nieśmiały
przemawia szeptem
do bukietu
bladych róż*

*a nad wszystkim
czuwa*

*z mansardowych wysokości
pani S.
wróżka i jasnovidz
z jaskrowym okiem*

*widzę mówi
gładząc ręką plusz fotela
blade domy
blade drzewa
blady świat*

Andrzej BUSZA

WSPÓŁCZESNA POEZJA AUSTRALIJSKA

Kenneth SLESSOR

BIEGUNOWOŚCI

*Ona czasem jest jak słodkie wino, jak błysk słońca przez kryształ
Jak w pokoju żółtych boazerii promień poprzez lufcik
Czasem jest barwą lwów, lub piasku co w ogniu południa błyska
Czasem jest przeniknięta cieniami jak to bywa z popołudniem*

*Czasem porusza się jak rzeki, a czasem jak drzewa
Lub w transie trwa niby zastate cisze w podbiegunowych lodach
Czasem ona jest pięknem, czasem furią, a czasem ni pięknem
ni gniewem*

Czasem niczym nie jest, wyżęta ze znaczenia, nijaka jak woda

*Czasem kiedy szykuje grochówkę, lub gra mi Schumanna
Kocham ją w jeden sposób, a czasem kocham inaczej
W bardziej przenikliwy sposób gdy rozwiera w ciemności swe
wargi*

*Czasem lubię ją z kameliami, czasem z pęczkiem pietruszki
Czasem lubię ją płynącą przez lustro na ścianie
Czasem wcale jej nie lubię*

Kenneth SLESSOR

A. D. HOPE

AUSTRALIA

*Naród drzew o nikłej zieleni i ponurej szarości
Wypłowiących drelichów z nowoczesnych wojen
Zaludnia jej wzgórza, te niekończące się kikuty
Zburzonego sfinksa, lub zetłatego kamiennego lwa
Zwią ją młodym krajem, lecz w tym jest kłamstwo:
To jest ostatni z lądów, najpustszy,
Przekwitła kobieta mająca piersi
Ciągłe wdzięczne lecz w której tono już wyschło.*

*Bez pieśni, bez architektury, bez historii:
Wzruszenia i przesady młodszych krajów,
Jej rzeki topią się w śródlądowych piaskach,
A rzeka jej bezbrzeżnej głupoty*

*Zalewa jej nudnawe szczyty od Cairns aż po Perth.
W nich w końcu wybijają się tacy ludzie
Którzy chwalać się nie że żyją lecz że przetrwali,
Rodzaj co będzie zamieszkiwał ziemię u jej schyłku.*

*Zaś jej pięcioro miast niby pięć pękających ran
Ją draży; państwo olbrzymi pasożyt i rabus
W którym przechodzeni Europejczycy kielkują
Nieśmiało na ostrzu obcych brzegów.*

*A jednak są tacy jak ja co chętnie wracają tu do domu
Z bujnej dżungli nowoczesnych idei, aby znaleźć
Pustynię Arabską ludzkiej myśli
W nadziei iż prorocy ciągle mogą objawić się na puszczy,*

*Taką dzikość i szkarłat na jaką nie odważyłyby się inne zielone
wzgórza*

*Zródła w jałowej ziemi, ducha którego nie pojmie
Przemądrzała wątpliwość, gładzenie podszkolonych matp
Co tutaj nazywa się cywilizacją.*

A. D. HOPE

Bruce DAWE

W NOWYM KRAJOBRAZIE

*W nowym krajobrazie będą tylko samochody
i kierowcy samochodów i reklamy głoszące*

FREE SWAP CARDS HERE

*i smugi spalin rozwlekających się ponad polami
oraz warkot przyspieszających aut zamiast śpiewu ptaków*

*W nowym krajobrazie nie będzie już ulic
gdzie dzieci graby w klasy, jedynie autostrady
na całą szerokość pomiędzy budynkami i zbity tłum
masek samochodowych między czerwonymi światłami
— tak gęsty że owczarek na azbestowych łapach
mógłby bezpiecznie przebiec po nich wpoprzek
(Ulice będą podziemne, a chodzący pieszo bladzi.
Natomiast szoferzy będą opaleni.)*

*W nowym krajobrazie nie będzie drzew
chyba tylko dla upiększenia parkingów
— a chwasty,
chwastów też nie będzie*

*Zaś my zgodnie z duchem czasu wybudujemy
żelbetowego boga o aerodynamicznych właściwościach
który nie zmięknie na widok czy krzyk
małych dzieci wpadających pod przednie koła
lub kochanków co wiedząc o tym zapomnieli
iż nie wolno oczu odrywać od drogi
i wtedy to przy uroczystym akompaniamencie klaksonów
zaintonujemy codzienny hymn ku chwale
tego na którego kamienne ręce złożymy
poranną ofiarę paszczy śmierci, świeżoumajone
twarze rzeźbione ostrym dłutem
zastygłej przypadkowości (do optukania ołtarza
używać się będzie gumowych węży ze sprężoną parą...)*

*I w nowym krajobrazie za jakieś sto lat
kosztownych poszukiwań okaże się
że nawet niemożliwe do zastąpienia części
będą zastąpione, po czym
zostaną tylko auta*

(Przełożył Andrzej Chciuk)

Bruce DAWE

Archiwum polityczne

Refleksje i dygresje

I

Na czym polega filozofia *detente*? Są trzy poglądy w tej sprawie. Skrajni anty-komuniści uważają, że odprężenie w ogóle nie jest możliwe, ponieważ komunizm nie wyrzekł się swej misji opanowania świata. Bardziej umiarkowani politycy hołdują pogładowi, że jest rzeczą osiągalną wypracowanie ograniczonej *detente*. Układamy się w sprawach zbrojeniowych, gospodarczych, turystycznych — przyjmując równocześnie, że spór ideologiczny pomiędzy Wschodem a Zachodem będzie trwał nadal — być może jeszcze dziesiątki lat.

Trzeci pogląd, który na Zachodzie ma niewielu zwolenników — wyraża się przekonaniem, że *detente* ma tylko wówczas realną wartość jeżeli bezpośrednio przyczynia się do ideologicznych przemian w Związku Sowieckim.

W polityce istnieją liczne sprzeczności. Dlatego można sobie łatwo wyobrazić *detente* w sferze gospodarczej, zbrojeniowej itp. — przy równoczesnej wojnie ideologicznej. Osobiście nie wierzę by BBC poświęciło swoje wschodnio-europejskie programy na ołtarz *detente*. Sowiety również nie zlikwidują swoich programów w językach zachodnio-europejskich. Rosjanie choćby wątpili w globalny sukces komunizmu — zobowiązani są dogmatem swej ideologii do głoszenia marksizmu-leninizmu na całym świecie.

Anglicy jednak nie mają światowych ideologicznych zobowiązań. Po co więc wydają pieniądze na radiowe programy rosyjskie, polskie, czeskie itp.? Droga radiową nie można w Polsce przywrócić demokracji, tym mniej obdarzyć nasz kraj niepodległością. Ani polska demokracja ani polska niepodległość nie stanowią niezbędnego warunku brytyjskiej *prosperity*.

Brytyjczycy, podobnie jak Amerykanie, są zaangażowani w sprawie wolności. Rozumieją przez to wolność od głodu, od

politycznego totalizmu, wolność od terroru ideologicznego itp. Anglia wydała w ostatnich 12 miesiącach miliony funtów na pomoc dla krajów niedorozwiniętych i dotkniętych klęskami. To są pieniądze podatników brytyjskich. Nie padł ani jeden głos sprzeciwu czy krytyki w tej sprawie.

Idealizm brytyjski jest tak różny od idealizmu polskiego, że Polacy skłonni są odmawiać Brytyjczykom jakiegokolwiek idealizmu.

Brytyjski idealizm jest pragmatyczny. Przeciętny Brytyjczyk uważa, że wszędzie tam, gdzie nie zagraża to interesom Wielkiej Brytanii — należy pomóc by świat „był lepszym miejscem do życia”. Brytyjczycy są wyspiarscy w swym zwyczaju, obyczaju, strukturze społecznej i ksenofobii. Równocześnie, jako naród morski, są globalni i każdy z nich — choćby się do tego nie przyznawał — dźwiga „brzemień białego człowieka”. Brytyjczycy nie podejmą wojny wyzwoleniczej — lecz gotowi są finansować radiową służbę informacyjną, która umożliwi narodom Wschodniej Europy (łącznie z Rosją) zapoznanie się z prawdziwym biegiem rzeczy na scenie międzynarodowej. Polakom, Czechom czy Rosjanom jest niezmiernie trudno pojąć, że BBC nie tylko nie uprawia żadnej propagandy lecz nie ma żadnej polityki. BBC informuje o faktach i prezentuje opinie partii rządzącej i partii opozycyjnej. Ta równowaga komentarzy i opinii jest ściśle przestrzegana — bez względu na to, która z dwóch partii w danym momencie sprawuje rządy.

Maksimum obiektywizmu osiągnięto w Wielkiej Brytanii dzięki temu, że w tym kraju każdy medal ma tylko dwie strony: konserwatywną i socjalistyczną. Natomiast każdy medal polski czy rosyjski ma jedną stronę urzędowo-oficjalną i dziesiątki stron opozycyjnych. Jeżeli przez obiektywizm rozumieć zrównoważoną, ściśle wysośrodkowaną opinię — to w polskich warunkach jest to zadaniem nie do osiągnięcia nawet na emigracji. Obiektywnie można tylko informować o faktach. Osobiste opinie w gruncie rzeczy nie są nigdy obiektywne. Należy to ująć ściślej. Każdy z nas jest obiektywny w kontekście swojej osobowości. Na tę osobowość składają się — genetyka, wychowanie, wykształcenie i życiowe doświadczenie. Człowiek rodzi się z pewną genetyczną predyspozycją. Przynosimy ze sobą na świat talent muzyczny, czy malarski — nie oznacza to jednak, że rodzimy się socjalistami czy konserwatystami.

Świadomym, przekonany socjalistą czy konserwatystą można się stać tylko wówczas gdy się ma prawo wyboru, co oznacza możliwość wysłuchania i rozważenia argumentów tak jednej jak i drugiej strony. Nikt nie ma prawa fałszowania faktów. Lecz każdy ma prawo do własnej opinii o faktach. W ustroju w którym władza państwowa dzierży monopol opinii o faktach — ludziom przychodzi z wielką trudnością wyrobić sobie swoje własne, indywidualne przekonania. Kalcująca funkcja propagandy nie polega na tym, co dana propaganda głosi — tylko na tym, czego głosić nie pozwala. Przekonania osobiste nie są nigdy sta-

tyczne — tylko są produktem ustawicznej walki. Ludzie, którzy nie walczą o swoje przekonania — względnie pozbawieni są możliwości konfrontacji i walki — przekonani zwykle nie mają. Jedynie w konfrontacji i w swobodnym starciu argumentów krystalizują się prawdziwe, indywidualne przekonania.

Mówiliśmy o *detente*. Jeżeli przez „odprężenie” rozumieć pełną normalizację stosunków między państwowych — to *detente* pomiędzy Sowietami a Zachodnią Europą nie jest propozycją realną. Stosunki angielsko-francuskie można określić jako normalne. Ustroje obu tych państw, choć różne, nie są antagonistycznie sprzeczne. Natomiast komunizm jest antagonistycznie sprzeczny w stosunku do ustroju demokratycznego.

Nigdy nie mówiło się tak wiele o „nie-interferencji w stosunki wewnętrzne innych państw” niż obecnie. Mówimy o nie-interferencji — ponieważ najwięcej uwagi poświęca się rzeczom, które nieodwołalnie odchodzą w przeszłość. Nowoczesna technologia sprawia, że wysoko uprzemysłowane państwa interferują — to znaczy wywierają nieustanny wpływ na rozwój sytuacji w innych krajach.

Japoński eksport stał się ważnym zagadnieniem wewnętrznej polityki Stanów Zjednoczonych. Japończycy nie mieli żadnego zamiaru wpływać na amerykańską politykę wewnętrzną — dążyli natomiast do maksymalnego opanowania rynku — zwłaszcza w dziedzinie samochodów, tekstyliów i wyrobów elektronicznych. Eksport do Ameryki niemieckiego koncernu Volkswagen spadł w ostatnim roku o 40 milionów DM, na skutek ofensywy japońskiej.

Rząd brytyjski wydalając 105 sowieckich dyplomatów i nie-dyplomatów nie miał zamiaru poróżnienia KGB z sowieckim ministerstwem spraw zagranicznych — lecz miał na celu wyłącznie bezpieczeństwo Wielkiej Brytanii.

W każdym państwie — Sowietów nie wyłączając — toczy się ustawiczna walka o władzę, lecz politycy zachodni — ponieważ w Sowietach nie ma parlamentu, wyborów itp. — traktują Kreml za tajemniczy monolit.

Świat współczesny stanowi system sprzężonych ogniów. Populacyjne „powiedzonko”, że jak Ameryka kichnie Wielka Brytania ma katar — ilustruje powyższą tezę. Weźmy inny przykład. Pekin może swą polityką ułatwić lub utrudnić zwycięstwo w następnych wyborach prezydenckich. Jeżeli prezydent Nixon będzie miał realne podstawy do zaprezentowania swej inicjatywy chińskiej jako sukcesu na drodze do normalizacji stosunków pomiędzy obu mocarstwami — zdobędzie tym samym wielki atut w swojej kampanii wyborczej.

Polityka ustrojów otwartych jest stosunkowo łatwa do odcyfrowania. Natomiast polityka ustrojów zamkniętych jak sowiecki czy chiński — stanowi — by użyć słów Churchilla — „zagadkę owiniętą tajemnicą”. Studiowanie tych ustrojów jest tak trudnym i żmudnym zajęciem, że na ogół sowietologowie i sino-logowie nie mają już czasu na politykę. Premierzy zachodnio-

Europejczy i ich ministrowie spraw zagranicznych — nigdy nie są sowietologami czy sinologami. Nie trzeba jednak być zawodowym sowietologiem by zdać sobie sprawę z faktu że jest rzeczą możliwą i pożądaną wpływać na wewnętrzną politykę Sowietów.

Weźmy prosty przykład. Można uznawać za pewnik, że KGB składa się z konserwatywnych stalinowców (czy neo-stalinowców), którzy nie życzą sobie ani *detente* na zewnątrz ani „odwilży” na wewnątrz.

Władysław Bieńkowski w swojej doskonałej książce „Sociologia Kłęski” (Biblioteka „Kultury”, tom 209) pisze, że w państwach socjalistycznych (czytaj komunistycznych) władza z politycznej przekształca się z reguły we władzę policyjną.

W związku z aferą 105 szpiegów sowieckich — ujawniono, że minister spraw zagranicznych Sir Alec Douglas-Hume na długo przed skandalem 105-ciu wystosował dwa listy do min. Gromyki — uskarżając się na działalność szpiegowską Sowietów w Wielkiej Brytanii. Na powyższe listy min. Gromyko nie odpisał. Lecz co miał odpisać? Szef KGB stoi zarówno w hierarchii państwowej jak i partyjnej znacznie wyżej niż min. Gromyko. Sowiecki minister spraw zagranicznych nie może ani zmieniać ani krytykować zarządzeń szefa KGB.

Byłoby jednak wielkim błędem wnioskować, że cały KC składa się wyłącznie z dostojników KGB. Byłoby również błędem sądzić, że polityka zagraniczna Sowietów jest w całości formułowana przez KGB.

Wybieramy nie pomiędzy dobrymi a złymi komunistami lecz pomiędzy złymi a mniej złymi komunistami.

Breżniew nie zorganizuje XX Zjazdu i nie wygłosi antystalinowskiego referatu. Victor Zorza swojego czasu wysunął dobrze udokumentowaną tezę, że politycy Zachodu nie orientowali się w walce o władzę, która poprzedziła upadek Chruszczowa. Politycy zachodni hołdując zasadzie, że „wart Pac pałaca — a pałac Paca” — różnymi posunięciami przyczynili się do upadku Chruszczowa. W wielu wypadkach nie jest łatwo nawet dla polityka zorientowanego w wewnętrznej polityce sowieckiej — powziąć właściwą decyzję.

Powróćmy do skandalu 105-ciu szpiegów sowieckich w Wielkiej Brytanii. Jak należało postąpić? Jedno jest pewne: szpiegów należało wyrzucić. Lecz dokonać tego można było rozmaicie. Można było ogłosić oficjalny komunikat i nadać sprawie maksymalny rozgłos poprzez prasę, telewizję i radio. Postępując w ten sposób wnioskowano, że jednym strzałem trafi się nie dwa lecz trzy ptaki. KGB zostanie skompromitowana. Skandal podzielał otrzeźwiająco na kraje NATO a zwłaszcza na Amerykę, która skłania się do arbitralnych redukcji swoich wojsk w Europie. Planowana przez Sowiety europejska konferencja bezpieczeństwa zostanie wydatnie opóźniona — co pozwoli Wielkiej Brytanii wynegocjować w spokoju swoje przystąpienie do EWG i przeprowadzić przez parlament skomplikowane ustawy z tym procesem związane. Ostatni punkt jest istotny, ponieważ Wielka

Brytania jako członek EWG będzie miała daleko większy głos w sprawach europejskich z projektowaną przez Sowiety konferencją europejską włącznie. Dodajmy, że głos W. Brytanii w tej sprawie byłby zbawienny, ponieważ Brytyjczycy — w przeciwieństwie do innych narodów europejskich a w szczególności Niemców — wykazują trzeźwą ostrożność w odniesieniu do cytowanej inicjatywy sowieckiej.

Aferę 105-ciu można było jednak rozwiązać inaczej. Można było wezwać ambasadora sowieckiego i wręczyć mu pełną listę „spalonych” szpiegów z zaznaczeniem, że wymienieni w liście panowie (i panie) muszą opuścić W. Brytanię cicho i spokojnie w liczbie po 15 osób miesięcznie. Można było nie wydawać oficjalnego komunikatu w tej sprawie i wszystko trzymać pod suknem w celu nie zaoznania stosunków pomiędzy Moskwą a Londynem.

Kilku polityków Labour Party wyraziło pogląd, że aferę 105-ciu trzeba było załatwić cicho, spokojnie i bez rozgłosu.

Nie jestem sympatykiem konserwatystów w Anglii czy gdziekolwiek indziej, niemniej — wydaje mi się, że rząd konserwatywny postąpił właściwie. *Detente* jest pożądana pod warunkiem, że nie będzie okupiona całkowitą akceptacją warunków sowieckich. Jeżeli przez *detente* Sowiety rozumieją zmianę klimatu, która umożliwi im penetrowanie państw Zachodu w jeszcze większej mierze niż czynią to dotychczas — „odprężenie” prowadziłoby do kłęski. Tak *detente* wyobraża sobie KGB. Gdyby Anglia rozebrała aferę 105-ciu po cichu — nie dopuszczając do skandalu — panowie z KGB powiedzieliby bardziej umiarkowanym politykom sowieckim: „mieliśmy rację — ponieważ Anglia i inne mocarstwa europejskiego Zachodu tak się nas boją, że kupią *detente* na naszych warunkach, na warunkach KGB”.

Jeszcze raz należy podkreślić, że w Związku Sowieckim istnieje wielu komunistów, którzy boją się dalszego wzmocnienia pozycji KGB — ponieważ ludzie ci wiedzą do czego to prowadzi. „Destalinizacja” Rosji jest zasadniczym warunkiem autentycznego odprężenia pomiędzy Wschodem a Zachodem w Europie. Z kolei „destalinizacja” oznaczać musi umniejszenie wszechpotęgi KGB. Nie twierdzą, że to jest propozycja możliwa. Twierdzą natomiast, że jest rzeczą możliwą formułowanie polityki Zachodu w ten sposób, by nasze posunięcia nie grały w ręce KGB, tylko odwrotnie — w ręce tych, którzy KGB się boją i widzieliby chętnie umniejszenie jej władzy.

Wbrew temu co głoszą pewni przywódcy Labour Party — (z którymi w wielu punktach sympatyzuję) — twarda reakcja rządu konserwatystów w aferze 105-ciu odniosła pozytywny skutek. Nie ulega wątpliwości, że KGB domagała się od rządu sowieckiego jaskrawego odwetu. Nadając sprawie maksymalny rozgłos — rząd brytyjski skompromitował KGB. Kompromitacja na taką skalę — osłabia każdego przeciwnika — nawet tak potężnego jak KGB. Dzięki temu KGB nie zdołało wymusić na rządzie sowieckim akcji odwetowej proporcjonalnej do porażki ponie-

sionej w W. Brytanii. Sowiety ograniczyły się do odebrania prawa pobytu względnie powrotu do ZSSR 18-tu Brytyjczykom, z których znakomita większość i tak przebywa poza Związkiem Sowieckim. Odwet sowiecki miał więc charakter czysto formalny. Kampania antybrytyjska prowadzona w radio i w prasie sowieckiej jest bez sensu — ponieważ konferencja europejska do której dążą Sowiety jest nie do pomyślenia bez udziału Wielkiej Brytanii.

II

Wadą systemu demokratycznego jest fakt, że działa niezmiernie wolno. Szybkość samolotów, samochodów i różnego przekazywania informacji — zwiększyła się wprost niewiarygodnie. W kilkadziesiąt godzin można wylądować na księżycu — lecz przeprowadzenie jakiegokolwiek ustawy przez parlament pochłania dziś tyle samo czasu co 30 lat temu.

Komisja studiów towarzystwa „Shelter”, które zajmuje się dostarczeniem dachu nad głową tym, którzy tego dachu nie mają — obliczyła, że jeżeli program likwidacji *slums'ów* będzie prowadzony w obecnym tempie *slums'y* w Anglii zostaną zlikwidowane za 204 lata.

W Wielkiej Brytanii działa tysiące towarzystw i organizacji. Niemal co tydzień powstaje jakieś nowe stowarzyszenie. Nie mam na myśli towarzystw dobroczynnych dawnego stylu. Nowość stanowią organizacje i komitety, które atakują bezpośrednio aktualne problemy społeczne czy gospodarcze. Wystarczy by rząd wysunął projekt nowego lotniska czy przebudowy danej dzielnicy Londynu — natychmiast powstaje organizacja złożona z obywateli bezpośrednio tym projektem zainteresowanych, którzy ów projekt zwalczają, lub też wysuwają swój własny, zreformowany projekt. Istnieje stowarzyszenie słuchaczy radia i widzów telewizji, stowarzyszenie konsumentów, pacjentów, lokatorów, pasażerów kolei podmiejskiej itd., itp. Dosłownie nie ma w Anglii dziedziny życia, która by nie była objęta taką czy inną formą organizacyjną.

Zasada „nic o nas bez nas” stanowi fundament każdego ruchu partycypacyjnego. Owa powódź „oddolnych” organizacji może wydawać się dziwnym fenomenem w państwie demokratycznym — w którym każdy okręg wyborczy ma swojego posła do parlamentu wybranego w pedantycznie swobodnych i uczciwych wyborach.

Wielka debata na temat przystąpienia do wspólnego rynku, która toczy się w Anglii od miesięcy — ujawniła, że nawet pewien procent Brytyjczyków — nie mówiąc o cudzoziemcach — nie zawsze zdaje sobie sprawę z istoty ich własnego systemu parlamentarnego. Poseł do parlamentu w systemie brytyjskim — nie jest delegatem okręgu wyborczego lecz jego reprezentantem. Delegat jest związany instrukcjami swoich wyborców — natomiast reprezentant nie jest związany żadnymi instrukcjami wy-

borców. Głosujący w danym okręgu wybierają posła — ponieważ zgadzają się z jego poglądami politycznymi i społecznymi i mają zaufanie do jego sądu i opinii. W czasie kadencji parlamentu mogą pojawić się problemy o ogólnonarodowym, historycznym znaczeniu, lecz i wówczas poseł nie staje się delegatem swojego okręgu wyborczego tylko pozostaje jego reprezentantem. Z tych przyczyn w Anglii teoretycznie możliwa jest sytuacja, że parlament zwyczajną większością głosów uchwali przystąpienie Anglii do wspólnego rynku, mimo; że większość wyborców — gdyby miała po temu możliwość np. poprzez referendum — wypowiedziałyby się, być może, przeciwko przystąpieniu Wielkiej Brytanii do EWG.

Każdy system ma swoje plusy i minusy. W mojej opinii system brytyjski ma więcej plusów niż minusów. Sklepiarz na rogu czy dentysta naprzeciwko mogą być prawymi ludźmi, którym dobro państwa leży na sercu — lecz nie mają ani czasu ani możliwości sumiennego przestudiowania tak złożonego problemu jak przystąpienie Anglii do EWG. Poseł do parlamentu — ma zarówno czas jak i możliwości dokładnego przeanalizowania całej sprawy. Gdyby przeprowadzono referendum — główną rolę w powzięciu decyzji odegrałyby emocje i przesady — a nie argumenty rzeczowe.

Wyborcy w stosunku do posła mają ostateczną sankcję. W następnych wyborach mogą po prostu go nie wybrać i dlatego każdy poseł liczy się z opiniami swoich wyborców — choć nie jest tymi opiniami związany. Poseł może również głosować wbrew oficjalnej linii partyjnej — ponieważ jego pierwszym obowiązkiem jest głosować w zgodzie ze swoim sumieniem i rozpoznaniem.

Parlamentaryzm brytyjski jest wspieraną instytucją i skarbnicą wiekowych socjalnych doświadczeń. W cieniu tej instytucji dokonują się dzisiaj głębokie społeczne przemiany.

Przed wszystkim zmieniła się socjalno-gospodarcza równowaga. W wiktoriańskiej Anglii kapitaliści mogli przeprowadzić co chcieli. Dziś wydaje się, że robotnicy mogą przeprowadzić co chcą. Jeżeli przyjąć, że po jednej stronie gospodarczo-społecznej barykady mamy przemysłowców a po drugiej stronie robotników — to wypada stwierdzić, że ani Labour Party nie reprezentuje w pełni robotników ani partia konserwatywna nie reprezentuje *businessmen'ów*. W okresie kiedy liberałowie byli wielką partią a socjalizm brytyjski zaczynał ząbkować — partia liberalna reprezentowała w pełni przemysłowców brytyjskich.

Klasę robotniczą reprezentują związki zawodowe, których polityka nie zawsze jest zbieżna z oficjalną polityką Labour Party.

Brytyjska partia komunistyczna zasługuje na chwilę uwagi. Liczebnie partia komunistyczna jest bez znaczenia. Posiada około 30 tysięcy członków i nie ma ani jednego posła w parlamencie. Jednak jej wpływ w związkach zawodowych jest nieproporcjonalnie duży w stosunku do jej liczebności. Nie ma w tej sprawie dokładnych danych statystycznych, wiadomo jednak, że w potęż-

nych związkach zawodowych liczących miliony członków, komuniści zajmują wiele kluczowych stanowisk. Lecz w znakomitej większości robotnicy brytyjscy nie są ani komunistami ani kandydatami na komunistów. Komuniści brytyjscy zrezygnowali z kokietywania intelektualistów. Ze śmiercią Isaaka Deutschera zeszedł ze sceny ostatni wybitny intelektualista i płodny pisarz, który otwarcie przyznawał, że był marksistą. Lecz Deutscher — pisarz i publicysta — nie był członkiem ani polskiej ani angielskiej partii komunistycznej. Był swoim własnym „komite-tem centralnym” i dzięki temu nie miał żadnych trudności w publikowaniu swoich licznych książek.

Polscy komuniści zrezygnowali również z współpracy z intelektualistami. Przewiduję, że w krajach „na dorobku” jak Polska, Czechosłowacja czy Węgry — na tym tle zarysuje się wkrótce nowy konflikt społeczny.

Dawniej przez bogactwo rozumiało się zasoby naturalne jak węgiel, nafta, kruszce — a przez przemysł rozumiano umiejętnie wykorzystanie tych bogactw. Japonia — realnie biorąc — nie ma żadnych zasobów surowcowych. W porównaniu już nie z Rosją ale nawet z Polską — Japonia jest surowcową pustynią. Niemniej jest trzecią z kolei potęgą przemysłową i kandydatem na największe przemysłowe mocarstwo świata. Jak to się stało? Jakkolwiek się to stało — dawną definicję bogactwa (surowce plus przemysł) uznać należy za niezgodną z współczesną rzeczywistością.

Źródłem bogactwa jest dziś nauka i armia wykwalifikowanych pracowników. Polska nie musi mieć bomb atomowych czy statków kosmicznych — lecz jeżeli Polska ma przekroczyć granicę oddzielającą kraje nierozwinięte od krajów rozwiniętych — gospodarka polska musi być elektronicznie zarządzana i elektronicznie planowana. Optymalne decyzje gospodarczo-społeczne mogą być pobierane wyłącznie w oparciu o elektroniczną analizę.

W Anglii nie można być księgowym lokalnej gazowni jeżeli nie umie się czytać komputerowego *print-out*'u. Ilu członków polskiego KC odpowiedzialnych za gospodarkę widziało komputerowy *print-out*?

To jest skomplikowany przedmiot i chciałbym podkreślić tylko socjologiczny aspekt tego zagadnienia. W Polsce Ludowej są inżynierowie i socjologowie, którzy w oparciu o swą wiedzę zdają sobie sprawę z zasięgu rewolucji elektronicznej. Lecz ci ludzie mają przeciwko sobie aparatczyków, którzy w 90 procentach składają się z „elektronicznych analfabetów”. Ta masa „elektronicznych ciemniaków” czuje się zagrożona. Jeżeli Polska gospodarka, podobnie jak gospodarka japońska czy zachodnio-niemiecka, miałaby być elektronicznie zarządzana — konserwatyści w aparacie partyjnym straciliby władzę, posady i znaczenie.

Inżynierowie i technolodzy, w przeciwieństwie do socjologów, nie zawsze zdają sobie sprawę z faktu, że elektronika jest nie tylko gałęzią specjalistycznej wiedzy lecz — w swym ostatecz-

nym zastosowaniu — jest nowym systemem gospodarczo-społecznym.

W sto lat po wynalezieniu druku Polska miała jeszcze ogromny procent analfabetów. Lecz życie wszystkich — tak tych co umieli czytać, jak i tych co czytać nie umieli — regulowane było poprzez druk.

Życie każdego z nas na Zachodzie regulowane jest przez elektronikę. Od danych osobistych ujawnionych przy spisie ludności zaczawszy — a na rachunku za telefon skończywszy. Niemniej wielu z nas — mimo, że jesteśmy w całości „w rękę” komputerów — o elektronice nie ma pojęcia.

Elektronika jest już dzisiaj przedmiotem nauczania w szkołach średnich a w przyszłości stanowić będzie przedmiot z grupy przedmiotów tzw. ogólnego wykształcenia.

Tu dochodzimy do głównego punktu tych elektronicznych rozważań. Elektronika stawia bardzo wysokie wymagania i to nie tylko w stosunku do inżynierów i technologów, lecz w stosunku do całej pracującej ludności danego kraju. Poziom ogólnego wykształcenia musi być wyższy — ponieważ elektronika to nie tylko produkcja, planowanie i optymalne decyzje — lecz również wszystkie media przekazu — dzisiejsze i jutrzejsze. W Anglii ukazuje się coraz więcej książek na taśmie magneto-fonowej i nie brak „wieszczów”, którzy twierdzą że za 100 lat w ogóle nie będzie książek tylko kasetki z taśmą. Produkcja taśmy będzie bowiem coraz tańsza a druk i papier coraz droższy.

Elektronika stwarza możliwości osiągnięcia dobrobytu i ogólnej wysokiej stopy życiowej w krajach, które nie obfitują w bogactwa naturalne. Można zaryzykować pogląd, że głównym „surowcem” elektroniki jest mózg ludzki i jego hodowle to znaczą uniwersytety i wyższe uczelnie.

Nie twierdzę, że elektronika jest najkrótszą drogą do demokracji przemysłowej. Twierdzę natomiast, że aparaty partyjne w państwach komunistycznych są niezdolne do przeprowadzenia rewolucji elektronicznej, ponieważ rewolucja tego typu musiałaby się zacząć od przebudowy obecnego modelu gospodarczego od stóp do głów.

Jednostronne kształcenie obywateli sowieckich utrudnia pełne wykorzystanie elektroniki — a jako produkt uboczny — ośmiesza Sowietów. W Anglii ujawniono, że agenci KGB byli gotowi zapłacić wysoką cenę za możliwość zwiedzenia hangaru w którym stoi prototyp samolotu „Concorde”. Ci „znakomici” specjaliści KGB, których wielu spędziło w Anglii wiele lat — nie wiedzieli, że „Concorde” nie jest objęty przepisami tajemnicy państwowej — ponieważ jest to towar na eksport. W Sowietach formuła produkcji pasty do butów jest tajemnicą państwową — nic więc dziwnego, że asom z KGB nie mogło się pomieścić w głowach, że członkowie sowieckiej misji handlowej mogliby każdej chwili oglądać jak najdokładniej prototyp „Concorde” nie wydając na to ani jednego grosza.

Komputery budują i obsługują specjaliści elektronicy. Lecz

zarówno do zaprogramowania tych komputerów jak i do przeanalizowania ich odpowiedzi — potrzeba licznych kadr ekonomistów, manadżerów, planistów, socjologów, psychologów, którzy umieliby inteligentnie programować i co niemniej ważne, stawiać komputerowi inteligentne i właściwie sformułowane pytania. Elektroniczny zegarek — cud nowoczesnej techniki — szympansowi nie powie nic.

Elektronika — być może nie stworzy we Wschodniej Europie demokracji parlamentarnej — lecz z całą pewnością obali biurokratyczny komunizm „ciemniaków”.

III

Można dostać samochód czy telewizor na kredyt. Lecz do tej pory nagrody Nobla nie przyznawano na kredyt. *Ostpolitik* kancлера Brandta stanowi pierwszy rozdział powieści, która nie wiadomo jak się skończy i czy w ogóle zostanie napisana. Nie wiadomo również czy uwieńczona przedwcześnie *Ostpolitik* przyczyni się do utrwalenia pokoju w Europie. Być może przyczyni się tylko do utrwalenia dominacji Sowietów w Europie Zachodniej — co w konsekwencji wywołałoby z czasem nowe tarcia i konflikty — być może poważniejsze i groźniejsze niż w przeszłości. Gdyby tak się stało — zarówno laureat Brandt jak i ci którzy przyznali mu nagrodę pokojową Nobla — w świetle historii wypadliby nieco komicznie.

Brandt zjawił się w Niemczech w roku 1945 jako członek misji norweskiej w państwowej służbie swojej przybranej ojczyzny. Niemcy były rumowiskiem podzielonym na strefy okupacyjne. W chwili gdy wielu Niemców marzyło o emigracji do Ameryki — Brandt zrzekł się norweskiego obywatelstwa, stanowiska, pensji i osiadł w Berlinie ofiarowując życie i zdolności swojej pokonanej i upokorzonej ojczyźnie. Cytuję ten szczegół by wprowadzić rozróżnienie pomiędzy Brandtem człowiekiem a Brandtem politykiem. Nagrodę dano na kredyt *Ostpolitik* — nie człowiekowi.

Tegoroczną literacką nagrodę Nobla przyznano komuniście Pablo Neruda. Zagraniczni komuniści nie powinni przyjmować nagrody Nobla — dopóki wybitnym nie-stalinowskim pisarzem sowieckim jest to wzbронione. Nie-sowiecki pisarz komunistyczny przyjmujący nagrodę Nobla — identyfikuje się ze Szołochowem — piewą nie tylko błękitnego Donu lecz również cenzury i „zamordyzmu” w literaturze. Szołochow — jak wiadomo — bez trudności ze strony KGB odebrał swoją nagrodę w Sztokholmie.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Widziane z Brukseli

El Supremo

Ciężka kotwica znikła już w piaszczystym dnie Pacyfiku. Okręt *Royal Navy* kołysał się na delikatnej fali a załoga zmęczona długim postnym rejssem z Anglii, pełna nadziei czekała na zejście z pokładu i wypatrywała wyłaniających się z porannej mgły konturów miasta, słynącego ze środkowo-amerykańskich rozkoszy. *The Honourable Captain* Horatio Hornblower w paradnym mundurze czekał na gości z łądu. Miał przybyć sam władca kraju, były gubernator tej kolonii hiszpańskiej, który zbuntował się, zaczął rządzić samodzielnie w oderwaniu od metropolii, po czym zwariował ze szczęścia i kazał nazywać się „El Supremo”. Słabość Hiszpanii — to siła Anglii, więc zgodnie z tą racją stanu Hornblower — choć z niesmakiem — przekazał już zwiariowanemu władcy broń i pieniądze, a teraz oczekiwał rewizyty dyktatorka na pokładzie okrętu Jego Królewskiej Mości. Aż nagle, w ostatniej dosłownie chwili, wszystko zawisło na włosku. Oto adiutant władcy donosi, że *El Supremo* żąda, aby na jego cześć okręt oddał 23 wystrzały armatnie. Hornblower osłupiał, albowiem nawet król czy imperator ma prawo tylko do 21 wystrzałów. Już chciał adiutanta wyrzucić, kiedy to interes Anglii i zdrowy rozsądek zwyciężyły. Kapitan Hornblower każe walić 23 razy, zgodnie z zasadą, że wszystko co przekracza królewską normę „21” i tak nie ma już *absolutnie* żadnego znaczenia.

W tej relacji cyfry mogą się lekko nie zgadzać. Powyższe streszczenie jednej z przygód mądrego kapitana *Royal Navy* pióra popularnego w Anglii pisarza Forestera, pochodzi bowiem z pamięci i to nie z własnej. Jakakolwiek byłaby jednak wielkość błędu w sprawie łaćniańsko-amerykańskiego *El Supremo*, to i tak ciągle będziemy bardzo daleko od salwy ze 101 dział jaką prezydent Francji oddał na cześć Leonida *El Supremo* Breżniewa. Kanonada na Orly zabrzmiała tym sztuczniej, że kpt. Hornblower swe powitalne przemówienie rozpoczął od pełnej uroku i godności inwokacji do „Ekscelencji *El Supremo*”, podczas gdy prezydent Francji musiał się ograniczyć, gdy tylko umilkły działa, do biurokratycznego *Monsieur le secrétaire général*.

Od Piotra do Leonida

101-strzałowy wiwat był jednak tylko skromnym fragmentem wielkiej uwertury do 5-dniowego kiermaszu francusko-sowieckiego. Hymny narodowe, przegląd wojska, czerwony chodnik jak dla kosmonautów w Moskwie, ogromna kolumna eskorty motocyklowej, całe bataliony gwardii republikańskiej na koniach i

na piechotę, szable i hełmy, rząd i dyplomacja *in corpore*, przyjęcia na setki osób (kawior *skolko ugodno*) smokingi i długie suknie (ale Rosjanie skromnie w przepisowych garniturach), stara porcelana i nakrycia, antyki — jeszcze nigdy żaden funkcjonariusz partyjny nie był tak witany. Sam Breżniew niczego podobnego nie pamięta, nawet w Pradze czy Berlinie nigdy nie był tak hucznie i z takim fasonem przyjmowany. Zabrakło co prawda, rytualnego pocałunku (ah, jak ten Breżniew całuje!), który jest najbardziej *sexy* szczególnie powitań i pożegnań na Wschodzie, ale prezydent się jakoś pocieszył, a Breżniew odbił sobie to wycelowując podwójnie gorąco tow. Honneckera w Berlinie, pod drodze do domu.

Breżniew zresztą natychmiast zrozumiał, że za brak pocałunku należy się Francuzom jakieś zadośćuczynienie. Postanowił więc wszystkich oszołomić. W odpowiedzi na powitanie wygłoszone w Sali Ambasadorów pałacu Elizejskiego przez Pompidou, Breżniew, zamiast tak dobrze znanym ruchem sięgnąć do prawej kieszeni marynarki po tekst przemówienia, założył ręce do tyłu i walił z pamięci. Oczywiście brak mu wprawy, no i atmosfera tego pałacu ciemniejszych ludzi, zamieszkałego obecnie przez agenta Rotszyldów — niedawno zdemaskowanych w Moskwie — nieco onieśmiela, więc się Breżniew kilka razy sygnął i raz musiał nawet przerwać zdanie, bo zapomniał od razu na wstępie podziękować za gorące przyjęcie. Ale, mimo zaskoczenia, jak na pierwszy raz wcale nieźle mu poszło, tym bardziej, że tłumacz gładko tekst przeczytał i nikt wpadki nie zauważył, poza może pewnym autentycznym rosyjskim księciem, tłumaczem prezydenta Francji.

Bądźmy jednak poważni. Breżniew to nie zwykły funkcjonariusz, a Pompidou — to nie de Gaulle. Francuzi, za przykładem Hornblowera uznali widocznie, że racja stanu wymaga strzelania na cześć *El Supremo* z Moskwy i że sekretarz KC Breżniew nie jest sekretarzem KC Kliszką, którego de Gaulle nie wpuścił do Elysée, odsyłając go jako wicemarszałka Sejmu do kolegi z *Palais Bourbon*, a jako sekretarza KC do tow. Marchais.

Gestom pour épater les prolétaires nie było wprost końca. Koszta i słowa nie grały żadnej roli. Komunista nr 1 mieszkał w pałacu Ludwika nr 14, bywał w teatrze Ludwika nr 15, jadał na stołach Ludwika nr 16 i 17. Pompidou przypomniał „panu sekretarzowi generalnemu” że przed 250 laty Francja już witała jego poprzednika, cara Moskwy, i że to sam Wolter stwierdził, iż „Piotr Wielki został przyjęty we Francji tak jak przystało...”. Pompidou przypomniał też, że „pomnik Piotra Wielkiego stoi ciągle niedaleko Aurory, a prezydent Republiki podejmuje dziś pana sekretarza generalnego w pałacu Ludwika XIV. Niech mi wolno będzie — uspokoił prezydent sekretarza — widzieć w tym symbol pomyślnej ciągłości... i zapewnić Pana, że Francja podejmuje Pana, tak jak przystało...”.

I rzeczywiście. Niepomni zbieżności sądu z Mao Tse-tungiem i Enwerem Hodżą co do pomyślnej ciągłości nowych carów, gos-

podarze nie wahali się powracać do historii. Pani Breżniewowa, jako kobieta, miała więc okazję spotkania z Katarzyną Wielką (porcelanową) i tak zasmakowała w wycieczkach w rewolucyjną przeszłość, że podczas gdy jej mąż odprawiał rekolekcje w domu Lenina, ona postanowiła odwiedzić dom La Fayette'a. Dopiero później okazało się, że zaszło jakieś nieporozumienie i że ten La Fayette to nie żaden czerwony hrabia, tylko taki paryski GUM, gdzie Francuzki stoją w ogonkach, aby wydać na zagraniczne ciuchy ostatnie bezwartościowe franki.

Na dachach Paryża

Obserwatorom, których zdumiewała przepych, świecidełka i zaścienie oraz salwy jakimi otoczono działacza partyjnego, myślącego przecież wyłącznie o doli mas robotniczych, prywatnie wyjaśniano, że cały ten królewski repertuar jakim V Republika obrzuciła komunistycznego przywódcę miał tylko z pozoru ośnić gościa z krainy białych niedźwiedzi. W istocie chodziło o oddzielenie go żywym murem koni, motocykli i ciał od ewentualnych przeciwników doktryny Breżniewa, których łatwy dostęp do drogiego gościa Francji mógłby skłonić do nieprzemysłanych gestów powitalnych. Francja, mówiono, pamięta salwy nie powitalne a wprost przeciwnie do króla Aleksandra i min. Barthou, a przecież trudno nawet porównywać światowy zasięg antypatii, jaka otaczała jugosłowiańskiego monarchę i jaka otacza moskiewskiego neo-cara.

Dzięki tej trafnej analogii pobyt tow. Breżniewa pozwolił na pełny i dokładny przegląd sił policyjnych Francji oraz na sprawdzenie jej wartości bojowej. Od maja 1968 roku nie widziano w Paryżu takiego festiwalu wszystkich rodzajów policji, mundurowej i nie, municypalnej i wojskowej, pieszej, konnej, zmotoryzowanej i latającej. 10.000 stróżów porządku godnie i spokojnie manifestowało na cześć *El supremo sovietico*. Tworzyli karne szpalery wzdłuż tras, które przemierzała, wypełniała pustkę ulic i placów, ochoczo — jako masy francuskie — machając do oczarowanego gościa. Stali z pistoletami i karabinami maszynowymi na dachach Paryża, tworząc warstwę pośrednią pomiędzy kolegami rozstawionymi u dołu, a kolegami latającymi w helikopterach w górze. 15 kompanii CRS — czyli wyjątkowo we Francji popularnych oddziałów bezpieczeństwa kraju — ściągnięto z prowincji, 30 szwadronów zmotoryzowanej żandarmerii przybyło z odsieczą słabnącym z entuzjastycznej czujności zwyczajnym policjantom.

Ci ostatni byli zresztą potrzebni gdzie indziej. Musieli mianowicie wyaresztowywać wyjątkowo nahalne elementy syjonistyczne spod znaku paryskiego „Klubu Babel”, które nie rozumiejąc prawdziwego sensu tradycyjnej gościnności, chciały zakłócić spokój dostojnych gości, wręczając im prowokacyjne listy w sprawie sfabrykowanego problemu syjonistycznych więźniów w

ZSSR. To samo spotkało nie mniej parszywych intelektualistów, kiedy chcieli przekazać prośby o ułaskawienie rozmaitych Grigorenków i Amalrików, oraz doręczyć listy matki Bukowskiego i syna Jakira, które to listy poczta w ZSSR zwraca z adnotacją „nadawca nieznany”. Inni policjanci musieli w tym czasie, w towarzystwie specjalnie tresowanych psów, dokładnie obstawić pałac w Trianon, a przedtem jeszcze dokładnie opukać ściany, tyle przecież kryjące tajemnic z przeszłości. Sprawa ścian bardzo mnie osobiście zdziwiła. To chyba przesada i marnotrawstwo. Albo bowiem mikrofony w ścianach zostały zainstalowane przez władze francuskie, a wtedy pukanie francuskich policjantów nie ma sensu, albo zainstalowały je kompetentne organy ZSSR (podobnie jak kazały wstawić kasę pancerną do gabinetu Ludwika XIV i Leonida 1), a wtedy byłoby to po prostu nieuprzejme. Zresztą nic nie znaleziono, czyli że mam rację.

Kryptonim „K”

No i wreszcie ta sama policja musiała przeprowadzić pewną niezwykle skomplikowaną operację oczyszczającą i ugodzić wroga w najczulsze miejsce. Operacja udała się znakomicie i została zarejestrowana pod kryptonimem „K”. Od dawna już mianowicie zwrócono uwagę na działalność pewnych podejrzanych osobników ukrywających się pod mylącymi zawodami kupców, inżynierów, szwerców i dziennikarzy. Pochodzili oni wszyscy z krajów, które dotknięte zostały doktryną towarzyszy Lenina, Stalina, Chruszczowa i Breżniewa, z powodu tego dotknięcia, osobnicy ci musieli emigrować — niektórzy nawet w pewnym pośpiechu — i nie zachowali, rzecz naturalna, najlepszych internacjonalistycznych uczuć wobec pierwszego kraju socjalizmu. Tułaczym szlakiem praocjów dotarli do Francji, matki wypędzonych, ojczyzny prześladowanych. Jedli gorzki chleb wgnanych, sławiąc wolność we Francji i oplakując niedolę swych braci. Nikt z nich, choćby z wdzięczności za schronienie, a także z rozważli i poczucia proporcji, nie miał zamiaru zakłócać francuskiego pikniku Breżniewa, uważając, i słusznie, że to pierwsze spotkanie z Zachodem może bardziej wstrząsnąć przywódcą sowieckim niż mało skuteczne gesty niechęci. Tym bardziej, że co prawda azyłowi, ale i oni są gośćmi Francji i nie wypada zastępować prawdziwych Francuzów w demonstrowaniu uczuć lub ich braku wobec zagranicznych choć bezdewizowych gości.

To całe rozumowanie z pozoru bezbłędne nie dotarło jednak gdzie trzeba. Niewykluczone zresztą, że tak jak kapitanowi Hornblowerowi adiutant *El Supremo* przekazał żądanie przesadnego strzelania z armat, tak i adiutanci Breżniewa przekazali Francuzom swoje postulaty odnośnie niezbędnej profilaktyki. Raz wypadło to nawet śmiesznie, bo z tej samej okazji (podróży Breżniewa) dokonano równocześnie w Moskwie i w Paryżu tego samego dnia analogicznej akcji policyjnej. Tu i tam mianowicie

aresztowano Żydów demonstrujących za wolnością emigracji z ZSSR. Agenci KGB strzegli w Paryżu swego szefa jak żrenicy oka, spali u drzwi w Wersalu i aby uniknąć nieporozumień ze swymi francuskimi kolegami, nosili w klapach specjalne granatowe szpilki, co wydało mi się o tyle niepotrzebne, że i tak ich było poznać po modzie męskiej. Ale tak naprawdę to tylko raz poczuli się jak u siebie w domu. W domu Lenina mianowicie, kiedy to wbrew przepustkom, wydanym przez samo KC partii francuskiej, kazali zwyczajnie, po swojemu, pójść wont dziennikarzom francuskim akredytowanym przy osobie pana sekretarza generalnego. Niewykluczone też, że to granatowe szpilki zażądały przeprowadzenia akcji „K” i zneutralizowania elementów niepewnych.

Pewnym więc błędym świtem październikowym w 58 domach paryskich rozległy się dzwonki. I nie był to wcale mleczarz, a właśnie ten drugi. Wyrwani ze snu, bez śniadania, ledwo zdążywszy pożegnać się z najbliższą rodziną, zmuszeni do zerwania umówionych spotkań, do zaniedbania ustawy o dyscyplinie pracy, 58 niebezpiecznych elementów politycznego podziemia, zostało policyjną budą przewiezionych aż pod samolotowy trap i — Caravelle Air France — na bezpieczną dla Breżniewa odległość, mianowicie na Korsykę. Podobnie jak w celu ratowania Włoch deportowano na oddalone wyspy kilkudziesięciu gangsterów z mafii, tak i władze francuskie wywiozły na Korsykę kilkudziesięciu swoich „mafiosi” z nożami w zębach, w rodzaju dziennikarza Tigrida (od 25 lat we Francji), studenta Fleischmanna, lekarzy, kupców itd. Nie zabrakło naturalnie w tym komplecie świeżutkiego jak niedzielny *croissant* żydowskiego emigranta z ZSSR, który zyskał w ten sposób 8 dni czasu na cenne rozmyślanie w kwestii wprost proporcjonalnego związku między jego własną wolnością osobistą a bliskością fizyczną tow. Breżniewa.

Oczywiście, wszystko to było nie tylko bez sensu, ale także sprzeczne z prawem. Bezpieczeństwo drogiego, ale średnio tylko lubianego, gościa usprawiedliwiało naturalnie pewne środki zabezpieczające, ale wykluczało na pewno to, co się nazywa „przymusowym oddaleniem”, a co jest zwyczajnym zasekwestrowaniem i pogwałceniem wolności osobistej, praw obywatelskich i innych drobiazgów. W przypadku takiego zasekwestrowania prawo francuskie zwalnia z odpowiedzialności bezpośredniego wykonawcę, czyli eskortującego policjanta, ale za to — teoretycznie — surowo karze rozkazodawcę, czyli...

„Oddalanie” podejrzanych typów weszło już prawie w zwyczaj we Francji. Ten cudowny środek zastosowano przy okazji wizyty Tito i Chruszczowa. Ba, tak się to „oddalanie” spodobało władzy, że zastosowano je nawet w obiegu wewnętrznym. Przed przyjazdem de Gaulle’a do departamentu Oise w 1964 roku, prefekt kazał aresztować pewnego niekochającego prezydenta kupca z Compiègne i potrzymać go w komisariacie aż do wyjazdu generała. Kupiec jednak nie metek, i nie uchodźca, a prawdziwy Francuz, więc bez kompleksów, zaskarżył prefekta do sądu.

A sąd skazał nadgorliwego dygnitarza na 1.000 fr. grzywny, wskazując, iż „popełnił on ciężki, niewybaczalny błąd a zarazem i bezprawnie dokonując zamachu na wolność jednostki”. Fakt, iż w sprawie akcji „K” nikt nie stanął przed sądem i nie zapłacił grzywny, otwiera przed prefektami wznuszające perspektywy. Sądząc z entuzjazmu prasy sowieckiej, która decyzje „oddalające” władz francuskich powitała jako „stanowczą porażkę prowokatorów i wrogów przyjaźni sowiecko-francuskiej”, można spodziewać się, iż precedens znad Sekwany zostanie umiejętnie zastosowany w specyficznych warunkach ZSSR przez mało w tej dziedzinie pomysłowe odpowiednie czynniki kraju Rad.

A *propos* pomysłów, nie należy wyobrażać sobie, iż akcja „K” wyczerpała listę środków ostrożności. Ale gdzie! Równocześnie z akcją „K” uruchomiono akcję „M”, czyli „meldować się!”. Setki osób musiały na cześć tow. Breżniewa dwa razy dziennie meldować się na policji, która w ten sposób trzymała rękę na pulsie wydarzeń. Honor bliskiego kontaktu z władzą nie ominął naturalnie redakcji *Kultury*. Trójka spiskowców, w tym jeden cocker-spaniel, dwa razy dziennie, o 10 rano i o 17, zjawiała się w komisariacie w Maisons Laffitte. Jeszcze nawet w sobotę popołudniu, czyli już po wyładowaniu partyjnego Ił-62 w superbezpiecznym Berlinie wschodnim, cocker musiał się zameldować u p. komisarza, aby udowodnić, że nie podłożył do walizki p. sekretarza generalnego bomby z opóźnionym zapłonem (ukrytej w rosyjskim numerze *Kultury*). Komisarz zmęczony, ale szczęśliwy udał się potem na niedzielny wypoczynek, a *Kultura* z niepokojem myśli co będzie jeżeli przyjedzie inny *El Supremo*, np. z Warszawy. Czy pozwolą choćby zamienić wtedy Korsykę na Baleary...?

Pomnik hipokryzji

Okazało się zresztą, że cały ten wspaniały pogrzeb był na nic. Elementy podejrzone i tak były w strachu, a Francuzi są zbyt rozleniwieni dobrobytem, aby wychodzić w niepewną pogodę na ulicę i manifestować przeciw komukolwiek, naturalnie z wyjątkiem Nixona. Po 5 dniach obiadów, toastów i strzelania na wiat, wizyta dobiegła więc końca w niezmaconej atmosferze i przy niebieskim niebie, na którą to okoliczność podpisane zostały odpowiednie dokumenty.

Najpierw poszły konkrety. Renault podpisał umowę o dostarczenie za miliard dwieście milionów franków sprzętu i technologii dla największej fabryk ciężarówek na świecie, gdzieś nad Kamą, daleko od Moskwy. Mała to rzecz, ale Francuzów cieszy, choć niektórych lekko niepokoją nieznanne im powody, dla których takie pętaki jak Ford, Mercedes, Leyland i Toyota z tej szalonej okazji nie skorzystały.

A potem przyszła polityka. Przede wszystkim uroczysta deklaracja. Nie jest to zupełnie to, o czym Breżniew marzył, czyli *nastajaszczyj* traktat o wieczystej przyjaźni i braterstwie, ale jest

to więcej niż się spodziewał. Pompidou deklaruje tam, a rzecz jest dla Rosjan cenna, gotowość przystąpienia już w przyszłym roku do definitywnych i wielostronnych konsultacji w Helsinkach w sprawie zwołania konferencji na temat bezpieczeństwa w Europie.

I drugi dokument polityczny — karta zasad współpracy Francji i ZSSR. Dwa są tej karty elementy najciekawsze. Jeden: to co w niej jest. I drugi: to czego tam nie ma. Pierwszym jest zawarty w karcie spis świętych reguł, obowiązujących od tej chwili w polityce obu krajów. Drugim — przemilczane fiasko rozmów w podstawowej dla Europy sprawie, jaką jest redukcja sił zbrojnych w środkowej części naszego kontynentu, tam gdzie obie strony stoją oko w oko.

Proklamacja zasad przejdzie do najpiękniejszych kart dyplomacji XX wieku. Najpiękniejszych i najśmieszniejszych. Obie strony zobowiązują się tam do respektowania następujących przykazań: nienaruszalność obecnych granic, nieingerencja w wewnętrzne sprawy innych państw, równość, niezależność, nie uciekanie się do siły lub groźby. Łza mi się zakręciła w oku, kiedy pomyślałem sobie jak chętnie podpisałby taki układ w 1968 roku Dubczek np., albo Rumunia. Nie, nie z Francją, a z ZSSR...

Ale, precz szyderstwa. Ta proklamacja paryska jest wyjątkowym pomnikiem hipokryzji¹. Oznacza po prostu, że Francja uważa blok wschodni — gdzie ZSSR te zasady regularnie, konsekwentnie i bezkarnie gwałci — za jedno państwo, a kraje tego bloku za niesamodzielne i poddane *ex officio* kurateli Moskwy. W trzy lata po najeździe Czechosłowacji prezydent Pompidou formalnie wymazał ten — jak go wówczas wieszczko nazwał min. Debré, *accident de parcours*.

Ale proklamacja paryska oznacza także coś więcej. Oznacza mianowicie kolejne fiasko gaulizmu. De Gaulle starał się pogodzić swoją koncepcję otwarcia na wschód z procesami emancypacyjnymi krajów satelickich. Podpis prezydenta Francji pod deklaracją zasad, które drugi podpisujący nieprzerwanie „depcze i drze na strzępy” (jak pisał Stalin do Tito) oznacza definitywną rezygnację Francji z tej koncepcji.

Słusznie więc w 1971 roku nie polityk francuski a polityk niemiecki otrzymuje pokojową nagrodę Nobla, a pewna Niemiec-ka grafini dziennikarka, też za pokój. Cokolwiek bowiem robiliby Niemcy dla pokoju to zawsze będzie więcej niż się spodziewamy. I odwrotnie, cokolwiek dla wolności i równości zrobią Francuzi, to zawsze będzie mniej niż powinni. Nie mówiąc już o przypadkach kiedy się z tej wolności i równości naśmiewają.

Po co taką deklarację i taką proklamację podpisali Rosjanie, to wiemy. Nic ich ona nie kosztuje, nie takie już wrzucali do

1. Pomijam już zupełnie niepoważne fragmenty na temat swobodnej wymiany ludzi i idei. Po aferze Sołżenicyna, Roztropowicza i wielu innych, po embargo na tygodnik Aragona ten punkt wymyka się w ogóle jakiegokolwiek ocenie.

kosza w odpowiednim momencie, a mają nadzieję, że do konferencji doprowadzą, NRD do salonów wpuszczą, Amerykanów z Europy wyrzucą, i zachód europejski zneutralizują. Ale jaki interes mieli w tym Francuzi? Czy miał to być jedynie łatwy i tani przejaw samodzielności wobec amerykańskiego parasola atomowego? Przecież i tak się bez niego nie obejdzie, o sojuszach decydują bowiem nie papierki a realny układ sił na świecie. Nic dziwnego, że w tej atmosferze — już po ostatniej wieczery — pewien bardzo poważny polityk z okresu de Gaulle'a miał powiedzieć: „Za naszych czasów Francja była pomiędzy Rosją a Niemcami. Teraz Rosja jest między Niemcami a Francją”.

Refleksja to gorzka, ale tym słuszniejsza, że odwrotnie do intencji Paryża, po 5 dniach wizyty Breżniewa rola polityczna Francji na świecie, nie tylko nie wzrosła, ale nawet zmalała. Początek wizyty został przyćmiony przez triumfalne wejście Mao do ONZ, a koniec wizyty w ogóle wymazany z pierwszych stron gazet przez dopłynięcie Anglii do Wspólnego Rynku. Te dwa wydarzenia, a nie policyjny triumf Breżniewa w Paryżu, wykazały gdzie się dzieje prawdziwa polityka. I na jakiej zasadzie. Wniosek jasny: Francja się liczy nie jako jedno z 5 wielkich mocarstw, a tylko jako jeden z elementów jednego z 4 wielkich mocarstw, a mianowicie 10-państwowej zintegrowanej Europy zachodniej².

Breżniew o tym wiedział od początku i dlatego m.in. deklaracja nie wspomina o tej drugiej sprawie, to znaczy o redukcji sił w Europie. Szkoda zresztą, że nie wspomina. Francja rzekomo nie chce tych rokowań, bo to, panie, oznaczałoby dyskusję między blokami, a my bloków nie lubimy. Nie po to, mówi Paryż, występowaliśmy z NATO, aby do niego wracać pod pretekstem rozmów o redukcji wojsk. I w ogóle byłoby to zachwianie równowagi — gdzie Krym, a gdzie Waszyngton??? Szkoda, powtarzam. W ramach festynowo-deklaracyjnych atrakcji można było, bez żadnego ryzyka, zaproponować całkowite wycofanie wojsk amerykańskich z Europy w zamian za wycofanie wojsk ZSSR z NRD, Polski i Czechosłowacji. To w tej właśnie sprawie warto było podpisać deklarację: po co wojska kiedy mamy i tak szanować granice, wolność, niepodległość, równość...

Z powodu takich przemilczeń i takich deklaracji wizyta francuska szalenie się Rosjanom spodobała. Tak bardzo, że stracili wszelki umiar. Prasa wezwała do pomocy pisarzy a nawet poetów, którzy o światowym echu salw z Paryża pisali jak nie przy mierzając o salwach Aurory, a cały sukces (jaki sukces?) przypisali naturalnie 24 zjazdowi KPZS. Znaleźli nawet robotników francuskich, którym udało się na chwilę oderwać od kapitalistycznego ucisku, aby gestem choćby pozdrowić ukochanego wodza.

2. Kompromitujące pudło rakiety „Europa 2” wykazało co warte są maleńkie, tanie nacjonalizmy zachodnio-europejskie kiedy nad światem lata już ok. 500 sowieckich „Kosmosów”.

Gdzie zwierzyna?

Breżniew więc nie wyjechał z pustymi rękoma. Zabrał ze sobą 5 przykazań z deklaracji oraz dary otrzymane od prezydenta Pompidou: wspaniały wóz Citroën-Maserati oraz znakomity sztucer myśliwski wraz z teleskopem.

Kto tu myśliwy i z czym na łów wyruszy, to już wiemy.

Ale gdzie będzie szukać następnej zwierzyny, oto jest pytanie...?

BRUKSELCZYK

Pisane 9 listopada 1971

NA ANTENIE

PRZYNOŚI CO MIESIĄC WYBÓR NAJWAŻNIEJSZYCH AUDY-
CJI NADANYCH PRZEZ ROZGŁOSNIĘ POLSKĄ RWE ZE
SZCZEGÓLNYM NACISKIEM NA AKTUALNE SPRAWY KRA-
JOWE.

Adres redakcji: RFE - Polish BD. English Gdn.
MUNICH, GERMANY.

Administracja: KSIĘGARNIA SPK, PCA PUBL. LTD., 20, QUEENS
GATE TERRACE, LONDON, S.W.7. dokąd należy kierować zamó-
wienia. Prenumerata roczna z przesyłką £ 2.2.0 lub \$ 5,00, F. 25,00.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Czytając prasę sowiecką z drugiej połowy października, szalenie zazdrościłem Francuzom. Wszystkie gazety donosiły codziennie, że „doniosłe wydarzenie o międzynarodowym znaczeniu” miało miejsce w ostatnim tygodniu miesiąca właśnie we Francji.

Cały świat — pisano w artykułach, przeglądach, komentarzach, depeszach ze wszystkich krajów — „gorąco powitał wizytę L. I. Breżniewa we Francji”.

Najpierw Francuzi oczekiwali pierwszego sekretarza ze „wzruszeniem”, następnie z „ogromnym wzruszeniem”, a witali z „drżeniem serca”.

Pozostawiam specjalistom od spraw stosunków międzynarodowych ocenę wyników (myślę, że wystarczająco skąpych) podróży Breżniewa do Francji. Porównując sowieckie opisy wzruszonych tłumów, witających nowego Iljicza, ze wstrzemięźliwymi relacjami francuskich dziennikarzy łatwo byłoby wykazać, że prasa sowiecka przyjmowała swoje pragnienia za rzeczywistość.

Mnie ciekawiło co innego. Zająłem się prasą sprzed jedenastu lat i przejrzałem opisy wizyty we Francji poprzednika Breżniewa — Nikity Chruszczowa. Zachodzący w Związku Sowieckim proces kreowania wodzów jest niezmiernie interesujący z różnych punktów widzenia. Na naszych oczach odbyło się kreowanie Chruszczowa na „wodza”. Na naszych oczach w sposób nieunikniony podobny proces zajdzie i w Polsce — z lokalnymi modyfikacjami.

Należy przyznać, że Breżniew wiele się nauczył od swego poprzednika, ale także trzeba stwierdzić, że przeobrażenie po raz drugi (a właściwie po raz trzeci) poczwarki-partyjnego robotnika w prześlicznego motyla-wodza Narodów, przebiega z pewnymi trudnościami.

Wizyta Breżniewa zajmowała przez cały tydzień pierwszą i drugą stronę gazet. Piszący naturalnie symulowali trans, ale zarówno charakter artykułów, jak i nazwiska dziennikarzy i pisa-

rzy, którzy użyczyli swego pióra dla opisanego spotkania Breżniewa z piękną Francją, ustępują bardzo temperaturze artykułów z 1960 roku i nazwiskom pisarzy, którzy jedenaście lat temu służyli chwale Chruszczowa.

Nic zbliżonego do zachwytu Jurija Oleszy, zapewniającego, że Francuzi teraz „widzą we śnie Chruszczowa nalewającego im z dzbanka dobre mleko lub 'wesole' wino”, nie było.

Uwydatniający się w tej kampanii prasowej charakter nowego pretendenta jest inny. Spokojny, dostoyny „krasawiec” (wszystkie fotografie są starannie retuszowane), człowiek o twardym charakterze, nie pozbawiony jednak cech bardziej ludzkich, na przykład — lubi polować.

Niedługo po śmierci Chruszczowa, Wsiewołod Koczetow — szybko przeszedłszy na stronę zwycięzców — przedstawił portret wodza, który nie spełnił nadziei rosyjskiego narodu i namalował inny — wodza, który temu narodowi jest potrzebny. W tym celu Koczetow przespacerował się po historii, ale zrobił to z tak ordynarną bezczelnością, że nie mogło to ująć uwagi ani jednego czytelnika Koczetow porównuje dwóch carów rosyjskich — Iwana Groźnego i Wasyla Szujskiego¹.

„Szujski — ten to szybko ustąpił z tronu, zabrakło mu sił, żeby go utrzymać... nawiasem mówiąc, żeby rządzić matuszką Rosją trzeba nie lada głowę mieć na ramionach! Samej bezczelności nie wystarczy: potrzebna jest mądrość, cierpliwe rządy. I ogromne wykształcenie. No, a Szujski, co? Taki sobie parweniuz. Wziął na odwagę i zrobił z siebie rosyjskiego cara, no i spadł z tronu bez żadnej chwały... Iwan Groźny, widzicie, obraził ich ród. A Iwan, to była osobistość. A Szujski — kundel...”

Tak jakby idąc za tym przykładem prasa sowiecka kreśli wizerunek nowego cara — działającego z namysłem, rozsądnego, mądrego, z „ogromnym wykształceniem”.

Jeden zabawny incydent skaził nieco portret „mądrego”, „z ogromnym wykształceniem” wodza, niespiesznie podróżującego po Francji. Zawiniła tu chyba, jak zawsze, nadzwyczajna gorliwość otaczających wodza urzędników, a być może zawiodło „wykształcenie”.

Osądźcie sami. 31 października na pierwszej stronie *Prawdy* pojawiły się depesze, które w momencie odlotu Breżniewa, wymieniły prezydent Pompidou i jego goście. W depeszy Breżniewa wszystko było jak należy. Natomiast depesza francuskiego prezydenta brzmiała jakoś dziwnie, tak jakby profesor Pompidou nieusatisfakcjonowany swoim wykształceniem, korzystając z wolnej chwili ukończył w Moskwie wyższą szkołę partyjną. Depesza brzmiała: „W chwili, gdy delegacja sowiecka opuszcza francuskie niebo, chcemy w imieniu pracujących i narodu francuskiego przekazać Leonidowi Breżniewowi gorące pozdrowienia. Prosimy

1. Wasyl Szujski wstąpił na tron rosyjski w 1606 roku i zajmował go do roku 1610, potem został zdetronizowany. Umarł w Warszawie w 1612 roku.

go o przekazanie narodowi sowieckiemu wyrazów głębokiej przyjaźni narodu francuskiego". Podpisano — G. Pompidou.

Gdy francuscy dziennikarze, zdumieni metamorfozą stylu prezydenta, zwrócili się do pałacu elizejskiego, okazało się, że o tej depeszy nikt tam nie ma pojęcia.

Zresztą sowieccy czytelnicy od dawna odzwyczaili się od czytania depez, zapewniających stronicę gazet, wątpliwe czy nawet coś zauważyli.

„W grzęzawisku oszczerstw”, taki tytuł nosi artykuł, opublikowany w *Izwiestiach* i demaskujący bezceństwo oszczerstw wrogów Związku Sowieckiego, rozpowszechniających „absurdalne oświadczenia, że w ZSSR zdrowych ludzi umieszcza się w klinikach psychiatrycznych”. Autor artykułu, widocznie człowiek doskonale poinformowany, zapewnia, że wrogowie narodu sowieckiego „wybrali jako obiekt nieuczciwej gry ludzi niepełnowartościowych, cierpiących na poważne zaburzenia psychiczne”, co prawda kilka wierszy dalej nazywa już tych ludzi osobami, które popełniły w stanie niepoczytalności czyny społecznie niebezpieczne”. Dla przydania swemu artykułowi naukowego autorytetu, autor zwrócił się do głównego psychiatry ministerstwa Ochrony Zdrowia ZSSR, akademika Snieżniewskiego, który stanowczo oświadczył: „Umieszczanie chorych w klinikach psychiatrycznych w naszym kraju odbywa się zawsze na zasadzie postanowienia lekarza”.

Trudno dyskutować z takimi twierdzeniami. Akademik ma rację, rzecz jednak w tym, że medycyna w Związku Sowieckim to medycyna rządowa...

Od kilku już lat najbardziej wartościowi przedstawiciele sowieckiego społeczeństwa prowadzą walkę z nowymi metodami zwalczania wolności słowa i myśli, która w połowie lat sześćdziesiątych przybrała poważne rozmiary — walkę z zamykaniem w domach wariatów tych wszystkich, którzy kwestionowali słuszność sowieckiej polityki.

„Komuś przyszła do głowy — pisze Jaurès Miedwiediew w książce „Kto jest wariatem?” — prosta myśl, że wzrost liczby więźniów politycznych i politycznych procesów jest bardzo złym objawem społecznym, natomiast wzrost ilości punktów szpitalnych — to dowód prawdziwego postępu społecznego”.

Związek Sowiecki przestał być „społeczeństwem zamkniętym” jakim był w okresie stalinowskim. Wie się obecnie dużo o tym, co się dzieje za byłą „żelazną kurtyną”. Można więc łatwo skomentować artykuł, zamieszczony w *Izwiestiach*.

Zaczyna się on od listu-skargi Niny Fiedorowny Nowodworskiej, matki Walerii, która znajduje się w kazańskim specjalnym szpitalu psychiatrycznym (podległym nie ministerstwu zdrowia, a KGB). Matka Walerii skarży się, że jej dwudziestoletnia córka,

która już prawie dwa lata znajduje się w klinice, otrzymała przesyłkę z Amsterdamu. Łatwo zrozumieć uczucia matki, która obawia się pogorszenia sytuacji swej córki.

Waleria Nowodworska kupiła 5 grudnia 1969 roku bilet na operę „Październik”, którą wystawiono w teatrze kremlowskim i przed rozpoczęciem przedstawienia zaczęła rozrzucać ulotki z tekstem swego poematu: „Dziękujemy ci partio”. W poemacie były i takie strofy:

*Dziękujemy ci partio
za nasze cierpienie i rozpacz,
za nasze podłe milczenie
dziękujemy ci partio.*

*Dziękujemy ci partio
za ciężar zgładzonej prawdy,
za strzały przyszłych wojen
dziękujemy ci partio.*

Jest jasne, że za taki utwór każdy sowiecki sędzia skaże tak, jak tego zażąda prokurator. A prokurator porównał poemat ze zbrodnią lejtnanta Iljuna, który strzelał na Placu Czerwonym do Breżniewa.

Dla potwierdzenia faktu, że humanitarni sowieccy psychiatry natychmiast zwalniają tych wszystkich, którym nie potrzebna już jest „pomoc lekarska”, autor artykułu cytuje dwa fakty. Łatwo możemy rozszyfrować nazwiska tych niedawno zwolnionych. Sposród nich (autor artykułu podaje jedynie inicjały — Olga J.) — 19-letnia Olga Jofe, która w listopadzie 1969 roku opracowała antystalinowskie ulotki, by kolportować je w rocznicę śmierci Stalina. Zadenuncjowana przez swego kolegę, była w maju 1970 roku skazana na leczenie w klinice psychiatrycznej. Druga osoba, o której mowa w artykule, to człowiek wokół którego dużo było szumu na Zachodzie: Iwan Jachimowicz, aresztowany w grudniu 1968 roku.

Diagnoza postawiona przez ryskich psychiatrów po zbadaniu Jachimowicza (jego nazwiska autor nie wymienia), nie pozostawia najmniejszych wątpliwości co do konieczności izolowania takiego człowieka. Ryscy psychiatry stwierdzili, że ich pacjent „sprawy społeczne stawia wyżej niż sprawy osobiste”, „uważa, że swoje życie powinien poświęcić ideałom komunizmu”, „nosić brodę”, „uważa interwencję wojsk sojuszniczych w Czechosłowacji za agresję” itp.

Do tej pory informacje o uwięzionych, skazanych na przebywanie w zakładach psychiatrycznych, miały charakter przypadkowy. Niedawno ukazała się w „Samizdacie” książka, obecnie wydana już w przekładzie angielskim pt.: „Kto jest wariatem?”. Napisali ją bracia Miedwiediew, Jaurès osadzony w klinice psy-

chiatrycznej i Roy, który zorganizował niebywałą w Związku Sowieckim kampanię w sprawie uwolnienia brata.

W swoim czasie w jednym z „przeglądów” już o tym pisałem. Dziś ta cała straszna historia znana jest całemu światu ze wszystkimi szczegółami. Artykuł w *Izwestiach* jest żalosną próbą jednego z bohaterów książki Miedwiediewych — akademika Snieżniewskiego, by przy pomocy ordynarnego kłamstwa zaprzeczyć faktom.

Braciom Miedwiediew udało się zebrać całkowicie dotąd nieznanne materiały, w tej liczbie instrukcje o „przymusowym leczeniu psychicznie chorych, społecznie niebezpiecznych”.

Dowiadujemy się z nich, że w liczbie podstawowych powodów do zamknięcia w szpitalu psychiatrycznym są „stany majaczenia, odznaczające się niewłaściwym, agresywnym stosunkiem chorego do poszczególnych ludzi, organizacji i instytucji”. Jaurès Miedwiediewa aresztowała milicja i zawiózła do szpitala psychiatrycznego, gdzie postawiono diagnozę: „zła adaptacja do środowiska społecznego”. Snieżniewski wprowadził także jako podstawę do umieszczenia w szpitalu psychiatrycznym nową „chorobę” psychiczną: „uporczywe, reformatorskie majaczenia”.

Jaurès Miedwiediew opowiada, że spotkał w szpitalu 24-letniego człowieka, skazanego za „reformatorskie majaczenia” polegające na tym, że pisał do różnych instancji pisma, domagając się zreformowania Komsomołu, który przekształcił się w „biurokratyczną organizację”. Leczono go szokami, wywołanymi insuliną, zmieniającymi — jak mówili lekarze — „strukturalne podstawy psychiki”.

Dowiedziawszy się o aresztowaniu Jaurèsa Miedwiediewa, Aleksander Sołżenicyn napisał wspaniały list: „Oto, jak żyjemy”, w którym powiedział, że „zamykanie zdrowych, myślących odważnie ludzi w klinikach psychiatrycznych jest duchowym morderstwem i wariantem komory gazowej — nawet bardziej okrutnym: cierpienia zabijanych są dłuższe i gorsze”.

Poświęciłem tyle miejsca tym niekończącym się zbrodniom nie tylko dlatego, że o tym trzeba ciągle pisać, ale również dlatego, że — jak świadczą ostatnie wydarzenia — ujawnianie przestępstw przynosi chociaż niewielkie, ale widoczne rezultaty. Książka Miedwiediewych dowodzi, że w Związku Sowieckim istnieją już określone siły, które mogą zmusić władze do ustępstw.

Ma się rozumieć, jak dotąd, udało się to tylko niewielu. Ale przede wszystkim tym, o których zaczęto głośno i dużo mówić. Po raz pierwszy od szeregu lat władze sowieckie chciały mieć za granicą przywoitą opinię. Roy Miedwiediew, przy pomocy akademika Sacharowa, zebrał do walki o oswobodzenie brata najwybitniejszych sowieckich uczonych. Minister zdrowia zmuszony był ich przyjąć i usprawiedliwiać się przed nimi. Obiecując uwolnienie Jaurèsa Miedwiediewa, minister prosił tylko o jedno: przerwać kampanię, do której włączyli się i zagraniczni uczeni. Ze swoistą dla uczonych ścisłością minister sformułował swoją prośbę następująco:

„To nasze własne rosyjskie gówno i w tym gównie sami musimy się rozeznac, bez pomocy zagranicy”.

Ani Miedwiediewy, ani Sacharow nie chcieli pomóc ministrowi „rozeznac się w gównie”. I to podziało.

W ostatnich dniach dowiedzieliśmy się, że jeden z najbardziej odważnych rosyjskich bojowników o wolność, poeta Władimir Bukowski, aresztowany w czerwcu 1971 roku (po raz trzeci) i osadzony w szpitalu psychiatrycznym, pod naciskiem protestów będzie przekazany sądowi. Po klinice psychiatrycznej łagier wydaje się prawie domem wypoczynkowym.

Artykuł w *Izwestiach* próbuje zamaskować kolejną porażkę KGB.

Jak to zwykle bywa, niektóre ustępstwa spowodowane chęcią pozłacania prestiżu Związku Sowieckiego za granicą, z lichwą są rekompensowane bardziej ostrym kursem wewnątrz kraju. Czasopismo *Kommunist* zamieściło nie dawno artykuł jednego z czołowych „filozofów” stalinowskiej szkoły, M. Jowczuka, pt.: „Współczesne problemy walki ideologicznej”. W artykule tym dwukrotnie „zdecydowanie potępia się” Aleksandra Sołżenicyna „za oszczercze kalumnie o sowieckiej rzeczywistości, które pomagają naszym wrogom ideologicznym w ich dywersjach”.

Jowczuk nie tylko w imieniu sowieckiej partii komunistycznej, ale również w imieniu innych kompartii, wypowiada zdecydowaną walkę wszystkim, którzy „domagają się, aby partie komunistyczne zrezygnowały z kierownictwa nauką, sztuką i życiem duchowym”, wszystkim którzy pozwalają sobie mówić o konieczności „bezgranicznej wolności duchowej ludzi”.

Trzeba zaznaczyć, że w sposób ostrożny przejawia się niezadowolone z „antyhistorycznego pozaklasowego podejścia do wydarzeń z dalekiej i niedawnej przeszłości, z poszczególnych przejawów idealizacji dawnych patriarchalnych i feodalnych czasów, z religijnych i idealistycznych ocen przeszłości”. A więc atak na komunistyczną ideologię ze strony „rosyjskich patriotów” trwa nadal.

Moje stałe poszukiwanie poloników w prasie sowieckiej rzadko daje rezultaty. O Polsce wołać nie mówić, nie wspominać. Nieoczekiwanie znalazłem wzmiankę o Polsce w *Litieraturnej Gazecie*, w artykule ciekawie zatytułowanym „Pekiński przywódca i rozładowanie napięcia”. Z tego artykułu dowiedziałem się, że w końcu 1970 roku chińscy przywódcy wykorzystali wydarzenia w PRL dla nowej antysocjalistycznej kampanii. We wrzeszczącej zgodzie z zachodnią propagandą kontrrewolucyjną, prasa chińska oblewała potokami oszczerstw ustrój socjalistycz-

ny w PRL. Z Pekinu dochodziły antysowieckie tyrady, wzywające naród polski do wojny domowej i kontrrewolucyjnego puczu.

Próba wy tłumaczenia „polskiego buntu” działalnością Chińczyków narodziła się, sądząc po autorstwie artykułu, nie w Moskwie, ale w Berlinie Wschodnim.

Artykuł został przedrukowany z *Neues Deutschland*.

Adam KRUCZEK

„68 Publishers Toronto”

W Toronto (Kanada) powstało nowe emigracyjne wydawnictwo „68 PUBLISHERS TORONTO”. W ładnie wydany (i dowcipny) prospekt programowy wydawcy stwierdzają, że „Wydawnictwo jest własnością dwóch czeskich pisarzy i nie jest powiązane z żadną lewicową, prawicową ani jakkolwiek inną partią polityczną lub organizacją wywiadowczą, a światopogląd jego właścicieli prawdopodobnie będzie określony przez ludzi do tego powołanych (w Pradze) jako liberalno-humanistyczny względnie jako mieszczańsko-socjalistyczny. Byłoby to chyba nawet określenie właściwe...”.

Wydawcy chcą przyczynić się do utrzymania przy życiu nadziei z roku 1968.

Z wydawnictwem współpracują Josef SZKVORECKY, Arnold LUSZTIG, Jan BENESZ, Zdena SOLIVAROVA, Jiri VOSKOVEC, Jaroslava BLASKOVA, Heda KOVALY-MARGOLIUS, Ladislav GROSMAN, Antonin LIEHN i in.

Wydawnictwo podkreśla, że w jakimś stopniu jest przedsięwzięciem związanym z polskością, patronuje mu bowiem właściciel drukarni w Toronto, Polak, „wujcio GUTENBERG”, który zamówił specjalnie czcionki z czeskimi znakami diakrytycznymi.

Jeden z autorów, Szkvorecky, na pytanie, w jaki sposób Czesi wytrzymali trzysta lat niewoli, odpowiada „Dlatego, żeśmy nie stracili poczucia humoru!”.

Życząc, by obecna niewola trwała krócej, zazdroszcząc poczucia humoru, dopisującego Szkvoreckiemu i na emigracji, podaje to do wiadomości

Józef LEWANDOWSKI

Ze świata

Konfrontacja dwu samotności

Gdy na schyłku ubiegłego roku dziennikarze Stanów układali listę najważniejszych w skali światowej wypadków, zabójstwo Jean Laporte'a, ministra pracy kanadyjskiej prowincji Quebec, znalazło się na dziesiątym miejscu. Każdy kraj przygotowałby inną listę — we Francji niewątpliwie na czoło wysunięto by śmierć de Gaulle'a, w Polsce — chyba wypadki grudniowe. Dla Kanady dramatyczne wypadki jesieni 1970 były sprawą najbardziej ważką. Nie tylko dlatego, że było to pierwsze od przeszło stu lat zabójstwo polityczne. Nie dlatego również, że niepokój i groza narastały tygodniami. Najistotniejsze było i jest, że ten „kryzys jesienny” był tylko etapem kryzysu trwającego od lat, bez szans na szybkie i radykalne rozwiązanie. Aresztowanie winnych porwania brytyjskiego dyplomaty James Crossa i wysłanie ich na Kubę, proces zabójców ministra Laporte'a, wyroki — to wszystko sprawy nie zamyka. Obie zbrodnie nie były wyskokiem nieodpowiedzialnego szaleńca czy fanatyka, lecz aktem zorganizowanej grupy terrorystów, wyrazem prądów nurtujących Quebec.

Można było zapomnieć burbońskiej Francji opuszczenie Quebecu, choć Francuzi ze „starego kraju” nie są i dziś specjalnie lubiani. Ale pamięta się, że pierwszy stanął na tej ziemi Jacques Cartier, żeglując w roku 1535 wzdłuż rzeki św. Wawrzyńca, że w roku 1608 przybył tu Samuel Champlain, założyciel Quebecu. Nie zapomniano też generała Wolfa, klęski na Równinach Abraham w 1759, upadku Nowej Francji.

Następne sto lat historii kanadyjskiej, to dla francuskiej Kanady niekończąca się walka o zachowanie własnego oblicza, o wyzwolenie się z pozycji narodu podbitego. Kamieniem milowym staje się tzw. *Quebec Act* z roku 1775, *Magna Charta* swobód francuskich, akt o którym w angielskiej Kanadzie dziś się nie mówi, przrzucając całą wagę na późniejszą Konfederację. A przecież w 1775 roku Quebec odzyskuje niemalże dawne gra-

nice z okresu Nowej Francji. Kościół katolicki ma przyznaną wolność religijną, co wytrąca Anglikom wynaradawiającą broń. Niezależna zostaje sprawa języka — ważne do zapamiętania by zrozumieć teraźniejszość.

Od aktu quebeckiego, nie daleka droga do dwu Kanad: Dolnej — obecny Quebec — i Górnej — dziś Ontario. A stąd do Konfederacji — Unii zawartej w 1867 roku w obawie przed wchłonięciem przez Stany, a więc *in periculo mortis*.

Akt Konfederacji, do której stopniowo przyłączają się inne prowincje, aż do najmłodszej Nowej Funlandii (1949), podpisują „ojcowie założyciele”. Potomkowie Cartiera i Wolfa. Entuzjazm w Londynie, potwierdzenie unii przez *British North American Act*, do dziś obowiązującą konstytucję. Położone zostały podwaliny współczesnego państwa — tak uczy angielska historia kraju. Mniej entuzjazmu przejawiają francuscy kontrahenci. Opozycja pod wodzą dziennikarza i pośta Erica Dorion uważa, że centralna władza będzie katastrofą dla prowincji i jej autonomii. Dorion sprzeciwia się też tworzeniu sił zbrojnych: „Najlepsza rzecz dla Kanady to siedzieć cicho i nie dawać powodu do wojny”. Obawia się wchłonięcia Francuzów przez Anglosasów, nieposzanowania praw i przywilejów. Ostrzega, że zawsze żałować się będzie decyzji powziętej wbrew woli większości mieszkańców. Zwycięża jednak koncepcja George-Etienne Cartier (sic!), ówczesnego przywódcy francuskiej Kanady i John MacDonalda z Górnej Kanady, dziś uznanego za wielkiego męża stanu.

Zaledwie kilka lat temu obchodziliśmy szumnie stulecie Konfederacji. Sto lat niełatwego, nieraz kłopotliwego, często uciążliwego współżycia.

Echa wypowiedzi zmarłych dawno przeciwników Konfederacji dały się słyszeć wielokrotnie: nie chcemy wojny. I tej burskiej. I pierwszej światowej. I tej drugiej. Wojny nie naszej, prowadzonej w imieniu króla angielskiego, o interesy brytyjskie. Wojny z którą nie mamy nic wspólnego. Do dziś nie zapomniano w obu częściach Kanady wypadków towarzyszących poborom do wojska — 1917, lata czterdzieste.

Poza tym była cisza niemal do lat sześćdziesiątych. Przybysz ze skłóconej Europy mógł uwierzyć w sielankę dwu żyjących obok siebie narodów, w harmonijną współpracę sygnatariuszy kanadyjskiej Unii.

Cisza przed burzą. Cisza lat premiera Duplessisa, dyktatora Quebecu. Cisza ciemnoty wiejskiej, ujarzmionej całkowicie przez kler, niestety równie ciemny i fanatyczny. Lata nędzy ekonomicznej i przestarzałego systemu szkolnego. Te lata są źródłem dzisiejszego kryzysu. Jest też, niestety, wiele innych czynników.

Dzisiejsza Kanada to federacja 10 prowincji o równych prawach — to punkt widzenia rządowy, federalny. Dziewięciu prowincji angielskich i jednej, odmiennej, francuskiej — to w uproszczeniu pogląd prowincji Quebec. Obecna konstytucja zapewnia prowincjom pełną autonomię w sprawach szkolnictwa, bogactw naturalnych, własności i praw cywilnych, prawodawstwa socjal-

nego, kultury. Prowincje mają prawo pobierania własnego podatku dochodowego, choć w praktyce czyni to za nie rząd federalny na podstawie odpowiednich umów. Ponadto otrzymują one część podatku federalnego — w stosunku do potrzeb, a nie wkładu. Z tych tzw. „zasiłków wyrównawczych” Quebec korzysta w wymiarze drażniącym dla innych prowincji. Od szeregu lat prowincje walczą o rozszerzenie swych uprawnień i o jak największą część podatku federalnego. Najgłośniej domaga się o swe prawa Quebec, choć i inne prowincje nie pozostają w cieniu, pogłębiając tzw. kryzys konstytucyjny.

Kanada to, statystycznie, 43 % Kanadyjczyków pochodzenia brytyjskiego, 30 % francuskiego, 25 % — różnego pochodzenia. Ale tak jak w Toronto, Ontario, emigranci z różnych krajów są już dziś w większości w stosunku do obu grup założycielskich, tak w prowincji Quebec cztery miliony ludzi, 80 % ludności, to kanadyjscy Francuzi.

Przez ostatnie sto lat przepaść między dwoma grupami założycielskimi stale się pogłębiała. Na pierwszy plan wysuwa się sprawa języka, nigdy, nawet dziś, nie postawiona na gruncie dążenia do kompletnej dwujęzyczności obywateli całego kraju. Anty-językowe opory, zupełnie niezrozumiałe dla nie-anglosaskiego Europejczyka, zdają się być nie do przełamania. Gdyby od zarania Konfederacji wprowadzono przymus nauczania obu języków na wszystkich szczeblach nauczania i w całym kraju, problem byłby dziś znacznie łatwiejszy. Ale przed tym cofnęła się nawet komisja do spraw językowych. Nauczanie drugiego języka z reguły zaczyna się za późno, poziom nauki nie zapewnia biegłości. Nie pomaga też angielska dufność w narodowy brak zdolności do języków. I mylne przekonanie, że nauka „obcego” języka jest zupełnie zbyteczna. Francuzów kanadyjskich konieczność ekonomiczna zmusza do poznania angielskiego. Ogromna ilość przedsiębiorstw prowincji Quebec znajduje się w rękach anglosaskich — kanadyjskich czy amerykańskich — i, jak dotąd, codzienny język pracy, to angielski. Język nie tylko Kanady, ale i wielomilionowego sąsiada z którym ma się wspólne interesy.

Procent Francuzów władających angielskim jest większy niż Anglików mówiących biegle (czy chociaż jako-tako) po francusku. Przeciętny Anglik kanadyjski po przekroczeniu granicy prowincji Ontario-Quebec, znajduje się bez przesady w kraju obcym. Możliwość porozumienia na platformie jednostkowej jest minimalna, jakże więc osiągnąć porozumienie na platformie szerzej, narodowej?

Brak prasy o zasięgu narodowym. Przy rozległym obszarze kraju, pismo obsługuje miasto — czy będzie to metropolia jak Toronto, czy Montreal, czy małe miasteczko prowincji Quebec, bądź — na drugim krańcu kraju — Brytyjskiej Kolumbii. Rezultat: Toronto jest nieco bliżej Montrealu niż Nowego Jorku, mimo to z miejscowych pism dowiadujemy się częściej co jest grane na Broadway'u niż o najnowszych sztukach Kanady fran-

cuskiej, względnie osiągnięciach (są!) teatru francuskiego. Telewizja również nie wypełnia luki, gdyż sieć francuska nie sięga na zachód od Ottawy. Zaiste, jeśli chodzi o wymianę kulturalną to bez przesady jest ona bardziej ożywiona pomiędzy Kanadą a... Polską (stypendyści, wymienni profesorowie, zespoły teatralne) niż pomiędzy francuską i angielską częścią Kanady. Nie lepiej przestawia się sprawa literatury — jeśli przekłada się, to częściej z francuskiego na angielski, niż odwrotnie. Szwankuje też nauczanie historii, skoncentrowane w Quebecu na historii francuskiej Kanady, a w reszcie kraju — na brytyjskiej. Nie bez przyczyny prof. Lower z Uniwersytetu Kingston, Ontario, stwierdził kiedyś, że angielskie i francuskie podręczniki historii Kanady mówią o dwu różnych krajach.

To wszystko nie ułatwia porozumienia między francuską i angielską częścią kraju. Sytuacja nie pozostaje też bez wpływu na nowoprzybyłych z różnych państw Europy. Większość grawituje do prowincji angielskich, głównie do Ontario, ze względu na lepsze możliwości zatrudnienia. O osiedleniu się w Montrealu czy mieście Quebec decyduje głównie wzgląd językowy. Emigranci ci stopniowo wchłaniają otaczającą atmosferę i wykazują znacznie więcej tolerancji i zrozumienia dla problemu quebeckiego niż ich przyjaciele i krewni w prowincjach angielskich. Oczywiście mają znacznie więcej przesłanek i podstaw do zrozumienia i oceny sytuacji, niż ludzie z innych prowincji, którzy o Quebecu czytają w gazetach dopiero wówczas, gdy zachodzi tam coś szokującego. W praktyce, emigranci we francuskiej części Kanady mają stanowisko zbliżone do umiarkowanego stanowiska franko-kanadyjskiego, w angielskiej — punkt widzenia anglosaski. Emigranci poza prowincją Quebec uważają związki z Anglią za przestarzałe, nie podzielają przywiązania do tronu i rodziny królewskiej — tego nie można nabyć z obywatelstwem — niemniej są oburzeni, gdy królowa Elżbieta nie może bezpiecznie podróżować po części „swojego kraju”.

Od dziesięciu lat każdy trzeźwo myślący Kanadyjczyk, niezależnie od pochodzenia etnicznego, z niepokojem obserwuje wypadki w Quebecu. Punktem zwrotnym była niewątpliwie śmierć dwuletniego premiera Duplessisa, dyktatora i despoty, znanego Polakom ze względu na rolę jaką odegrał w sprawie skarbów wawelskich.

Duplessis, przywódca *Union National*, umarł we wrześniu 1959. Partia liberalna zwyciężyła w wyborach prowincjonalnych. Zwycięstwo to w pewnym sensie pyrrusowe, gdyż liberalizm Quebecu ma odmienny charakter od ogólnokrajowego liberalizmu. Prowincją rządzi przez sześć lat Jean Lesage, zdecydowany antyseparatysta, który niemniej domaga się większej niezależności dla Quebecu, prowincji specjalnej.

Coraz częściej słyszymy w latach sześćdziesiątych termin separatyzm. Członkowie partii rekrutują się głównie z intelektualistów, artystów, pochodzą z centrów miejskich. Podkreślają demokratyczne nastawienie i nie uznają aktów terroru. Doma-

gają się pełnych praw i wolności narodowych. Oderwania tej największej prowincji od Kanady, dołączenia do niej Labradoru i części innych prowincji jak np. Nowego Brunswicku. Konfederację widzą jako luźny związek pomiędzy Quebec, państwem niezależnym, i dziewięcioma prowincjami angielskimi. Twierdzą, że państwo to miałyby pełne szanse rozwoju, gdyż pod względem powierzchni byłoby tylko trochę mniejsze od Meksyku. Zapominają jednak, że powierzchnia jego stanowiła tylko 1/5 powierzchni Stanów, a ludność około 2,8% ludności Stanów.

Mówi się dziś, że separatyzmem przesiąknęły wszystkie partie polityczne Quebecu, nawet te, które najgwałtowniej się od niego odżegnywują. Najbardziej zbliżeni do separatystów są nacjonalisci, którzy biorą pod uwagę rewizję konstytucji po linii żądań Quebecu, ale przewidują również możliwość całkowicie niepodległego państwa. Na skrajach mapy politycznej prowincji ukazują się terroryści.

Pierwsze akty terroru politycznego sięgają lat 1962-1963. Wybuchają bomby plastykowe w skrynkach pocztowych, młodzi „patrioci” z tzw. „dobrych rodzin” napadają na banki by zdobyć fundusze dla „sprawy”. Ginie broń ze zbrojowni policyjnych. W ciągu kilku lat jest 7 osób zabitych, wielu rannych w zamachach przygotowanych przez FLQ — *Front du Libération de Québec*. O śmierci czy ranieniu tych ludzi zadecydował przypadek a nie powiązania polityczne — znaleźli się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. W roku 1963 FLQ wydaje swój manifest — jednym z punktów jest żądanie by zamachowcy byli traktowani zgodnie z uchwałami Konwencji Genewskiej. Mimo strat w ludziach, zamachów, aresztowań, policja prowincji nie jest w stanie znaleźć dowodów istnienia organizacji terrorystycznej. Prowadzi to do lekkomyślnego wniosku, że zamachy są dziełem grupki młodych ludzi, którzy nikogo nie reprezentują. Jeszcze w 1965 w oficjalnym raporcie Komisji Królewskiej czytamy: „Zwolennicy gwałtu mają najwięcej rozgłosu, dlatego kryzys wydaje się dramatyczny, tymczasem są oni tylko pianą na powierzchni”.

W tym samym okresie mówi się dużo o innym zjawisku: *Quiet revolution* — spokojna, bezkrwawa rewolucja. Odgrywa ona niezmiernie doniosłą rolę w rozwoju Quebecu lat sześćdziesiątych, ale w dzisiejszym kontekście brzmi jak *tranquillizer* — uspakają pacjenta, ale go nie leczą.

Spokojna rewolucja to walka z korupcją, z przekupstwem, z politycznym *patronage*. To zmiany w strukturze szkolnictwa, utracenie wpływów klerykalnych, modernizacja programu szkolnego. Po okresie ścisłej cenzury w dziedzinie sztuki, do głosu dochodzą młodzi intelektualiści, wypowiadając się w powieściach, poezji, dramacie, filmie. Quebec przeżywa kulturalny renesans.

Istotne są też aspekty gospodarcze. Nigdy jeszcze nie budowano w prowincji tyłu dróg, szkół, nie podejmowano tyłu projektów. Ale najlepiej zaplanowane dokonania kosztują — z reguły — więcej niż przewidywano. Mimo zwiększonych podatków,

obdłużenie prowincji rośnie. Drobny gospodarz rolny, rzemieślnik, niewyrobiony politycznie i społecznie, nie rozumie przemian zachodzących w świecie, kraju i własnej prowincji. Wspomina z nostalgią „dobre czasy” z epoki Duplessisa, gdy podatki były znacznie mniejsze, choć nie było możliwości kształcenia licznego potomstwa. W wyborach decyduje ten właśnie typ obywatela, dlatego Jean Lesage przegrywa w 1966 roku na rzecz Daniela Johnsona (Francuz, mimo nazwiska) z *Union National*.

Ale cicha rewolucja jest nieodwracalnym faktem, który trzeba kontynuować. Rosną konflikty z federalną stolicą Ottawą, rosną żądania prowincji. Drażliwym zagadnieniem tych lat jest EXPO-67, które miało być wyrazem kanadyjskiej jedności. Wspaniała, nad podziw dobrze przygotowana wystawa stawia Kanadę, Montreal, na mapie świata, umieszcza kraj na ekranach telewizyjnych i szpaltach pism całego świata. Daje wszystkim Kanadyjczykom poczucie dumy narodowej, a Montrealowi — zatrudnienie i napływ dolarów. Zwycięstwo byłoby pełne, gdyby nie finanse. Za deficyt EXPO płaci cała Kanada, skarb narodowy, podatnik ze wszystkich prowincji.

Były też zadrażnienia o charakterze dyplomatycznym. Wizyta gen. De Gaulle — w Quebecu tylko, z pominięciem Ottawy. Jego słynny okrzyk: *Vive le Québec libre*, który dolał oliwy do quebeckiego ognia. Zaproszenie Quebecu na konferencję narodów mówiących po francusku (Gabon). Układ kulturalny między Quebeciem a Francją — choć zgodny z konstytucją, był rękawicą rzuconą rządowi federalnemu.

Od dziesięciu lat Quebec żąda daleko idących koncesji od rządu federalnego. Dotyczą one uprawnień politycznych, spraw gospodarczych i kulturalnych.

Dziesięć lat temu na czoło zagadnień wysuwano dwujęzyczność czy jak się tu mówi *bilingualism*. Możliwość porozumienia się we własnym języku poza prowincją. Jednocześnie Quebec bronił się przed wprowadzeniem angielskiego do szkół wszystkich stopni. Język francuski w całej Kanadzie — tylko francuski w Quebecu. Były wypadki gdy usiłowano, wbrew konstytucji, narzucić francuski dzieciom emigrantów.

W roku 1963 utworzona zostaje Komisja Królewska dla zbadania dwujęzyczności i dwukulturowości Kanady. W imię obrony pokrzywdzonego partnera Konfederacji — Kanady francuskiej. Do komisji weszło czterech Kanadyjczyków angielskich, czterech francuskich, jeden pochodzenia polskiego (dr Paweł Wyczyński z uniwersytetu ottawskiego) i jeden ukraińskiego — znany czytelnikom *Kultury* prof. Jarosław B. Rudnyckij z Winnipegu.

Komisja pracowała przez pięć lat konsultując związki zawodowe, grupy etniczne, środki przekazu masowego, uniwersytety, partie polityczne. W głównych miastach kraju zwoływane były zebrania gdzie każdy obywatel mógł przedstawić swój punkt widzenia. Ponad 10 tysięcy osób wzięło udział w tych przesłuchaniach.

Wspomnieć należy, że późniejsze sprawozdanie komisji podkreśliło, iż w Ottawie obywatele pochodzenia polskiego i ukraińskiego wypowiadali się w obu językach urzędowych.

Wstępny raport, wydany w roku 1964, stwierdził, że spotkania z ludnością wykazały, że wszyscy są w pełni świadomi, iż „Kanada przeżywa największy kryzys w swej historii”.

Okazało się również, że kryzys prowincjonalny i krajowy ma dalsze reperkusje. Zagadnienie odbiło się bowiem silnym echem wśród grup etnicznych czyli obywateli kanadyjskich z wyboru, a nie urodzenia. Wyrazili oni obawę, że uznanie Kanady za kraj dwujęzyczny i dwukulturowy releguje ich do pozycji obywateli drugiej klasy. Dlatego też w kilka lat później ukazuje się czwarty tom badań komisji, poświęcony grupom etnicznym. Stwierdzono w nim, że Kanada jest krajem wielu kultur. Tom ten objął wiele zagadnień ważnych dla grup etnicznych, jak szkoły, prasa, język pochodzenia. Niestety w pewnych momentach dyskusji, która toczyła się latami na łamach prasy angielskiej, francuskiej i etnicznej, odczuwało się, że Nowokanadyjczycy nie rozumieją w pełni kryzysu jaki przechodzi kraj, a korzystają z atmosfery zamieszania, by przy okazji upiec swoją polską, ukraińską czy niemiecką pieczeń. Było to również drażniące dla Francuzów, którzy w żadnym wypadku nie chcieli być zrównani w prawach z innymi, napływowymi grupami. Raport Komisji musiał podkreślić, że Francuzi kanadyjscy nie są mniejszością narodową, lecz współtwórcami Konfederacji, o korzeniach zapuszczonych w kraj we wczesnych latach siedemnastego wieku. Co więcej, cztery miliony Francuzów w Quebecu i dwa w reszcie kraju nie mogą być uznane za grupę etniczną, skoro stanowią 80 % ludności prowincji i 1/3 ludności kraju. Żadna z pozostałych 50 grup narodowościowych nie przekracza 6 % ludności.

Stwierdzono też w czasie prac komisji, że emigranci osiedlający się poza prowincją Quebec, często nie zdają sobie w ogóle sprawy z dwujęzycznego charakteru kraju. Emigrując uważali kraj za angielski, czy nawet za brytyjską kolonię. Rdzenni Kanadyjczycy — według Komisji — nie zdają sobie sprawy jak wiele różnorodnych grup etnicznych żyje obok nich.

Rezultatem prac komisji stał się Akt o oficjalnych językach Kanady — angielski i francuski mają równe prawa w parlamencie i w biurach rządu federalnego. Oba języki wprowadzane są stopniowo do szkół, tam gdzie ludność jednej z oficjalnych grup stanowi ponad 10 %.

Kanada francuska uzyskała nowe prawa, straciła argument nierówności językowej, braku zainteresowania kulturą francuską. Toteż żądania prowincji przerzuciły się na zagadnienia gospodarcze. I tu wkraczamy w dziedzinę błędnego koła. Quebec jest przeciwny *status quo*, czyli przewadze kapitału angielskiego i amerykańskiego w prowincji. Nie proponuje żadnej alternatywy, bo jest to niemożliwe przy powiązaniach ekonomicznych całego kraju ze Stanami. Niejednokrotnie, po zamachach bombowych czy wypadkach jesieni 1970, rozlegały się głosy rozsądku i prze-

rażenia wobec odpływania kapitału „obcego” pochodzenia. Jeśli by odpłynął on całkowicie, co pozostaje? Co dalej? Jak długo Quebec mógłby wytrzymać konkurencję i sąsiedztwo mocnej gospodarczo zachodniej Kanady i Stanów Zjednoczonych?

Na wiosnę 1968, w okresie niezmiernie trudnym dla Kanady, na widowni politycznej kraju zjawia się nowa postać — przywódca partii liberalnej, 15-ty premier Kanady — Pierre Elliott Trudeau, władający biegle oboma językami Kanadyjczyk, pochodzenia francuskiego. Prawnik, ze studiami w zakresie nauk politycznych, z dyplomami Harvardu, Paryża i Londynu, znany był od dawna we francuskiej Kanadzie. Przeciętny obywatel w pozostałej części kraju usłyszał pierwszy raz jego nazwisko na krótko przed wyborami, w czasie zjazdu partii liberalnej. Jeszcze jeden dowód braku kontaktu między kanadyjskimi prowincjami.

Jeszcze w czasach złej pamięci Duplessisa, Trudeau i kilku Francuzów zakładają pismo *Cité Libre*, nawołujące do zerwania z przesądami, korupcją, do odnowienia świadomości politycznej. Słowa jednego z założycieli „pismo mówiło głośno rzeczy, które inni odważali się tylko szeptać”.

Trudeau zainteresowany jest w utrzymaniu francuskiej kultury i krytyczny wobec anglosaskich oporów wobec dwukulturowości i dwujęzyczności. Ale jest on również przeciwny tworzeniu państwa na podstawach etnicznych czy narodowościowych. Był gorącym zwolennikiem autonomii prowincji, gdy jednak autonomia została wyolbrzymiona do wymiarów absolutu, a federalizm zredukowany do zera, Trudeau zdecydował się (1965) wejść na arenę polityczną jako federalista, głęboko przekonany, że w ramach federacji kanadyjskiej Quebec ma znacznie większą szansę osiągnięcia swych celów ekonomicznych, socjalnych i kulturalnych.

Trudeau niejednokrotnie zarzucał Francuzom ich obskurantyzm, niski poziom szkolnictwa („niewiele ponad poziom biednych emigrantów, świeżo przybyłych z Sycylii”), zanieczyszczenie języka francuskiego naleciałościami angielskimi (tzw. w Quebec *joual* od miejscowej wymowy *cheval*). Stał się też zdecydowanym przeciwnikiem jakiegokolwiek specjalnego statusu dla prowincji, ograniczenia władzy federalnej na korzyść Quebecu.

Zdaniem separatystów Trudeau został wybrany premierem ze względu na kryzys narodowy i swoją twardą postawę wobec Quebecu — przemówiło to do konserwatywnych elementów anglosaskich. Jest w tym tylko część prawdy. W Kanadzie angielskiej uważano, że Francuz będzie łatwiejszy do przyjęcia przez Quebec, kampania wyborcza była tak krótka, że ogół nie miał możliwości dokładnego zapoznania się z poglądami przyszłego premiera. Nie bez znaczenia natomiast były środki przekazu masowego — przede wszystkim telewizja rejestrująca zjawisko nazwane w latach sześćdziesiątych „charisma”: dynamiczna, bezpośrednia postawa Trudeau, młodszego znacznie od poprzednich premierów.

Nie spodziewano się wówczas, że Trudeau będzie miał okazję

pokazać że nie pozwoli, by terroryści szantażowali rząd i kraj. W październiku 1970 gdy terroryści żądali okupu i bezkarności, nie brak było sugestii ustępstw dla ocalenia Jamesa Crossa, późniejszego Laporte'a. Trudeau wytrwał w swym twardym stanowisku — płacąc wysoką cenę śmierci ministra i bliskiego sobie ideowo człowieka. Oddali mu hołd sami terroryści, mówiąc później, że każdy inny przywódca kraju uległby ich żądaniom. Gdy w Montrealu zaczynają się toczyć podziemne rozmowy o rządzie tymczasowym, gdy mnożą się dowody przygotowywanych akcji zamachowych, Trudeau nie waha się wprowadzić tymczasowego stanu wojennego — posunięcie niepopularne i teoretycznie godzące w podstawowe prawa obywatelskie.

O sytuacji w Quebecu mówią politycy, dziennikarze, komentatorzy radiowi i telewizyjni. Mówi szary człowiek w biurze i fabryce. Zagadnienie znajduje też swój wyraz z literaturze. Powieści francuskich przez które przewija się zagadnienie stosunku prowincji do reszty Kanady jest wiele, przedstawiają one jednak sprawę tylko od strony francuskiej. Chcielibyśmy zatrzymać się na paru pozycjach wyrażających troskę o współzycie harmonijne obu grup. I na pracy, z dziedziny pozaliterackiej, naświetlającej problem ideologii (jeśli można tego słowa użyć w tym kontekście) grup terrorystycznych Quebecu.

Hugh McLennan, montrealski Anglosas, jeden z czołowych pisarzy kraju, ongiś nie miał wątpliwości, że istnieje droga do porozumienia, do harmonijnego współzycia. Dał temu wyraz w powieści „Dwie samotności” (1945), kreśląc panoramę życia i myśli Quebecu znaczną ważkimi datami — pierwsza wojna światowa — okres kryzysu gospodarczego — druga wojna. Powieść osadzona jest w małej wiosce, w środowisku czysto francuskim, zaśniedziałym w tradycji podtrzymywanej przez księży. Zarysowana przez autora sprawa własnego, francuskiego przemysłu, to załazek dzisiejszego wielkiego problemu, niezmiernie istotnego w franko-angielskim konflikcie.

Drugie zagadnienie powieści należy do historii. Nie jest to jednak historia podręcznikowa, której uczy się w szkole nie-emocjonalnie. To pobór do wojska. To sprawa która w latach czterdziestych doprowadzi do aresztowania prezydenta Montrealu za sprzeciwianie się poborowi — jeszcze dziś mówi się o tym, jak o czymś bardzo świeżym, niedawnym.

Dla McLennana dwie grupy narodowościowe żyjące obok siebie, przyjazne w małych grupkach, wrogie w tłumie, to dwie samotności, szukające się nawzajem, współzależne. McLennan z roku 1945 patrzy na konflikt optymistycznie, nawet naiwnie w swych uproszczeniach. Zrozumienie jest możliwe poprzez zbliżenie między jednostkami, małżeństwa mieszane, zmiany w systemie kształcenia.

Gdy w roku 1963 autor wróci do tej samej tematyki w „Re-

konfliktu, nastąpiło to po angielskiej stronie niepotrzebnej barokady.

Dialog anglo-frankoński przerwała przedwczesna śmierć G. Graham. Książka „Mon pays, le Québec ou le Canada” (S. Chaput-Rolland, 1966) miała też być pisana wspólnie. Założeniem jest podróż poprzez prowincje Kanady w nadziei wypełnienia przepaści pomiędzy nimi a tą jedyną, inną prowincją Quebec, gdzie autorka „czuje się kompletnie u siebie w domu, gdzie może żyć swobodnie przez 24 godziny doby”.

W ubogich prowincjach nadmorskiego wschodu (Polacy nazywają je kanadyjską Białorusią) autorka wyczuwa gorycz wobec Quebecu. W Nowej Szkocji mówi: „Wasza prowincja jest uboga, nasza biedna. Ottawa idzie wobec was na wszelkie ustępstwa, bo macie broń szantażu i używacie jej umiejętnie”. Podobnie na Wyspie Księcia Edwarda: „Nasza prowincja byłaby szczęśliwa gdyby uzyskała w Ottawie niektóre tylko z ustępstw, które wy zawsze otrzymujecie”.

Toronto, stolica bogatego Ontario, zyskuje uznanie autorki swym kosmopolitycznym charakterem, znajduje tu miejsca o atmosferze francuskiej, nie wydaje się jednak czytelnikowi, by zdawała sobie sprawę w jakim stopniu grupy etniczne zmieniły charakter miasta w ostatnich dwu dekadach. Spotkanie z Francuzami kanadyjskimi prowincji ustawia problem w nowej perspektywie. Podkreślają oni, że mają przywileje, ale nie mają praw. Obawiają się, że jeśli zaczną się o nie domagać usłyszą: „jeśli nie jesteście szczęśliwi, wracajcie do Quebecu”. Jakaś kobieta powiada: „Pięć lat temu, gdy mówiliśmy w autobusie po francusku, mówiono nam niegrzecznie: 'Proszę mówić po angielsku, albo wyjść'”. W autobusach pełnych Włochów, Niemców, Ukraińców, Polaków, mówiących w rodzimych językach nieraz znacznie głośniej, niż nakazują przepisy elementarnego wychowania? Ejże, stanowczo pisarka zagalopowała się, cytując wypadek, jeśli nawet prawdziwy, to niewątpliwie odosobiony, nietypowy.

Brytyjska Kolumbia jest szokiem dla p. Chaput. Na przeciwnym końcu kraju, odległa niemal jak Europa. Dochodzą tu tylko nikłe echa problemów francuskiej prowincji — jest to sprawa daleka, niemal obca.

Na preriach Zachodu spotyka się ze świetnym francuskim i ze... skargami na przybyszów z Quebecu, którzy mówią złym a nawet wulgarnym językiem.

I znów autorka odpręża się w atmosferze własnego języka, gdyż jest całkowicie wyczerpana po kilku tygodniach rozmawiania po angielsku...

Ogólne refleksje są pesymistyczne. Przyznaje pisarka, że podróż była możliwa dzięki stypendium Komisji Stulecia (demokracja!), „ale czym więcej zwiedzam Kanadę, tym mniej widzę powodów do celebrowania stulecia wspólnego życia”. Zaczyna też wątpić czy w razie oderwania Quebecu, można by przetrwać we francuskiej izolacji, skoro jest się otoczonym 220 milionami sąsiadów mówiących po angielsku. Powodem do niepokoju jest

też fakt, że dziesięć prowincji Kanady, to właściwie odrębne organizmy z własnymi problemami i trudnościami. To samo zauważył Komisja Badania Dwukulturowości, to samo widzi się w sprawozdaniach z konferencji ogólnoprowincjonalnych.

Pytania i niepokoje p. Chaput-Rolland nie skończyły się. Tuż przed „jesiennym kryzysem” 1970 wyszła jej książka „Drugi podbój — Refleksje”. Tym razem autorka patrzy tylko na własną prowincję — nie bez przerażenia. Jej pokolenie walczyło przeciw dyktaturze Duplessisa, przeciw przemożnej pozycji kościoła. Dziś młode pokolenie korzysta z wolności wywalczonej przez rodziców. Ale zamiast pozytywnych dokonań, zamiast dalszej ewolucji, młodzi walczą ze wszystkimi którzy nie podzielają ich przekonań w dziedzinie życia, polityki, religii, wolności seksualnej, narkotyków i rewolucji. Dużo jest w tych refleksjach wspólnego z wypowiedziami McLennana po wypadkach października 1970.

Współczesny Quebec dostarcza wciąż powodów do niepokoju, przerażenia. Młodzi fanatycy już od lat przeszli od słów do czynów. Słowa też są coraz mocniejsze — jak w wypadku Paul Rose, głównego oskarżonego w procesie o zamordowanie ministra Laporte, który nie zawahał się rzucić sędziom: „Gdy FLQ skończy z wami, nasze ręce będą może trochę brudne, ale instytucje publiczne będą czyste”. O tym nie wiedziała p. Chaput. Ale nie mogła nie znać książki jednego z oskarżonych o przygotowanie zamachu stanu — Pierre Vallières „Nègres blancs d'Amérique”. Książka ukazała się w Quebecu legalnie w roku 1969 i doczekała się już drugiego wydania. Od jesieni 1970 jest w Quebecu zakazana, w czasie aresztowań i rewizji szukała jej policja. Wtedy dopiero dowiedziała się o niej reszta Kanady.

Podtytuł jest wymowny: „Autobiographie précoce d'un 'terroriste' quebecois”. Tylko część książki ma charakter autobiograficzny. Reszta — to rozważania polityczne, ekonomiczne, społeczne. Reszta — to credo zamachowców z FLQ. Reszta — to przedziwna mieszanina rzeczy przeczytanych, ale nie przetrwanych, a jeśli przemyślanych, to niejako *à rebours*.

Wysoce demagogiczna książka ma być wyrazem „determinacji ogromnej klasy uciskanych (wieśniaków, robotników, studentów, młodych, intelektualistów, urzędników, uczonych, badaczy w niewoli wielkiego kapitału). Pragnienie by wyzwolić się definitywnie z dyktatury jaką 'rekiny wielkiej finansjery' narzucają ich działalności”. Zdanie wystarczające by odrzucić od dalszej lektury, od znanej frazeologii nowej lewicy, którą John Ciardi niedawno dowcipnie nazwał „starą lewicą z chińskim akcentem i brodą Ché Guevary”. Niemniej trzeba się przegryźć, by zrozumieć pożywkę pokolenia młodych Quebecu. By zrozumieć tę pseudomoc do ideologię, która rzekomo odrzucając komunizm, czerpie zeń pełnymi garściami. Ideologię, która — typowo — burzy, nie oferując w zamian pozytywnego programu.

Autor występuje w pierwszym rządzie przeciwko obecnym przywódcom polityki Quebecu, twierdząc że są oni całkowicie

oddaleni od klasy robotniczej. Domaga się kontroli nad polityką ekonomiczną i społeczną prowincji. Tego chce Vallières, tego chcą młodzi z FLQ i ich jawni i ukryci zwolennicy. To dalszy krok od mentalności młodych podfruwajek, które zapytane o Quebec powiadają: „Niepodległość? To sprawa godności, tego się nie dyskutuje, to się czuje”. To dalszy krok od przeświadczenia intelektualistów, że w niezależnym, oderwanym od Kanady państwie, przeciętni pisarze i poeci staną się — z dnia na dzień — wielkimi, dobrzy naukowcy — geniuszami. I tak dalej — do idealnej quebeckiej Utopii.

Władze prowincjonalne, partie polityczne — to *vilain de la pièce* autora. Ale jest ich więcej — duchowieństwo, tradycyjnie oddziaływające na ludność, choć w ostatnich paru dziesiątkach lat ten wpływ się znacznie zmniejszył, czego Vallières zdaje się nie zauważać. Francuskie mieszczaństwo, zamożne, zadowolone z istniejącego stanu rzeczy, powiązane licznymi interesami z Anglikami, podtrzymywane przez kler. Wszelki kapitał, a przede wszystkim kapitał amerykański.

„Spokojna rewolucja” to dla autora przemiany będące wyrazem ideologii mieszczańskiej, jej interesów, z pominięciem szarego człowieka, ignorowaniem 90 % ludności. Oburza się na wzrastające podatki, twierdząc że niczego nie dokonano za wyciągnięte z kieszeni mieszkańców pieniądze — nie widzi nowych szkół, dróg. Demagogicznie zapytuje czy pieniądze podatników poszły do portfeli ministrów czy też zostały zainwestowane w „kapitalistyczne EXPO”. W to EXPO na którym wzbogacił się Montreal i za które reszta Kanady do dziś płaci.

Vallières odżegnuje się od komunizmu, ale nie przestaje cytować Lenina, Marksa, jak popadnie, jak wygodnie. Ale przyznaje, że największe wrażenie zrobili na nim Mao Tse-tung, Castro i Ché Guevara. Co zaczerpnął z nich nie jest jasne, bo powiada że idee FLQ nie są oparte ani na oportunistycznym oportunizmie partii kapitalistycznych, ani na obsesjach rewolucyjnych partii, które nazwały się komunistycznymi. Jego nowy świat ma się oprzeć na pierwiastku ludzkim, jego Quebec ma być rządzony przez klasę robotniczą — niezwiązaną ze światowym komunizmem. Ale jaki to ma być świat — bez komunizmu, bez kapitalizmu, bez inwestycji amerykańskich i anglokanadyjskich, na czym ma polegać przyszła wielkość tego niezależnego, idealnego i 4-milionowego toru, tego wszystkiego autor nie precyzuje.

Jeśli strona ideologiczna koncepcji Vallièresa trąci mętliactwem, to jego konkretne nawoływania do krwawej rewolucji, do natychmiastowych przemian w Quebecu, mają posmak realny zwłaszcza w świetle wypadków jesieni 1970. Wiele jego zdań chłonał zapewne Rose i inni „bohaterowie” procesu o zabójstwo i zdradę stanu: „Jestem zmęczony słuchaniem morałów. Jeśli to potrwa, wyślę któregoś z tych burżujów na tamten świat. Jeśli nie uczynięm tego dotychczas to tylko dlatego, że nie jestem pewien czy to by wiele pomogło. Musi nas być więcej, by raz na zawsze załatwić porachunki z tą szajką, z tymi przekłętymi wy-

zyskiwaczami... Jest dość dynamitu w Quebecu by wysadzić ich wszystkich w powietrze”. Marzy mu się jakaś quebecka „Marsylianka” czy „Śpiew partyzantów”, marzy mu się krzyk „Do bronii, obywatele Quebecu”, roi mu się, że chłopcy staną się wreszcie mężczyznami, że będą, jak on, zdecydowani na wszystko.

Ciekawe jest, że ta przedziwna rewolucja ma być jakimś cudownym panaceum na wszystkie problemy, że ma przynieść to — czego zdaniem autora — nie może dać legalne oderwanie Quebecu od reszty Kanady. Jego ocena możliwości niepodległego Quebecu — w konwencjonalnych, przewidzianych przez separatystów ramach — jest nadspodziewanie trzeźwa: „Co się zmieni? Jeden podatek zamiast dwu? Bezpółśrednia linia telefoniczna Quebec-Waszyngton? Operetkowa armia włączona w NORAD? Przedstawiciel w ONZ i własny ambasador w Watykanie?” Bogactwa naturalne, przemysł i tak pozostaną własnością Amerykanów, a więc jedynym rezultatem byłoby dodatkowe wyobcowanie polityczne i zwiększona zależność gospodarcza. Oczywiście autor pośpiesznie dodaje, że nie jest przeciwny niepodległości Quebecu, nie chce jednak niezależności iluzorycznej, proponowanej przez „pasożytnicze mieszczaństwo”.

Mimo że autor operuje pustymi frazesami, mimo że „dřęta mowa” wydaje się w porównaniu szczytem przejrzystości i logiki, błędem byłoby nie doceniać oddźwięku propagowanych „idej” w środowisku młodzieży francuskiej. Czytelnik, dojrzały umysłowo i politycznie, niewątpliwie uzna jego wywody jedynie za pewne wynaturzenie epoki. Natomiast młody, zbuntowany, szukający dróg czytelnik z Quebecu uznaje książkę za swą ewangelię, czerpie z niej pożywkę, natchnienie wyładowujące się w zamachach bombowych, akcjach antypaństwowych — aż do porywań i morderstw. Niebezpieczeństwo leży nie tylko w tym, że w ustroju demokratycznym książka taka mogła się ukazać i stała się — połowicznie — zakazana dopiero wtedy gdy poczęto zbierać jej gorzkie owoce. Ale niebezpieczeństwo leży i w lekceważeniu jej wczoraj i dziś. Zanim wiosną 1971 ukazał się przekład angielski, sprawozdawcy anglosascy wygłaszali opinie oparte na fragmentarycznych przekładach (w jednym z pism amerykańskich!) bądź na pobieżnym przejrzaniu tekstu francuskiego, przy rozbajającym wyznaniu, że ten francuski wyniesiony ze szkoły nie bardzo pozwala wszystko zrozumieć... Nic więc dziwnego że widzieliśmy w prasie takie dziwolągi jak radość jednego z polityków-publcyistów, że książka została ostro skrytykowana przez komunistów kanadyjskich, jako niepoważna, anarchistyczna, anty-komunistyczna i anty-sowiecka. Ergo, wniosek mędrca: książka nie może być niebezpieczna a FLQ nie jest popierane finansowo przez Sowiety. Może nie finansowo, może nie przez Sowiety, choć na pewno ma ich moralne błogosławieństwo jak każdy czynnik rozkładu działający w „kapitalistycznym” państwie. I przecież nie jest tajemnicą, że członkowie FLQ przechodzili przeszkolenie na Kubie i w Algierze. Że Kuba przyjęła winnych porwania Jamesa Crossa. Wypowiedzi Douglasa Fischera (tak się

nazywa ów mędrzec z najbardziej — po komunistycznej — na lewo zezującej partii kanadyjskiej) były jeszcze jednym drastycznym dowodem braku wspólnego języka — w najszerszym słowa znaczeniu — między dwoma częściami Kanady.

Do dziś dnia nie jest wiadomo jaka jest właściwie liczba aktywnych członków FLQ. Wymienia się śmieszne cyfry setki osób. Nie byłoby to groźne, gdyby nie znacznie większa liczba cichych i głośnych zwolenników. Nie jest niestety przechwałką gdy Vallières mówi: „Władze mogą sobie mnożyć nagrody pieniężne — ludność nie współpracuje z policją w polowaniu na 'terrorystów'. Przeciwnie — stwarza ona policji dodatkowe problemy (w oryginale mniej cenzuralne słowo, pochodne od *Cambronna*) codziennymi fałszywymi alarmami o bombach w Montrealu. W ten sposób kieruje się policję na fałszywy trop. Podczas gdy glina drepcze sobie i rząd się denerwuje, akcja FLQ nie przestaje się rozszerzać, mimo że po każdej serii aresztowań władze są przekonane, że całkowicie zlikwidowały organizację”.

Niestety autor ma rację — w czasie wielotygodniowych poszukiwań James Crossa i Pierre Laporte'a ludność nie współpracowała z policją, uchylała się od zawiadamiania o podejrzanych osobnikach, o dziwnych rzeczach dziejących się w pobliskich domach. Jedna z prywatnych radiostacji parokrotnie ogłaszała podrzucone komunikaty FLQ — wbrew wyraźnym instrukcjom policji. Co więcej, policja prowincjonalna nieraz utrudniała akcję policji federalnej. Trudno też wątpić w prawdziwość pogłosek o wtyczkach FLQ na różnych szczeblach kierownictwa politycznego i administracyjnego prowincji.

W tej sytuacji przebieg procesu i wyrok na zabójców ministra pracy miał właściwie znaczenie niemal uboczne. Sprawa Québecu nie jest załatwiona i skończona. Zdają sobie z tego sprawę obie strony — fanatycy i władze federalnej Kanady. Konflikt będzie trwał i narastał, nawet przy najmądrzejszej polityce prowincjonalnej czy federalnej. Nie rozładują go zmiany w konstytucji. I zapewne będziemy jeszcze w naszym pokoleniu świadkami niejednego kryzysu, równie ostrego jak ten który przeżyliśmy w Kanadzie na jesieni ubiegłego roku.

Jadwiga JURKSZUS-TOMASZEWSKA

Kraj

Szacunki zmian w płacach realnych w latach 60-tych

W kwietniu br. opublikowane zostały, niezależnie od siebie, dwa szacunki ekonomiczne dotyczące zmian w spożyciu ludności Polski w latach sześćdziesiątych. Ponieważ ogólnie niezadowolone z rozwoju tego spożycia spowodowało zaburzenia robotnicze w grudniu 1970 roku, krótkie sprawozdanie z tych szacunków powinno przyczynić się do głębszego zrozumienia podstaw buntu robotników przeciwko władzy PRL.

Jeden z szacunków zrobiony został przez znanego publicystę ekonomicznego, Wiesława Krencika, i opublikowany był w kwietniowym numerze *Gospodarki Planowej*, miesięcznika poświęconego problemom planowania. Pozwolę sobie podać obszerny cytat z artykułu Krencika, który dotyczy okresu 1961-69:

Niestety GUS nie opublikował dotąd danych umożliwiających dokonanie dokładnego rachunku wzrostu spożycia ludności. Spróbujmy jednak proces ten przedstawić z konieczności w sposób dość ogólny: dziewięćprocentowe tempo wzrostu nakładów inwestycyjnych powodowało, że przy zwiększaniu się dochodu narodowego o 6 %, część przeznaczona na spożycie mogła wzrastać przeciętnie o niecałe 5 % rocznie. Z uwagi na to, że fundusz spożycia zbiorowego wzrastał szybciej niż fundusz spożycia indywidualnego, ten ostatni mógł zwiększać się nie więcej niż o około 4 % rocznie. Wiemy, że fundusz spożycia indywidualnego dzielony jest między wszystkich zatrudnionych w społecznym procesie produkcji. Gdyby ilość zatrudnionych wzrastała, w takim samym tempie mogłyby przeciętnie wzrastać dochody indywidualne z pracy. Jeżeli jednak liczba zatrudnionych rośnie, i to dość szybko, a tak właśnie było, tempo wzrostu dochodów indywidualnych musiało być proporcjonalnie niższe. Wreszcie, jeżeli uwzględnimy coroczny wzrost kosztów utrzymania o około 1,0-1,5 %, to okazuje się, że przy takiej strategii rozwoju sześcioprocentowe tempo wzrostu dochodu narodowego pozwalało uzyskać w długim okresie wzrost przeciętnych płac tylko rzędu 1,5-2 % rocznie.

Szacunek ten jest o tyle prawidłowy, że takie było właśnie tempo wzrostu płac realnych w ostatniej dekadzie według danych GUS (tablica 8).

TABLICA 8

Wskaźnik przeciętnej miesięcznej płacy realnej w latach 1956-1969

Rok	Wskaźnik wzrostu	
	rok poprzedni = 100	rok 1960 = 100
1956	111,6	86,4
1957	108,3	93,6
1958	103,3	96,7
1959	105,1	101,5
1960	98,5	100,0
1961	102,6	102,6
1962	100,4	103,0
1963	102,4	105,6
1964	102,1	107,7
1965	100,0	107,7
1966	103,3	111,3
1967	102,5	114,0
1968	101,3	115,6
1969	101,6	117,5

Źródło: Rocznik Statystyczny 1970, str. 497.

Dane przedstawione w tablicy 8, będące odbiciem ekstensywnych metod gospodarowania w dłuższym okresie czasu wykazują, że z wyjątkiem lat 1956-1957 w ciągu całego badanego okresu wzrost płac realnych był bardzo niski, a były nawet lata, w których nie tylko nie osiągnano wzrostu, ale nawet zaznaczył się spadek przeciętnych płac realnych.

Oznacza to, że społeczeństwo osiągając wysokie tempo wzrostu gospodarczego, nie mogło odczuć jego efektów wyrażających się wzrostem płac i dochodów realnych. Jeżeli do tego dodamy niedostosowanie produkcji do potrzeb ludności, ograniczenie nakładów na budownictwo mieszkaniowe i inne inwestycje nieprodukcyjne oraz trudności związane z zaspokojeniem indywidualnych potrzeb przez tych, którzy osiągnęli wzrost dochodów, to zarysuje się obraz prezentujący przyczyny, które złożyły się na to, że społeczeństwo nie odczuwało efektów rozwoju gospodarczego kraju.

Gdy mowa o osiąganym dotychczas tempie wzrostu płac realnych w Polsce i o tym jakie są efekty tego wzrostu w odczuciu społecznym, należy uwzględnić dodatkowo fakt, że w analizowanym okresie następowała bardzo gruntowna zmiana struktury kwalifikacyjnej zatrudnionych. Przypomnijmy, że w latach 1958-1969 zatrudnienie pracowników z wykształceniem wyższym wzrosło o 165 tys. osób, ze średnim zawodowym — o 526 tys. osób, ze średnim ogólnokształcącym — o 109 tys., a z zasadniczym zawodowym — o 754 tys. Jednocześnie zaś liczba zatrudnionych z wykształceniem podstawowym nieukończonym zmniejszyła się o 567 tys. osób. Tak poważne zmiany w strukturze kwalifikacyjnej w warunkach, gdy istnieje pewna współzależność płac i wykształcenia, musiała pociągnąć za sobą wzrost średniej płacy (myślę, że przynajmniej o 1% rocznie), chociaż trudno wzrost płac z tego tytułu uznać za podwyżkę płac.

Podobnie na podniesienie wysokości średnich płac wpływało zwiększenie liczby stanowisk kierowniczych, z czym wiąże się wzrost odpowiedzialności dodatkowo opłacanej oraz wzrost płac z tytułu większych nakładów pracy, związanych z przedłużaniem dnia pracy o godziny nadliczbowe.

Wpływają one przecież na wzrost średnich płac, ale dla pracownika nie oznaczają podwyżki płac, gdyż wiążą się z dodatkowymi nakładami pracy. Tymczasem wiemy, że liczba godzin nadliczbowych ciągle wzrastała. A więc wzrost ten musiał również wpływać na wspomniany wzrost średnich płac, przy czym w odczuciu pracowników wzrost ten wiązał się z dodatkowymi nakładami pracy, a nie ze wzrostem gospodarczym kraju.

Nasuwa się więc wniosek, iż roczny wzrost średnich płac realnych o 1,5-2% nie może pozwalać na dokonywanie podwyżek płac. Takie tempo wzrostu pozwala jedynie uwzględnić zmiany struktury kwalifikacyjnej pracowników oraz zmiany w nakładach pracy.

W sumie, po uwzględnieniu czynnika wyższych kwalifikacji i konieczności wyższej płacy za nie, Krencik dochodzi do wniosku, że płace realne nie podniosły się w ciągu lat sześćdziesiątych. Wniosku tego, ze zrozumiałych względów, autor nie mógł stwierdzić w sposób wyraźny, ale niemniej widoczny on jest w podanym szacunku.

Drugie obliczenie zrobione było przeze mnie pod koniec lata 1970 roku, i opublikowane w kwietniowym numerze *Soviet Studies*, pisma wydawanego przez University of Glasgow. Pomijając źródła obliczeń, które podane są w *Soviet Studies*, postaram się streścić ich tok. Spożycie w bieżących cenach wzrastało w latach sześćdziesiątych przeciętnie o 3,5% rocznie. Po deflacji o jedno-procentowy wzrost kosztów utrzymania (1-1,5% u Krencika) stanowi to 2,5% wzrostu w cenach stałych. Od tego odejmuję przeciętny ukryty wzrost cen, spowodowany przez zmiany asortymentowe, obliczony przez Zygmunta Żekońskiego, publikującego także w *Gospodarce Planowej*, na 1,6% na rok w okresie 1960-65, i 3% na rok w ciągu 1965-67. Przepiętnie więc ukryte wzrosty cen wynosiły około 2% i wykazywały tendencję wznoszącą. Tak więc pozostaje nam realny rzeczywisty wzrost konsumpcji o około 1/2% na rok.

Produkcja artykułów spożycia na osobę w Polsce powinna była jednak wzrosnąć w ciągu całego okresu lat 60-tych o 2% ponieważ zmiany demograficzne wciągnęły większą ilość ludności na rynek pracy. Poza tym większy procent ludności w wieku zdolności do pracy (18-64 dla mężczyzn i 18-59 dla kobiet) zaczął pracować. Zjawisko to dotyczy szczególnie kobiet, których obecna aktywność zawodowa jest w Polsce trzecią najwyższą z rzędu w Europie, ustępując jedynie Związkowi Sowieckiemu i Rumunii (GUS, *Polska Wśród Krajów Europejskich*, według recenzji w *Życiu Gospodarczym*, 1971, nr 23). Przepiętny roczny wzrost produkcji i płac, związany z dwoma powyższymi czynnikami zwiększonego zatrudnienia ludności na każde 100 mieszkańców ocenia się na 3% rocznie. O tyle powinna była wzrosnąć konsumpcja aby dostatecznie wynagrodzić ludność za fakt, że na każde 100 osób coraz więcej pracowało zarobkowo. Ponieważ rzeczywisty realny wzrost spożycia wynosi tylko 1/2% rocznie, można stwierdzić, że standart życiowy na robotnika obniżał się w latach 60-tych przeciętnie o 2,5% w skali rocznej, w stosunku do tego na co robotnik powinien był liczyć. W obliczeniach moich przy-

jąłem jednak, że wyjściowa liczba 3,5% wzrostu spożycia podana była nie w cenach bieżących a w cenach stałych, starając się w ten sposób przyjąć najbardziej optymistyczną interpretację niezbyt precyzyjnie sformułowanych wypowiedzi ekonomistów polskich. W ten sposób pozostał mi ostateczny szacunek obniżenia względnej stopy życiowej na robotnika o 1,5%.

Należy zaznaczyć, że nie wziąłem pod uwagę czynnika polepszenia się kwalifikacji zawodowych, które Krencik ocenia na przynajmniej 1% w skali rocznej, chociaż czynnik ten wymieniłem w moim artykule. Włączenie tego czynnika obniżyłoby mój szacunek spadku poziomu życiowego zatrudnionych w Polsce do 2,5% na zatrudnionego o danych kwalifikacjach, w rzeczywistości realnych dochodach.

Natomiast Krencik pominął efekt ukrytej inflacji cen, spowodowanej zmianami asortymentowymi, oraz najwyraźniej nie docenił lub błędnie określił wyniki przekształceń demograficznych i czynnik wzmożonej aktywności zawodowej wśród ludności. Pominięcia te i niedocenyenia spowodowały, że Krencik doszedł do wyniku poziomej stagnacji płacy realnej, podczas gdy moje kalkulacje wskazują na obniżkę tej płacy. Symptomatyczne jest dla mnie, że dociekania Krencika i moje wzajemnie się uzupełniają i wzajemnie się popierają. Wskazuje to na istnienie prawdy ekonomicznej, niezależnej od granic państwowych czy poglądów polityczno-gospodarczych, i na to że dobra wola i zawodowa niezależność stanowią najlepszą rękojmię osiągania podobnych do siebie konkluzji i dojścia do dyskusji w „jednym języku”. Języku opartym na poszukiwaniu prawdy raczej, aniżeli na głoszeniu katechizmowych doktryn czy „wyników”. Chcę zresztą podkreślić, że na podobną postawę natrafiam często przy czytaniu ekonomicznych pism polskich, i że przykład wzięty z artykułu Krencika wybrałem jedynie przez wzgląd na tematykę która może zainteresować przeciętnego czytelnika.

Wspomnę jeszcze mimochodem o dającym dużo do myślenia obliczeniu Andrzeja Lubowicza, opublikowanym w *Wiadomościach Statystycznych* (1970, nr 8), gdzie miernik składnika żywności, obliczony jako procent maksymalnego zaspokojenia potrzeb żywnościowych ludności, skalkulowany na 80,8% w 1960 roku, spadł do 80,2% w 1965 roku, i oszacowany był na 80% w 1970 roku. A więc ten podstawowy składnik spożycia wykazał według i tego opracowania tendencję spadkową. Trzeba jednak zaznaczyć, że powyższe obliczenie dochodzi do niewiarygodnego wniosku, że stopa życiowa w Polsce wzrosła między 1960 a 1970 rokiem o 19,6%.

Kontynuując dygresję zanotuję także, iż Prezes Rady Ministrów, Piotr Jaroszewicz, w mowie na X Plenum KC PZPR stwierdził jakoby płace realne w okresie 1961-70 wzrastały o 1,8% rocznie (*Trybuna Ludu*, 25 czerwca 1971). Tempo wzrostu płac o 3,5% w cenach bieżących, mniej 1,5% wzrostu cen, który jest górną granicą podaną przez Krencika (podczas gdy ja przyjąłem tylko 1% jako średnioroczny wzrost cen), daje 2,0%, co oczy-

wiście nie jest tym samym co 1,8%. Ale naturalnie nikt nie żąda od komunistycznych dygnitarzy tłumaczenia się z tego jak otrzymali dane statystyczne, których używają we własnej propagandzie, więc statystyczne króliki wyjmują się w Polsce z cylindra z pełną nonszalancją — i szybko chowa gdy interes Partii tego wymaga. Kuglarze partyjni najwidoczniej rozumują, że gawieź i tak się nie połapie, i beztrąsko uprawiają swój proceder w KC, w GUSie, w prasie — gdziekolwiek wystawią swój kramik statystyczny.

Wydaje mi się, że powyższe wywody mogą zaciekawić czytelników *Kultury* z dwóch względów. Po pierwsze, dają one przykład jednego z procesów którymi ekonomiści starają się wyłuskać ziarno prawdy z często tendencyjnych danych statystycznych. Zakłada się przy tym — ponieważ trudno o alternatywne założenie — że pewne oficjalne dane (np. te 3,5% od których ja zacząłem swoje obliczenia) nie są sfałszowane. Wypowiedzi Antoniego Gutowskiego na łamach *Kultury* (kwiecień 1970) dowodzą, że założenie takie może się okazać raczej naiwne, i że wobec tego przyjęcie oficjalnych liczb za podstawę obliczeń samo przez się wprowadza prawdopodobnie tendencje do przeceniania wżwyz kierunku zmian zachodzących w Polsce.

Po drugie, obliczenia powyższe stanowią interesujący przyczynek do określenia powodów niezadowolenia warstwy robotniczej, której oficjalnej propagandzie rządowej nie udało się omamić. Partyjnicy rozumieją coraz lepiej, bo trudno inaczej interpretować grudzień 1970 roku, że aby pozyskać chociażby bierne poparcie sfer pracowniczych trzeba wykazać się niekłamany postępem w warunkach bytowych. Nie darmo w tym roku robotnik któremu aparatczyk bajdurzył o wzniosłości pracy dla podniesienia dochodu narodowego, o piękności wysiłków dla umocnienia socjalizmu, itd., itd., dał aparatczykowi dosadną radę: „Mów do mojej kieszeni. Moje uszy są w mojej kieszeni”.

Nie ulega wątpliwości, że w latach 60-tych uszy robotnicze niczego nie dosłyszały. Ciekawe będzie osądzić po kilku latach czy Gierek zdołał trafić do robotniczych uszu. Jeżeli nawet po niedawnych, krwią wypisanych, lekcjach nie zdoła on poprawić realnych zarobków indywidualnego robotnika, to będzie to przekonywującym dowodem niższości systemu typu sowieckiego w porównaniu z systemami ekonomicznymi panującymi na Zachodzie, gdzie robotnik nigdy by chyba teraz nie uwierzył, że 100 lat temu przepowiadano iż będzie cierpiał na chorobę postępującej immizeracji zdiagnozowaną przez dialektyczny materializm. Gdyby lata sześćdziesiąte i gomułkowszczyznę przeciągnąć można było do roku 2000, to robotnik polski dowiódłby swoim własnym losem, że Marx miał rację — a przynajmniej że miał rację w stosunku do ustroju gomułkowskiego. Czy dowód ten zostanie unieważniony w okresie gierkowszczyzny? — zobaczymy.

Bogdan MIECZKOWSKI

Ithaca College, Ithaca, N.Y.

Edward Ochab w opozycji

Jako członek partii uważam za swój obowiązek przekazać wam wstępne uwagi krytyczne do „Wytucznych” przed VI Zjazdem Partii.

„Wytuczne” pomijają szereg węzłowych problemów, które muszą być rozwiązane przez Partię i klasę robotniczą, a pewne sprawy ujmują błędnie.

1) Wypadki grudniowe wykazały z dramatyczną siłą, że autokratyczny system rządów Gomułki i jego zaufanych podkomendnych, doprowadził do najgłębszego kryzysu politycznego, odizolował i przeciwstawił kierownictwo partyjne klasie robotniczej i najszerszym masom ludowym, dał świetną pożywkę wrogom komunizmu. Analiza dana przez VIII Plenum KC jest moim zdaniem jednoboka i powierzchowna.

Despotyczny system rządów Gomułki, który ukształtował się co najmniej na kilka lat przed katastrofą grudniową, opierał się, podobnie jak despotyzm Stalina, na:

a) zdeformowanych organach bezpieczeństwa, które faktycznie stanęły ponad Partią i głęboko zdemoralizowały aparat partyjny;

b) całkowitym podeptaniu demokracji wewnątrzpartyjnej i konsekwentnym rugowaniu nawet najbardziej zasłużonych i najbardziej utalentowanych pracowników partyjnych, jeżeli tylko „ośmielili się” przeciwstawić woli autokraty.

c) systematycznym wysuwaniu na kierownicze stanowiska partyjne i państwowe ludzi bez zasad, karierowiczów, cyników ślepo posłusznych rozkazom gomułkowskiej „ścistej” centrali;

d) podporządkowaniu całej prasy i środków masowego przekazu dyktatowi autokraty i jego pełnomocników, oczywiście przy zachowaniu frazesów o socjalistycznej demokracji, kolegalności, służeniu narodowi itp., itd.;

e) rozpowszechnianiu legend i mitów, prowokacyjnych plotek i bajek nacjonalistycznych, nie cofając się przed sięgnięciem po zatrutą broń antysemityzmu (np. sprawa „spisku” lekarzy syjonistów, syjonistycznego „centrum” Słański'ego, czy zagrożenie socjalizmu w Polsce przez „piątą kolumnę syjonistyczną”);

f) pozbawienie faktycznej samodzielności organów Sejmu, Rad Narodowych, Rad Robotniczych, Związków Zawodowych i młodzieżowych, Kółek Rolniczych i innych organizacji masowych, co musiało prowadzić do spadku aktywności społecznej mas ludowych i podcinania przodującej roli klasy robotniczej w państwie.

* List do Komitetu Zakładowego PZPR WSK-Okęcie.

„Wytuczne” winny wskazać na zespół środków zaradczych, których zastosowanie uchroni Partię przed odrodzeniem się procesów deformacyjnych, autokratycznych, antyleninowskich.

2) Gorzkie doświadczenia z okresu despotycznych rządów Stalina-Berii oraz nasze własne z okresu przedgrudniowego wymagają szczególnego podkreślenia konieczności rzeczywistej kontroli instancji partyjnych na wszelkich szczeblach, a zwłaszcza na szczeblu centralnym i wojewódzkim, nad pracą organów bezpieczeństwa, które muszą służyć, a nigdy więcej nie powinny stać się narzędziem w ręku klik samozwańczych kandydatów na „wodzów” narodu.

Należy wobec całej Partii stwierdzić, że werbowanie przez organy bezpieczeństwa informatorów i agentów spośród członków partii jest ciężkim naruszeniem zasad partyjnych, wobec czego należy uznać wszelkie, uzyskane tą drogą „zobowiązania” do współpracy z organami MSW za nieważne, a funkcjonariuszy podejmujących tego rodzaju nielegalne próby należy pociągnąć do surowej odpowiedzialności.

Komisja KC winna zbadać możliwości ograniczenia zadań MSW i osiągnięcia tą drogą oszczędności budżetowych w granicach około miliarda złotych w porównaniu z rokiem 1970.

3) Potępiając antypartyjną politykę kadrową grupy skupionej wokół byłego I Sekretarza KC, a zwłaszcza „rugi marcowej”, należy zaproponować VI Zjazdowi powołanie w skład centralnych instancji partyjnych wszystkich komunistów bezpodstawnie usuniętych z tych instancji w okresie V Zjazdu pod naciskiem ówczesnego reżymu autokratywnego.

Wszystkich byłych członków bohaterskiej KPP i KZMP, którzy prowadzili nieugiętą walkę przeciw własnej, polskiej kontrrewolucyjnej burżuazji, przeciw faszystom sanacyjnym, endeckim, oenerowskim i wszelkim innym, a w krwawych latach okupacji hitlerowskiej stali się organizatorami i niezłomną kadrą PPR zwycięsko walczącą o niepodległość narodu i nowe ludowe oblicze Polski, należy w pełni wykorzystać na wszystkich odciinkach pracy partyjnej i związkowej, w instancjach terenowych i różnego rodzaju komisjach społecznych, w redakcjach i wydawnictwach, wszędzie tam, gdzie wieloletnie doświadczenie pracy partyjnej i hart zdobyty w najcięższej, nielegalnej walce z siłami kontrrewolucji, nacjonalizmu i rewizjonizmu, mogą być najlepiej wykorzystane dla dobra klasy robotniczej.

Należy również rozpatrzyć problem szybkiej i wydajnej poprawy zaopatrzenia emerytalnego wszystkich, niepracujących zawodowo weteranów polskiego ruchu rewolucyjnego i ich najbliższych rodzin.

4) Autokratyczna polityka kadrowa z okresu przedgrudniowego poważnie osłabiła jednościowo kadry aparatu państwowego, związkowego i partyjnego. Zmiany zachodzące po VII i VIII Ple-

num KC winny być kontynuowane z całą konsekwencją, aby usunąć z aparatu partyjnego i organów władzy niepoprawnych biurokratów, karierowiczów, zakapturzonych oenerowców, antysemitów, nacjonalistów, ludzi pozbawionych zasad i skrupułów moralnych.

Jest to jeden z ważnych warunków pełnego przywrócenia zaufania mas do Partii.

5) Szczególny nacisk musi być położony na usunięcie z kierowniczych stanowisk w prasie, wydawnictwach i środkach masowego przekazu tych zdemoralizowanych karierowiczów, którzy przez lata byli oporą reżymu autokratycznego, wyróżnili się iście oenerowskim zapałem w walce z „żydokomuną” (oczywiście pod płaszczykiem walki z syjonizmem), zachwalali awanturnicze decyzje o zmianie cen i nowych „bodźcach” nawet w tych tragicznych dniach, kiedy na Wybrzeżu krew łała się już potokami, a dziś wyobrażają sobie, że wystarczy całą odpowiedzialność za gorzką przeszłość zwalić na Gomułkę, wykręcić się sianiem frazesów o dyscyplinie partyjnej i zachować wpływowe stanowiska, z których tak chętnie wygryzali uczciwych i zasłużonych komunistów.

Opinia publiczna, a zwłaszcza opinia robotnicza żywi głęboką pogardę do tych sprzedajnych karierowiczów, których „język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie”.

6) Opinia publiczna surowo ocenia całkowity bezruch Sejmu w okresie umacniania się autokratycznych tendencji a zwłaszcza w tragicznych dniach grudniowych. Należy szukać głębszych przyczyn tego zjawiska. Wszyscy kandydaci na posłów byli faktycznie zatwierdzani przez Gomułkę i Kliszkę, a doświadczenia ostatniej kadencji utrwaliło powszechne przekonanie, że zatwierdzenie listy kandydatów do sejmu przesądziło o ich ostatecznym wyborze. Posłowie wiedzieli też, że reżym autokratyczny skupia w swym ręku faktyczny monopol pracy, płacy i prasy, wyciągali więc z tej sytuacji wnioski i „nie wychylali się”.

Sądzę, że ordynacja wyborcza do Sejmu powinna zostać gruntownie zmieniona.

W naszych obecnych warunkach, po 27 latach istnienia Polskiej Ludowej, do wyborów należy dopuścić odrębne listy wszystkich stronnictw wchodzących w skład Frontu Jedności narodu i ewentualnie czwartą listę bezpartyjnych działaczy tego Frontu. Taki system wyborów wymagać będzie od kierownictw centralnych i wojewódzkich Partii i stronnictw sojusznicych znacznie starszego doboru kandydatów na posłów, znacznie więcej dbałości o rzeczywistą popularność i autorytet tych kandydatów, których wybór bynajmniej nie będzie automatycznie zapewniony. Sami kandydaci będą musieli znacznie gruntowniej starać się o pozyskanie zaufania wyborców i liczyć się z ich opinią.

Głosowanie na listy powinno wpłynąć na podniesienie roli Sejmu i niewątpliwie wpłynie na umocnienie przekonania wśród

milionów wyborców, że uzyskali rzeczywisty wpływ na wybór posłów i bieg spraw państwowych.

Tego rodzaju głosowanie na odrębne listy kandydatów do Sejmu na pewno będzie dobrze przyjęte przez naszych braci komunistów zachodnich, którzy walcząc o jednolity front robotniczy i szeroki front ludowy, od szeregu lat publicznie oświadczają, że nie dążą do monopartyjnych wyborów na podstawie jedynej listy kandydatów.

7) Wypadki grudniowe wykazały, jak dalece różnił się oficjalny optymizm kierownictwa partyjnego i państwowego od rzeczywistych nastrojów klasy robotniczej, a pożary gmachów Komitetów Wojewódzkich na Wybrzeżu oświetliły całą głębię kryzysu politycznego w Polsce. Długofalowych skutków tego kryzysu nie można zlikwidować tylko przez usunięcie części najbardziej skompromitowanych „przywódców” politycznych, doraźną zmianę stylu pracy niektórych instancji partyjnych i odwołanie najbardziej awanturniczych zarządzeń i pomysłów poprzedniego kierownictwa.

Partia może skutecznie pokierować walką i pracą mas nad zbudowaniem ustroju bezklasowego tylko przy pełnym zaufaniu i aktywnym poparciu ze strony klasy robotniczej, a zwłaszcza robotników wielkich zakładów pracy. W samej partii robotnicy stanowią zaledwie 40 % jej składu, a w instancjach partyjnych ten procent jest jeszcze mniejszy, często znikomy. W Radach Narodowych sytuacja nie jest lepsza, lecz znacznie gorsza.

W okresie wypadków na Wybrzeżu terenowe organizacje, a zwłaszcza instancje partyjne, związkowe i młodzieżowe oraz prezydium Rad Narodowych nie odegrały niemal żadnej roli, zostały zepchnięte na margines.

Trzeba wyciągnąć wszystkie wnioski z tych bolesnych faktów. Trzeba sięgnąć do nauk i wskazań Lenina w sprawie roli i znaczenia Rad Delegatów Robotniczych, powoływanych bezpośrednio przez masy robotnicze i mogących stanowić najlepsze oparcie partii w masach.

Sądzę, że sprawa Partii, sprawa budownictwa socjalistycznego może tylko wygrać, jeżeli obok uznania konieczności wyborów do nowych Rad Narodowych i nowego Sejmu (na podstawie nowej ordynacji wyborczej) damy hasło do wybierania Rad Delegatów Robotniczych we wszystkich zakładach pracy zatrudniających powyżej 100 robotników.

Ogólnopolski Zjazd Delegatów Robotniczych winien mieć te same uprawnienia co Sejm, a więc stanowić drugą Izbę naszego socjalistycznego systemu przedstawicielskiego.

Sądzę, że taka zmiana strukturalna została by gorąco powitana przez całą klasę robotniczą i wszystkie postępowe siły narodu, wzmacniając jednocześnie siłę i autorytet Partii.

Nowe procesy polityczne

Dnia 23 października 1971 Sąd Wojewódzki dla m.st. Warszawy ogłosił wyrok w procesie 6 oskarżonych. Prawnik z wykształcenia, 33-letni Andrzej Czuma otrzymał 7 lat więzienia; asystent Wydziału Biologii Uniwersytetu Łódzkiego, 27-letni Stefan Myszkiewicz-Niesiołowski — 7 lat; 30-letni inżynier Benedykt Czuma — 6 lat; 60-letni Marian Gołębiowski, były żołnierz Armii Krajowej — 4 i pół roku; 48-letni inżynier Bolesław Stolarz, również były żołnierz AK — 4 i pół roku; dziennikarz i prawnik z wykształcenia, 31-letni Emil Morgiewicz — 4 lata więzienia. Są to najwyższe wyroki w procesie politycznym, jakie wymierzono po 1956 roku. Wszyscy oskarżeni byli na rozprawę doprowadzeni z więzienia. Czterej pierwsi przebywali w areszcie od 20. X. 70. Emil Morgiewicz od 25. VI. 70, Bolesław Stolarz — od 30. VII. 70. Kompletowi sędziowskiemu przewodniczył sędzia Bodecki. Oskarżał prokurator Krassowski.

Proces zakończony 23 października był szóstym z rzędu procesem, w którym oskarżonym przypisano przynależność do grupy „Ruch”. W pierwszym warszawskim procesie przed Sądem Powiatowym dla m.st. Warszawy stanęły trzy osoby. Grzegorz Dzięgielewski otrzymał 2 i pół roku więzienia, Edward Piotrowski — 2 lata, Jan Długołęcki — półtora roku. Wszystkim oskarżonym wymierzono ponadto karę grzywny. W wyniku rewizji Sąd Wojewódzki dla m.st. Warszawy każdemu z oskarżonych obniżył wyrok o pół roku.

Następny warszawski proces grupy „Ruch” toczył się przed Sądem Wojewódzkim dla m.st. Warszawy. Rozprawę prowadził sędzia Deptuła. Sądzone czworo oskarżonych. Wiesław Kęcik otrzymał 3 i pół roku więzienia, Marzena Górszczyk 2 lata, Janusz Krzyżewski 2 lata, Wiesław Kurowski także 2 lata więzienia.

Z trzech procesów łódzkich w prasie odnotowano jeden: wyrokiem Sądu Powiatowego dla m. Łodzi z dnia 8. VII. 71 (przewodnicząca — sędzia Borkowska), skazano 7 osób za to, że, jak podała P.A.P. należały do „nielegalnego antypaństwowego związku „Ruch”. Sześciu oskarżonych w tym procesie jest absolwentami wyższych uczelni, jeden, Adam Więckowski, ma wykształcenie średnie, 26-letni Marek Myszkiewicz-Niesiołowski, brat Stefana, otrzymał 3 i pół roku więzienia, 25-letnia nauczycielka Elżbieta Łukasiewicz-Nagrodzka — 2 lata; 33-letni Jan Kapuściński, były asystent Uniwersytetu Łódzkiego — 2 lata; 29-letni inżynier Wojciech Mantaj, pracownik Instytutu Warzywnictwa w Skierniewicach — 2 lata; 28-letni Jacek Bartkowiak, starszy asystent Uniwersytetu Łódzkiego — 2 lata; 21-letni Adam Więckowski, technik z wykształcenia — 1 rok; 30-letni Andrzej Woźnicki, asystent Politechniki Łódzkiej — 10 miesięcy więzie-

nia. Sześciu oskarżonych dowieziono na rozprawę z aresztu. Marek Myszkiewicz-Niesiołowski aresztowany był 20. VI. 1970, Elżbieta Łukasiewicz-Nagrodzka — 21. VI. 70, Wojciech Mantaj — 25. VI. 70; Jacek Bartkowiak — 30. VI. 70; Jan Kapuściński — 2. VII. 70; Adam Więckowski — 1. VIII. 70; Andrzej Woźnicki odpowiadał z wolnej stopy; w areszcie śledczym przebywał przeszło 9 miesięcy (od 21. VI. 70 do 31. III. 71).

W następnym procesie łódzkim Sąd Powiatowy dla m. Łodzi (przewodnicząca także sędzia Borkowska) skazał 7 osób, tak jak i w poprzednich procesach studentów i absolwentów wyższych uczelni. 25-letniego Stefana Türschmida skazano na 2 lata więzienia, 24-letniego Janusza Konica — na 1 rok i 8 miesięcy, 26-letniego Marka Krużerowskiego — na półtora roku, 22-letniej Joannie Szczęsnej, 25-letniej Barbarze Wińczyk, 27-letniej Mirosławie Grabowskiej i 21-letniemu Wojciechowi Drozdki wymierzono kary po roku więzienia z zawieszeniem na 2 lata. Oskarżonych skazano ponadto na grzywnę. Na rozprawie odpowiadali z wolnej stopy, jednakże sześciu z nich przebywało poprzednio w areszcie: Stefan Türschmid — 10 miesięcy (od 30. VI. 70 do 31. V. 71), Janusz Konic — 9 miesięcy (od 30. VI. 70 do 31. III. 71), Marek Krużerowski — 8 miesięcy (od 31. VII. 70 do 31. III. 71), Joanna Szczęsna — 8 miesięcy (od 31. VII. 70 do 31. III. 71), Barbara Wińczyk — 7 miesięcy (od 7. IX. 70 do 6. IV. 71), Wojciech Drozdek — przeszło 6 miesięcy (od 28. IX. 70 do 6. IV. 71), Mirosława Grabowska nie była aresztowana.

W trzecim procesie łódzkim, również przed sądem Powiatowym dla m. Łodzi i któremu również przewodniczyła sędzia Borkowska, skazano 5 oskarżonych. 26-letni Wojciech Majda, inżynier budownictwa otrzymał 1 rok więzienia; 26-letni student Politechniki Łódzkiej Jerzy Bergiel i 31-letnia studentka Uniwersytetu Łódzkiego, Czycibora Iżycka — po półtora roku więzienia z zawieszeniem na 3 lata; 27-letnia ekonomistka Lucyna Paszkowska i 24-letni student polonistyki Uniwersytetu Łódzkiego Jacek Bierezin — po roku więzienia z zawieszeniem. Oskarżeni odpowiadali z wolnej stopy. Troje z nich przebywało poprzednio w areszcie: Wojciech Majda — 9 miesięcy (od 1. VIII. 70 do 26. IV. 71), Czycibora Iżycka — przeszło 6 miesięcy (od 31. VIII. 70 do 11. II. 71), Jacek Bierezin — 4 miesiące (od 9. XII. 70 do 16. III. 71). Jerzy Bergiel i Lucyna Paszkowska nie byli aresztowani. Prokuratura Łódzka wniosła po procesie o sporządzenie wyroku na piśmie, co w obowiązującej procedurze karnej stanowi zapowiedź rewizji.

Zamieszkały w Bydgoszczy Stanisław Schodziński był na kolejnej rozprawie przywożony w charakterze świadka z wojewódzkiego Aresztu Śledczego w Bydgoszczy. Nie wiadomo czy odbył się jego proces. Do dyspozycji Prokuratury Warszawskiej pozostaje w areszcie m.in. Edward Staniewski.

Śledztwo przeciw kilku osobom zostało umorzone z braku dowodów winy lub z braku cech przestępstwa. Postępowanie przeciwko innym osobom umorzono warunkowo.

Istnieją osoby wobec których ani nie umorzono postępowania, ani nie wniesiono aktów oskarżenia. Wśród nich znajduje się Zygmunt Żyłko-Żebracki, ksiądz Sebastian Koszut i jego brat Alojzy, oraz Łukasz Czuma, asystent KUL, brat Andrzeja i Benedykta, skazanych w procesie warszawskim. Osoby te przebywają na wolności, część z nich po pobyciu w areszcie śledczym.

Wszyscy oskarżeni, prócz tych którzy byli sądzeni w ostatnim procesie warszawskim, skazani zostali między innymi z art. 278 par. 1 kk. Artykuł ten stanowi, że karalne jest „branie udziału w związku, którego istnienie, ustrój lub cel ma pozostać tajemnicą wobec organów państwowych”. Jest to odpowiednik dawnego art. 36 mkk, z którego po marcu 1968 skazano 13 osób za przynależność do tzw. „związku komandosów”. Art. 36 mkk był stosowany również na długo przed marcem 1968 w sprawie uczestników Związku Młodzieży Demokratycznej (proces Górnego, Koseckiego, Barańskiego i in.). Oskarżonych w procesach łódzkich skazano za przynależność do Związku „Ruch” od 1968 do czerwca 1970 roku. Stwierdzono, że podejmowali szereg działań, porozumiewając się między sobą. Wiadomo jednak, że nie można działać wspólnie bez tego, żeby między osobami działającymi nie zachodziły jakieś związki. Ale wspólne działanie, to jeszcze nie związek w rozumieniu art. 278 par. 1 kk, wspólne działanie to jeszcze nie tajna organizacja.

W ostatnim procesie warszawskim zdecydowano się na kwalifikację prawną chyba najdziwniejszą z dotychczasowych. Wobec oskarżonych, o których prasa pisała, że stanowili „kierowniczą grupę nielegalnego związku „Ruch” — nie zastosowano art. 278 kk tj. artykułu mówiącego o przynależności do tajnego związku. Wszystkich sześciu oskarżonych skazano natomiast z art. 128 kk w powiązaniu z art. 123 kk. Art. 123 brzmi:

„Kto mając na celu pozbawienie niepodległości lub oderwanie części terytorium, obalenie przemocą ustroju lub osłabienie mocy obronnej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, podejmuje porozumienie z innymi osobami działalność zmierzającą do urzeczywistnienia tego celu, podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 5 albo karze śmierci”.

Art. 128 par. 1 kk stwierdza:

„Kto czyni przygotowania do zbrodni określonej w art 123 kk, podlega karze pozbawienia wolności od roku do lat 10”.

Andrzeja Czumę i pięciu innych oskarżonych skazano więc za to, że wedle opinii Sądu czynili przygotowania do podejmowania w porozumieniu z innymi osobami działalności zmierzającej do urzeczywistnienia celu jakim miałyby być obalenie ustroju przemocą.

Tajemnicze przestępstwo przeciwko istotnym interesom PRL, o którym mówi ogłoszony po rozprawie komunikat PAP, to właśnie owo przygotowanie do podejmowania w porozumieniu z innymi osobami działalności zmierzającej do obalenia ustroju. Zarzucono im więc przygotowywanie zamachu stanu. Nic dziwnego,

że niezręcznie było o tym napisać. Samego podjęcia działalności oskarżonym nie zarzucano. Zarzucano im właśnie przygotowanie. Definicję przygotowania podaje kodeks karny w art. 14 par. 1:

„Przygotowanie zachodzi wtedy, gdy sprawca w celu popełnienia przestępstwa nabywa lub przysposabia środki, zbiera informacje lub sporządza plan działania, lub też podejmuje inne podobne czynności, mające stworzyć warunki do przedsięwzięcia czynu zmierzającego bezpośrednio ku dokonaniu, albo wchodzi w porozumienie z inną osobą celem popełnienia przestępstwa”.

Szereg czynów przypisanych oskarżonym ujęto w odrębne przepisy kodeksu karnego. Materiałem dowodowym, który Prokuratura odnosi do wskazanej kombinacji art. 123 i 128 par. 1 kk, jest sześć numerów „Biuletynu”, powielanego przez Andrzeja Czumę. Zamieszczono tam krytyczne artykuły, dotyczące stosunków panujących w Polsce, a także teksty historyczne i propozycje programowe. Opublikowanie, jednego z takich tekstów, zaczynającego się od słów: „Mijają lata...” uznano właśnie za przygotowanie do działalności zmierzającej do obalenia przemocą w porozumieniu z innymi osobami panującego w Polsce ustroju.

Wydawanie „Biuletynu” należy do tych poczynań oskarżonych, które starano się przed opinią publiczną ukryć. Komunikaty prasowe podkreślały natomiast, że na oskarżonych „ciążyły zarzuty natury kryminalnej”. Zarzutów tych nie precyzowano. Wiadomo, że oskarżeni weszli w posiadanie dwóch powielaczy i kilku maszyn do pisania, będących własnością instytucji państwowych. W związku z tym w kolejnych procesach stosowano art. 208 kk (kradzież ruchomości lub z włamaniem) oraz art. 199 par. 1 kk (zagarnięcie mienia społecznego). Kilku osobom zarzucano usiłowanie (art. 11 par. 1 kk) lub pomoc (art. 18 par. 12 kk) w opisanych wyżej czynach. Na kolejnych procesach w Łodzi i w Warszawie te same osoby, raz w charakterze oskarżonych, raz jako świadkowie, mówiły o tych samych maszynach do pisania i powielaczach. W sumie maszyn do pisania było niewiele więcej niż procesów. Łączna ich wartość wynosiła ok. 25 tys. złotych. Służące oskarżonym do przepisywania „Biuletynu” maszyny odzyskano i zwrócono poszkodowanym instytucjom.

Kilku oskarżonych, chcąc prowadzić działalność propagandowo-polityczną planowało zdobycie środków finansowych z instytucji państwowych. Zamiarów tych ostatecznie nie urzeczywistniono. Usiłowanie działania w tym kierunku zakwalifikowano również z art. 11 par. 1 w związku z art. 208 kk.

Wobec niektórych oskarżonych w lipcowym procesie łódzkim i w procesach warszawskich zastosowano art. 142 w związku z art. 138 par. 1 kk (przygotowanie do sprowadzenia niebezpieczeństwa powszechnego). Wiąże się to z następującą sprawą. W środowisku osób objętych później oskarżeniem w procesie „Ruchu” powstał w roku 1970 pomysł, by w możliwie zdecydowany sposób i wobec szerokich kręgów społeczeństwa wyrazić istniejące w Polsce niezadowolenie. Wybrano formę dość skraj-

ną. Rok 1970 obchodzony był jako rok leninowski i wydawało się, że akcja skierowana przeciw kultowi Lenina, traktowanemu jako pewnego rodzaju symbol istniejących stosunków, będzie dostatecznie widoczna. Planowano najpierw zniszczenie pomnika, potem muzeum Lenina w Poroninie. Podjęto pewne przygotowania, lecz planów tych nie zrealizowano. Muzeum Lenina, jak wiadomo, nic się nie stało.

Część spośród ludzi skazanych w ostatnim procesie warszawskim oskarżano o to, że byli autorami czy współautorami tekstów zamieszczonych w „Biuletynie”. Teksty te czytane były przez osoby skazane w procesach poprzednich; lektura „Biuletynu” stanowiła dla Prokuratury i sądów jedno z kryteriów przynależności do „Ruchu”. Właśnie lektura, bowiem znalezienie łączącej wszystkich oskarżonych płaszczyzny ideologicznej nie jest łatwe. Tym co wedle aktów oskarżenia ich łączyło, było nastawienie krytyczne, ale motywy tego nastawienia były różne. Jak twierdzi jeden z wyroków byli to ludzie niezadowoleni z istniejącej w Polsce rzeczywistości.

„Biuletyn” który czytali zawierał materiały dyskusyjne, nie gotowy program. Dla publikowanych tam tekstów charakterystyczny jest swoisty radykalizm. Dotychczas dominujące w poglądach opozycyjnych akcenty społeczne i domaganie się respektowania elementarnych praw człowieka uzyskały tu uzupełnienie w postaci zdecydowanego podkreślenia postulatów suwerenności. W roku 1968 prasa pomstowała na tzw. „naprawiaczy socjalizmu”. W 1969 potępiono „socjalizm z ludzką twarzą”. W 1970 — autorom zamieszczanym w „Biuletynie” tekstów „naprawiania socjalizmu” nikt nie zarzucał, a oni sami o „ludzkiej twarzy socjalizmu” też raczej nie mówili. Nie mieli zresztą programu antysocjalistycznego. Domagali się reaktywowania Polskiej Partii Socjalistycznej i rzeczywiście reprezentującego interesy wsi Stronnictwa Ludowego. Ustroju istniejącego w Polsce nie nazywali jednak socjalistycznym i podkreślali jego zewnętrzne uwarunkowanie (w tym byli zresztą zgodni z lansowanym przez PZPR hasłem „socjalizm polską racją stanu”). Skrajność niektórych sformułowań „Biuletynu” wydaje się następstwem stłumienia reformistycznych postulatów, wysuwanych przez ruch studencki w marcu 1968 roku. Nasilenie represji ze strony władz spowodowało nie osłabienie, lecz wzrost krytycyzmu — wyrażający się także w działaniach pozaideologicznych.

W 1968 roku zbieranie podpisów pod petycją do Sejmu zostało uznane przez władze za działalność niezgodną z prawem. Członkowie legalnych komitetów studenckich trafili do więzienia. Zdecydowanej większości osób zaliczonych do „Ruchu” zarzuca się działalność rozpoczętą po roku 1968. Wiedza o tym, w jaki sposób zostały potraktowane działania legalistycznie nastawionego ruchu studenckiego mogła wpłynąć na dobór środków do których uciekali się oskarżeni w ostatnich procesach. Środki te zresztą nie odbiegały od metod, którymi zwykli posługiwać się studenci na Zachodzie; z tą tylko różnicą, że w przypadku „Ruchu” koń-

czyło się najczęściej na planach, przygotowaniach i usiłowaniach. Sprawa maszyn do pisania i powielanie „Biuletynu” — to w rezultacie jedyne zamiary grupy „Ruch”.

Ze względu na wysokość kar i bezprecedensową kwalifikację prawną ostatni proces warszawski jest niesłychanym ewenementem. Trudniej jest znaleźć klucz do tego procesu. Sądząc z rozpuszczanych jeszcze w 1970 roku plotek z początkowego kierunku aresztowań (aresztowanie księdza Huberta Czumy i kilku osób związanych z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim) — sprawie „Ruchu” zamierzano nadać wydźwięk antykatolicki. Jeśli to prawda, to po grudniu 1970 pomysł taki stał się niewygodny — proklamowano bowiem normalizację stosunków między Kościołem a państwem. Dobór oskarżonych w ostatnim procesie, wcześniej rozchodzące się pogłoski, a także niektóre pytania zadawane w czasie śledztwa — wskazywały na to, że doszukiwano się powiązań „Ruchu” ze środowiskami byłych żołnierzy Armii Krajowej. Jednak również i do tego wątku ostatecznie się nie odwołano. Organizatorzy procesów politycznych, co zdaje się wynikać z dotychczasowej praktyki, przykładają ogromną wagę do tzw. „powiązań” oskarżonych; w dobrym procesie politycznym działalność oskarżonych powinna być z czymś powiązana. W procesach „Ruchu” z wyszukiwania powiązań ostatecznie zrezygnowano. Oskarżeni, i to nie wszyscy, okazali się powiązani tylko między sobą.

Mimo wszystko jednak ciekawy jest fakt następujący. Już po procesie w przeznaczonym dla środowiska studenckiego tygodniku „ITD” ukazał się artykuł podpisany przez Wojciecha Sulewskiego. Autorowi udało się tam zamieścić dwie rzeczy: opinię, że *Tygodnik Powszechny* przedstawiał sprawę akowską bardziej konformistycznie niż *Walka Młodych*, oraz atak personalny na skazanego niegdyś za działalność w AK na karę śmierci, obecnie zaś na 4 i pół roku więzienia, Mariana Gołębiowskiego. Artykuł „Kolumbów krąg drugi”, podkreśla po raz któryś z kolei właściwe różnicowanie w sprawie akowskiej i, jak się już stało tradycją, usiłuje zarazem AK zrehabilitować i potępić. Umieszczenie w tym artykule właśnie nazwiska Gołębiowskiego, zresztą bez żadnej wzmianki o sprawie „Ruchu” świadczy o tym, że inspiratorzy tego artykułu chcieliby jednak jakieś „powiązania” zasugerować.

Przedstawione powyżej hipotezy, to jednak tylko próby wyjaśnienia faktu dlaczego aresztowania w sprawie „Ruchu” były takie rozległe... Nie tłumaczą one natomiast wysokości wyroków. Istnieją dwie możliwości: albo wyroki zostały ustalone na najwyższym szczeblu, albo nie. Jeśli zachodzi pierwsza możliwość — to proklamowany przez władze proces odnowy nie jest niczym innym jak fikcją i jeśli ktoś żywił w tej sprawie jakieś aluzje, winien się ich pozbyć. Wyroki w sprawie „Ruchu” miałyby w tym wypadku charakter niedwuznacznej groźby pod adresem opozycji. *Point des rêveries, messieurs*. W przypadku drugim chodziłoby również o zastraszenie, lecz także o stworzenie faktu

dokonanego. Wyrok byłby adresowany zarazem do społeczeństwa i do władz najwyższych. Te ostatnie w imię zachowania partyjnej solidarności chciano by skłonić do kontynuowania wskazanej wyrokiem drogi. Jeżeli zachodzi możliwość druga — niewykluczona jest zmiana orzeczenia przez Sąd Najwyższy. Rozpatrywanie przedstawionych wyżej możliwości wiąże się z doświadczeniami dotychczasowych procesów politycznych. Były to procesy bezprawne, ale ich intencje propagandowe dawały się odczytać. Wyroki w ostatnim procesie są okrutne i może w ogóle próba ich zrozumienia jest bezcelowa.

W sprawie „Ruchu” prawie wszystko się powtórzyło. Powtórzono dotychczasowe chywy śledcze. Niektóre kwalifikacje prawne w innych procesach bywały równie dziwaczne. Powtórzył się styl uzasadnienia wyroków. Jednak wyroki w ostatnim procesie są od kilkunastu lat bez precedensu. Ktoś dostał 7 lat więzienia, ktoś inny — tyle samo. Ktoś dostał 6 lat więzienia. Najniższy wyrok wyniósł 4 lata. Może sędzia Bodecki działał na własną rękę. Byłaby to sytuacja dziwna, lecz nie tak drastyczna. Jeśli było inaczej — sprawa jest tym bardziej groźna. Światowa opinia moralna winna upomnieć się o skazanych. Prasa polska pisze „Uwolnić Angelę Davis”. Dobrze. Ale uwolnić także Andrzeja Czumę, Stefana Myszkiwicza-Niesiołowskiego i współoskarżonych.

Jeszcze o procesie „taterników”

(ROZPRAWA REWIZYJNA)

W dniu 27 kwietnia 1970 rozpoczęła się przed Sądem Najwyższym w Warszawie rozprawa rewizyjna w sprawie Macieja Kozłowskiego i innych. Przewodniczył Sędzia Sądu Najwyższego Neuman, w skład kompletu sędziowskiego wchodził poza tym SSN Kryże i SSN Dąbrowski.

Zaskarżony został wyrok Sądu Wojewódzkiego dla m.st. Warszawy z dnia 24 lutego 1970 roku, sygn. akt IV K 114/69. obrońcy oskarżonych Jakuba Karpińskiego i Małgorzaty Szpakowskiej wnieśli rewizje co do winy. obrońcy pozostałych oskarżonych — Macieja Kozłowskiego, Marii Tworkowskiej i Krzysztofa Szymborskiego — co do kary.

Na wstępie sędzia referent przedstawił, co jest przedmiotem rozprawy. Z kolei obrońca osk. J. Karpińskiego, mec. Szczuka, wniósł o odroczenie posiedzenia. Według mec. Szczuki pisemne orzeczenie rzecznika Prokuratury Generalnej, prok. Młynarczyka, szło dalej, niż akt oskarżenia, co powodowało konieczność porozumienia się z oskarżonym, który tymczasem został przewieziony do Zakładu Karnego w Strzelcach Opolskich.

Oskarżyciel Młynarczyk wnosił o uchylenie wniosku, oświadczając, że osk. Karpiński odmówił zeznań zarówno w postępowaniu przygotowawczym jak przed Sądem Wojewódzkim.

Obrońca osk. M. Tworkowskiej, mec. Branicki, wniósł o sprostowanie mylnie podanego wykształcenia jego klientki; podano: wyższe; powinno być podane: średnie.

Rzecznik oskarżenia, powołując się na odpowiedni art. kpk, zwrócił się do Sądu Najwyższego o umożliwienie przedstawicielom prasy korzystania w trakcie rozprawy z magnetofonu.

Obrońca oskarżonego M. Kozłowskiego, mec. Łojewski, stwierdził, że cytowany artykuł dotyczy tylko rozprawy głównej i domagał się, by prokurator umotywował konieczność użycia magnetofonu na rozprawie rewizyjnej.

Mec. Szczuka, zapytany przez Sąd o pogląd w sprawie użycia magnetofonu, przychylił się do wniosku oskarżenia.

Sąd udał się na naradę, po której oddalił wniosek o odroczenie rozprawy, natomiast uwzględnił wniosek w sprawie magnetofonu.

Jako pierwszy z obrońców wystąpił w imieniu M. Kozłowskiego mec. Łojewski. Stwierdził on, że dwojakie są podstawy wymiaru kary. Pierwszą — jest zagrożenie przewidziane przez odnośny artykuł kodeksu karnego. Drugą — w ramach tego zagrożenia — są trzy dyspozycje art. 50 § 1 kk. Ten ostatni artykuł podaje ogólne dyrektywy, którymi są winieni się kierować wydając wyrok. W grę wchodzi mianowicie: po pierwsze, odwet czyli odpłata, po drugie, prewencja generalna, po trzecie, prewencja indywidualna. Powołując się na artykuł prof. Buchały, opublikowany w *Państwie i Prawie*, obrońca stwierdził, iż prewencja indywidualna ma zastosowanie wobec więźniów małoletnich lub recydywistów, czyli wtedy, gdy zachodzi konieczność kształtowania charakteru, bądź przymus odosobnienia. Prewencja zaś generalna znajduje zastosowanie wówczas, gdy zachodzi niebezpieczeństwo równie skutecznego powtórzenia czynu. To niebezpieczeństwo zaś, zdaniem obrońcy, w tym przypadku nie zachodzi. Pozostaje zatem odpłata, która (występując samoistnie) nie powinna, wedle prof. Buchały, przekraczać połowy ustawowego zagrożenia. Następnie mec. Łojewski zwrócił uwagę na fakt, że Sąd Wojewódzki dla m.st. Warszawy rozpatrzył na niejawnym posiedzeniu sprawę przeciwko Janowi Kelusowi, Maciejowi Włodkowi i Urszuli Sikorskiej. Sprawa ta w oparciu o ustawę amnestyjną została umorzona. Wprawdzie trudno tu mówić o wewnętrznej niesprawiedliwości wyroku, bowiem sprawa Kelusa, Włodka i Sikorskiej była rozpatrywana osobno, niemniej jednak osoby te były przez pewien czas dołączone do sprawy obecnie rozpatrywanej, a ich zaangażowanie w podobną działalność było znaczne. Wobec tych wszystkich faktów mec. Łojewski wniósł dla swego klienta o wyrok 3 lat pozbawienia wolności z zastosowaniem ustawy amnestyjnej.

Następnie zabrał głos obrońca osk. K. Szymborskiego, mec. Pocięj. Stwierdził, że zgadza się zasadniczo z przedmówcą, choć powołał się tu na polemikę prof. Woltera z prof. Buchałą) uważa, że wszystkie trzy podane w art. 50 § 1 kk. kryteria wymiaru kary są równie ważne i równoprawnione. Mec. Pocięj zajął się w szczególności prewencją indywidualną i stwierdził, że w odniesieniu do jego klienta nie zachodzi ani potrzeba owej prewencji, ani potrzeba resocjalizacji, bowiem osk. Szymborski zarówno w postępowaniu przygotowawczym jak i w toku rozprawy wykazał skruchę. Szymborski, jak powiedział mec. Pocięj, „zachował się politycznie w sprawie politycznej”. Mec. Pocięj wniósł dla swego klienta o karę 2 i pół roku pozbawienia wolności z uwzględnieniem ustawy amnestyjnej.

Trzeci z kolei zabrał głos obrońca osk. M. Tworkowskiej, mec. Branicki. Zaznaczył on, że nie bez racji wnosił o sprostowanie podanego w wyroku Sądu Wojewódzkiego wykształcenia jego klientki. Tworkowska charakteryzuje dwa czynniki: po pierwsze, była blisko 13 lat poza krajem; po drugie, odbiegała poziomem wykształcenia od pozostałych oskarżonych. Te dwa czynniki złożyły się na jej nieświadomość. Obrońca podkreślił niewiedzę swej klientki co do charakteru działalności Instytutu Literackiego oraz fakt, że nie znała publikowanych tam książek. Stwierdził, że istnieje rażąca niesprawiedliwość wewnętrzna wyroku Sądu Wojewódzkiego i wniósł o wymierzenie

jego klientce kary 3 lat pozbawienia wolności z uwzględnieniem ustawy amnestyjnej.

Czwarty mówca, obrońca osk. J. Karpińskiego, mec. Szczuka, przypomniał, że we wniosku rewizyjnym wysunął pod adresem wyroku Sądu Wojewódzkiego szereg zarzutów merytorycznych, obecnie jednak, wobec złożenia przez Prokuraturę Generalną pisemnego oświadczenia, będzie zmuszony do niektórych zarzutów wrócić. Zasadniczą sprawą jest przypisywany jego klientowi kontakt z przedstawicielami rzekomej obcej organizacji. W zarzucie i w wyroku Sądu Wojewódzkiego była mowa o wejściu w porozumienie z Szymborskim i innymi osobami. Tymczasem Szymborski nawet przez Sąd nie został uznany za przedstawiciela jakiejś obcej, czy nawet nie obcej, organizacji, zaś owymi „innymi osobami” mogły być jedynie świadek Kelus, który też za przedstawiciela żadnej organizacji uznany nie został. Drugą sprawą, o której mówi wyrok, są teksty, a ściślej jeden, zatytułowany „Nie o egalitaryzm chodziło”. Tekst ten jest jedynym dowodem przeciw osk. Karpińskiemu. Jest to polemika z artykułem Z. Baumana, opublikowanym w *Kulturze*. Na jednej szali znajduje się ów tekst, na drugiej — cztery lata więzienia. Obrońca stwierdził, że istnieją trzy prawdy o niniejszym procesie: prawda prasowa, prawda materiałów dowodowych i prawda plotki; decydującą i jedyną powinna być prawda materiałów dowodowych. Mec. Szczuka zgodził się z wyrażonym przed Sądem Wojewódzkim poglądem jego klienta, że nie można być skazanym na podstawie zarzutów nieudowodnionych. Nie trzeba nawet się przed takimi zarzutami bronić. Następnie mec. Szczuka polemizował z zarzutem, że jego klient zawiódł zaufanie klasy robotniczej. Obowiązkiem pracownika naukowego jest rzetelność własnych przekonań i niedostosowywanie ich do każdorazowej sytuacji politycznej. Mówienie o zawiedzionym zaufaniu jest takim samym paradoksem, jakim byłoby zarzucanie Leninowi, że miał pretensje do caratu, mimo że studiował na państwowym uniwersytecie w Kazaniu. Mec. Szczuka powiedział następnie, że ostrzegano go przed podjęciem tej obrony. Uznał ją jednak za swój obowiązek. Konkludując stwierdził, że jedyną szkodą społeczną, o której tu można mówić, jest każdy dzień, w którym jego klient jest pozbawiony wolności. Mec. Szczuka wnosił o uniewinnienie.

Jako ostatni wystąpił obrońca osk. M. Szpakowskiej, mec. Ferfet. Wskazał on, że ani jego klientka, ani nikt inny nie stwierdził, że teksty, które jakoby osk. Szpakowska napisała — są identyczne z opublikowanymi przez Instytut Literacki. Można jedynie stwierdzić identyczność tytułów. Ale nawet teksty opublikowane przez Instytut Literacki nie wypełniają swoją treścią dyspozycji art. 270 § 1 kk. Artykuł ten mówi o publicznym lżeniu, wyszydzaniu lub poniżaniu ustroju i naczelnych organów PRL; nie można jednak do rangi ustroju i naczelnych organów PRL podnosić każdego zjawiska w Polsce. Związki zawodowe, statut partii, propaganda prasowa lub stosunki więzienne — to nie są dobra chronione przez art. 270 § 1 kk. Z uzasadnienia wyroku wynika na dodatek, że wedle Sądu Wojewódzkiego teksty przypisywane osk. Szpakowskiej zawierały jej poglądy. Artykuł 270 § 1 kk nie dotyczy jednak poglądów. Wreszcie zarzut głosi, że czyny osk. Szpakowskiej posiadały znamię publiczności działania (tego właśnie wymaga art. 270 § 1 kk); jednocześnie uzasadnienie wyroku Sądu Wojewódzkiego głosi, że przypisywane osk. Szpakowskiej teksty zawierają wiadomości „ukryte w quasi-filozoficznych rozważaniach”. Jednakże nic nie może być jednocześnie i ukryte, i publiczne. Osk. Szpakowska nie popełniła czynu, o którym mowa w art. 23 mkk, ani też czynu, o którym mowa w art. 270 § 1 kk. Mec. Ferfet wniósł o uniewinnienie.

Sąd Najwyższy zarządził przerwę. Ogłoszony następnego dnia wyrok utrzymał w mocy orzeczenie Sądu Wojewódzkiego dla m.st. Warszawy. Rewizje obrońców oddalono jako bezzasadne.

Najnowsza historia Polski

Pan Premier w roli historyka

W roku 1946 ukazała się w Warszawie nakładem Wydawnictwa GZPW *WOJSKA POLSKIEGO* książka Mjra Henryka Baczko pt. „8 dni na lewym brzegu (Warszawa 15-22 września 1944 roku) z przedmową gen. Piotra Jaroszewicza. Ponieważ broszura ta jest mało znana więc wydaje się nam celowe przedrukowanie tej przedmowy w całości. Przypuszczamy, że z zainteresowaniem i pożytkiem przeczytają ją b. Akowcy, współpracujący ze ZBOWiD'em.

SŁOWO WSTĘPNE

W lasach rosyjskich nad Oką, wśród pól Ukrainy czy bagien Białorusi i Wołynia, brzmiała tęskna piosenka żołnierza I Armii o Warszawie.

Pamiętam do dziś jej słowa:

...„Bo cóż ma robić chłopak warszawski — który Warszawy nie widział tyle lat — Wisła — Plac Saski — Zamek i Nowy Świat. Lecz jak wyrazić skąd wziąć słowa odpowiednie — jak mam wyśpiewać co w sercu bólem brzmi, Warszawo co dzień o Tobie myślę we dnie — każdej nocy Warszawa mi się śni.

Gdziekolwiek biliśmy się z Niemcami — nad Bugiem, pod Puławami, czy nad Pilicą — serce i myśli żołnierskie ulatywały ku Warszawie.

I oto w sierpniu 1944 r. Warszawa stanęła we krwi i w łunach pożarów. I Armia w tym czasie walczyła nad Pilicą. Broniliśmy się wraz z Armią Czerwoną na lewym brzegu przeciwko wściekłym atakom Niemców, którzy za wszelką cenę dążyli do likwidacji przyczółka, widząc w nim załążek uderzenia oskrzydlającego Warszawę.

Tragedię stolicy, rzuconej na łup rozbastwionego żołdactwa, przez ówczesny „rząd” londyński (premier p. Mikołajczyk), przez

Jaśnie Borów, Monterów i hrabiny Tarnowskie, ciężko przeżywał każdy żołnierz. Silnie zaciskały dłonie żołnierskie karabin, gęście biły cekaemy, celniej strzelały moździerze i armaty. I Armia szła z pomocą Warszawie.

Padły rozkazy. Kościuszkowcy w brawurowym natarciu zdobyli Pragę. Za nimi pociągnęły na warszawski odcinek frontu pozostałe dywizje i brygady I Armii.

Była połowa września 1944 r. W tym czasie sytuacja na froncie naszego odcinka układała się mniejwięcej tak:

Cofając się z Wołynia ku Wiśle, główne siły armij niemieckich zdołały oderwać się od pościgu, zachować podstawowe jednostki i okopać się na lewym brzegu Wisły, budując potężną linię oporu.

Jednocześnie już w lipcu przesunęły się ku Wiśle z zachodu odwody niemieckie, złożone z piechoty i wielkich ilości czołgów.

Rejon Warszawy był szczególnie nasycony wojskiem i różnymi środkami ognia ze względu na kluczowe stanowisko i walki z powstaniem.

Jednocześnie w widłach Wisły i Bugu, tuż za kanałem Żerańskim w kierunku na Zegrze, biegła linia oporu najeżona bunkrami i artylerią. Pod jej osłoną, w tzw. klinie modlińskim, stały doborowe jednostki piechoty i czołgów niemieckich z zadaniem atakowania naszego skrzydła, w wypadku uwikłania się naszych sił w operację frontalną. Stosunek sił na odcinku warszawskim wypadł wyraźnie na korzyść Niemców liczbowo i sytuacyjnie, poza tym broniła ich Wisła i mury Warszawy.

Siły nasze i siły sojusznika radzieckiego były na tym odcinku słabe.

I Armia zmęczona ciężką walką pod Puławami i Warką, miała poważne straty w ludziach i sprzęcie. Rezerwy sprzętu podchodziły, rekrut był w trakcie szkolenia. 4 Dywizja Piechoty znajdowała się w Lublinie. Świeżo sformowana Dywizja Kawalerii nie zakończyła jeszcze okresu szkolenia i nie przedstawiała pełnej wartości bojowej. Mieliśmy więc faktycznie 3 dywizje piechoty, z których pierwsza, po zdobyciu Pragi, musiała zaleczyć rany.

Podobna była sytuacja sojusznika na północy. Ciężkie walki z nacierającymi czołgami i piechotą przeciwnika na północ i południe od Zegrza znękały i wyczerpały żołnierza. Napływały dopiero rezerwy. Podciągano tyły, wrzała gorączkowa praca nad odbudową torów kolejowych i mostów.

Ale w Warszawie toczył się bój, płonęło miasto. Trzeba było iść z pomocą przedwcześnie zbrodniczo nakazanemu powstaniu.

W tym stanie rzeczy D-ctwo I Armii zdecydowało się zrobić wszystko co możliwe, ażeby ratować stolicę i jej mieszkańców. Ponieważ na skutek nienawiązania przez Bora łączności z I Armią i Armią Czerwoną z Warszawy nie mieliśmy dokładnych wieści ani o siłach niemieckich, ani o punktach oporu powstańców; trzeba było najpierw przeprowadzić zdecydowaną akcję zwiadowczą, połączoną z forsowaniem rzeki i walką na przyczółkach, dla nawiązania kontaktu z powstaniem. Z kolei po rozpoznaniu miano wprowadzić do akcji całą Armię, dla utworzenia już po-

tężnego przyczółka, obejmującego podstawowe dzielnice Warszawy, by uratować miasto i jego ludność przed zagładą. Dla zapewnienia powodzenia akcji zgromadzono dużą ilość artylerii własnej i radzieckiej, oraz pułk amfibij (samochodów pływających) dla usprawnienia przeprawy. Główna grupa zwiadowcza w sile 2 pułków piechoty z 3 Dyw. Piechoty (8 i 9 pp rozpoczęła forsowanie Wisły na południe od mostu Poniatowskiego (Czeraniaków). Jednocześnie 2 Dywizja Piechoty sforsowała Wisłę na północ od Starego Miasta dla nawiązania kontaktu z północną grupą powstańców (Żolibórz). Akcja 3-ej i 2-ej D.P. była maskowana dla odwrócenia uwagi npla przez potężny ogień artylerii na szerokim odcinku frontu.

Obie grupy pomyślnie sforsowały rzekę pod niezwykle silnym ogniem przeciwnika i zdobyły przyczółki, które utrzymywały mimo zacieklých kontrataków Niemców przez 10 dni.

Operacja skończyła się jednak niepowodzeniem i kosztowała wiele ofiar w ludziach i sprzęcie.

Czy mogła być udana?

Oczywiście tak, pod warunkiem współdziałania z Powstaniem. Niestety gen. hr. Bór-Komorowski nic nie zrobił, aby posunąć się ku Wiśle, za którą było zbawienie i zwycięstwo.

Hr. Bór uciekał od Wisły na zachód i prowadził w tym czasie przy pomocy hr. Tarnowskiej daleko zaawansowane rozmowy o poddaniu Warszawy, z jej katem, gen. von Bach. Odpadł w ten sposób podstawowy warunek powodzenia operacji. Ostatnia szansa ratunku dla powstania została sprzedana przez spółkę Bór-Monter-Tarnowska wraz z krwią *Warszawiaków i naszych żołnierzy Niemcom na żołąd i honory w niewoli*.

Na wyzwolenie czekała Warszawa 4 miesiące, w ciągu których została doszczętnie spalona.

Książka mjra Baczko nie jest utworem literackim, lecz wspomnieniem czynnego uczestnika walk 9 pp 3 D.P. na przyczółku czerniakowskim. Mjr Baczko był na przyczółku od pierwszej niemal chwili do ostatniego momentu (ranny — został ewakuowany w przeddzień wycofania się). Dlatego jego wspomnienia są ważnym dokumentem, obrazującym niedostatecznie dotąd znaną kartę walk żołnierza W.P., który nie żałował krwi i życia, by z bezprzykładnym bohaterstwem nieść pomoc powstańcom Warszawy.

Równocześnie z tych wspomnień bije prawda o fałszywym stanowisku wyższego dowództwa A.K., które nie uczyniło nic, by ułatwić żołnierzom ich zadanie, które w ciągu 10 dni utrzymywania się przyczółka nie nawiązało z nim łączności. Dla swych interesów politycznych dowództwo A.K. wolało klęskę, niż pomoc z prawego brzegu.

◆
Dobrze, że broszura mjra Baczko ukazuje się właśnie teraz, w przeddzień drugiej rocznicy powstania.

Naród polski, który, potępiając machinacje polityczne przywódców A.K., skłania się w czci i hołdzie przed bohaterstwem walczącej Warszawy, nie zapomni także o żołnierzu I Armii, którego krew zmieszana z krwią powstańców zrosiła obficie ulice Warszawy i spłynęła nurtami Wisły.

Warszawa, dnia 4 lipca 1946 r.

JAROSZEWICZ PIOTR
Generał Brygady
Zastępca Dowódcy I Armii
z czasów walk o Warszawę

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

POŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU”

Książki

Be-Be

„Wyliczenie środków zaradczych na „aktualne bolączki ludzkości” jest równocześnie sformułowaniem programu rewolucji, jakiej ludzkość potrzebuje:

— eliminacji wojen i imperializmów poprzez eliminację państw i pojęcia suwerenności narodowej;

— eliminacji dyktatur wewnętrznych, niezbędnej do osiągnięcia wspomnianego wyżej celu;

— wprowadzenia równości ekonomicznej i edukacyjnej w skali planetarnej;

— regulacji liczby narodzin, również w skali planetarnej;

— całkowitej wolności w dziedzinie ideologii, kultury i moralności, potrzebnej z jednej strony dla zapewnienia indywidualnego szczęścia drogą niezależności i wielości wyborów, z drugiej zaś niezbędnej dla wyzwolenia wszystkich twórczych zdolności inteligencji ludzkiej.

Przeciw temu utopijnemu programowi przemawia wszystko z wyjątkiem faktu, że jest on niezbędny dla naszego przetrwania” — pisze Revel w „Ni Marx ni Jésus”¹.

Książka ta należy do kategorii książek ważnych, tzn. takich, z których wiele pozostaje, nawet gdy się wiele odrzuci. Wydaje się, że warto wprowadzić jej główne idee do myśloobiegu polskiego, choćby w postaci suchej prezentacji — pozostawiając czytelnikom decyzję selekcji i tzw. ustosunkowania się.

Revel rozumie pod pojęciem „rewolucji” przejście do innej — i to: lepszej — cywilizacji. Rewolucja jest wyciągnięciem konsekwencji z poprzedzającej ją krytyki i zastanego układu. Krytyka ta — Revel nazywa ją „warunkami rewolucji” — dotyczy pięciu zagadnień:

- niesprawiedliwości panującego systemu;
- jego niesprawności, zwłaszcza ekonomicznej;
- władzy politycznej: jej źródła, techniki i lokalizacji;

1. Jean-François Revel, *Ni Marx ni Jésus (De la seconde révolution américaine à la seconde révolution mondiale)*; Editions Robert Laffont, Paris, 1970.

— kultury: zbadania roli i wartości zastanej moralności, religii, etc.

— rozpatrzenia istniejącej cywilizacji jako cenzury: o ile ogranicza ona jednostkę ponad społeczną potrzebę; czy stymuluje braterstwo, czy też odwrotnie: agresję; indywidualizm czy konformizm, itp.

Zdaniem Revela pierwsza rewolucja światowa dokonała się w końcu XVIII wieku, szczególnie na terenie Francji, Anglii i Stanów Zjednoczonych. Jej wynikiem jest cywilizacja (lub przynajmniej jej ideał), oparta na koncepcji władzy jako umowy społecznej, a nie „z bożej łaski”. Druga rewolucja światowa — Revel wierzy, że do niej dojdzie i to jeszcze przed upływem naszego stulecia — zostanie wywołana przez Stany Zjednoczone. Kraj ten potrafił bowiem najpełniej rozwinąć zdobywcę rewolucji nr 1 i na jego terenie dokonuje się najgłębiej sięgająca, konsekwentna i twórcza krytyka zastanej cywilizacji — spełnione są zatem „warunki rewolucyjne”. Pozostałe formacje nie mają szans rozpoczęcia i skutecznego przeprowadzenia postulowanego przejścia do lepszej cywilizacji. Revel rozważa te szanse w trzech rozdziałach, zatytułowanych „nie będzie rewolucji w ...” — gdzie w miejsce kropczek figurują kolejno: kraje komunistyczne, Europa Zachodnia, Trzeci Świat.

Nie będzie rewolucji w *krajach komunistycznych*, ponieważ kraje te są policyjnymi dyktaturami, a doświadczenie wykazuje, że dostatecznie dobrze zorganizowany totalizm upada jedynie od uderzenia z zewnątrz. Warunkiem wstępnym skutecznej rewolucji pojętej jako rzeczywisty postęp jest: 1° jaka taka ekonomia, 2° jaka taka wolność. Bez dobrze — w skali danego czasu — funkcjonującej ekonomii nowa, porewolucyjna władza nie jest w stanie spełnić poczynionych obietnic i staje przed wyborem: ustąpić — lub przejść do dyktatury, która rządzoną odbierze ochotę przypominania obietnic. Doświadczenie wykazuje, że drugie wyjście stosowane jest znacznie częściej. Wolność — pewna ilość „formalnych swobód”, jak z przekąsem powiadają ekstremiści „wizjonerzy” — potrzebna jest na płaszczyźnie czysto technicznej dla zebrania i zorganizowania sił postępowych, a na płaszczyźnie intelektualnej — dla zapewnienia swobodnego przepływu informacji w społeczeństwie. Brzmi to naiwnie-utopijnie, lecz Revel wskazuje na takie fakty, jak rozwój syndykalizmu w Anglii w XIX wieku, czy ideowe przygotowanie Rewolucji Francuskiej w XVIII wieku, które zaistniały i wydały owoce jedynie dzięki temu, że ich inicjatorzy dysponowali wolnością słowa, druku i zgromadzeń. Na odwrót — przedłużająca się dyktatura powoduje, że liczebność grupy która *wie*, czym należałoby zastąpić teraźniejszość, stale maleje, a wiedza ta staje się coraz bardziej mglista i anachroniczna. Krótko mówiąc, dyktatura ureakcyjnia społeczeństwo (por. ponury obraz społeczeństwa sowieckiego przedstawiony u Amalrika), a potencjalni rewolucjonści stają się równie niekompetentni, jak grupa rządząca. (*Uwaga recenzenta*: ostatnia dyskusja wokół „Tez” Kołakowskiego

w *Kulturze* podkreśliła ogólnikowość — a ściślej: *brak* — sprezyowanego programu działania w kierunku poprawy sytuacji w Polsce).

Revel analizuje sytuację w komunizmie nie z zamiarem postawienia na tej formacji definitywnego krzyżyka, lecz stara się wykazać, że nadzieje lewicowców na tę część świata jako na „detonator” zmian ogólnoludzkich są płonne. Jeśli kraje te mają uczestniczyć w owych zmianach, pierwszym stopniem winna być rekonstrukcja zdobywcy „pierwszej rewolucji”, tzn. odzyskanie swobód demokratycznych, m.in. jako środka dla znormalizowania ekonomii i tego, co można nazwać „zbiorowym myśleniem”. Zamykanie ludziom ust — czy to wyrokami sądowymi, czy choćby umiejętnie wytworzoną atmosferą — „pan dyrektor sobie nie życzy” — jest nie tylko pogwałceniem demokracji, lecz także *niewysłuchaniem nowego pomysłu*, a więc marnotrawstwem myśli. Ogólna formuła Revela brzmi: „*Można dojść od wolności do socjalizmu, natomiast nie można — od socjalizmu do wolności*”.

„Socjalizm” w powyższym sformułowaniu jest oczywiście wzięty w tym znaczeniu, jakie posiada w etykietce „obóz socjalizmu”. Bardziej na serio wzięty — powiada Revel — socjalizm w postaci integralnej nigdy nie istniał i nie istnieje. Można tylko mówić na razie o „tendencji socjalistycznej” — to znaczy tendencji do zwiększania praw pracy, a ograniczania samowoli kapitału; w tym sensie — socjalizmu ekonomicznego — Szwecja jest znacznie bardziej socjalistyczna niż Związek Sowiecki.

Rewolucji nie będzie też w *Zachodniej Europie*. Europa wprawdzie „nadaża” za Stanami Zjednoczonymi — ale właśnie też tylko tyle. W Europie zanikła wiara w zdolność wytwarzania prototypów nowej cywilizacji, a rozpowszechniła się *l'esprit d'imitation*. Cywilizacja zachodnioeuropejska stała się cywilizacją uczniów: dociągnąć się, zastosować, przejąć — a także: odświeżyć z przeszłości, zinterpretować po raz n-ty, odkryć nieprzebrany skarby myśli XIX-wiecznej, itd. Krótko: paseizm i stagnacja. W Europie panuje wyraźne poczucie, że sprawy ważne dzieją się gdzie indziej — a ściślej: w Ameryce; równocześnie szerzy się neurotyczny anty-amerykanizm, będący transpozycją kompleksu niższości.

Symptomy chorobowe widać najlepiej na europejskiej skrajnej lewicy — grupie z ambicji i „urzędu” zainteresowanej przyszością świata: brak zainteresowania dla problematyki amerykańskiej na serio, talmudyczne roztrząsanie „klasyków” — czyli amatorów-ekonomistów sprzed 150 lat, — oraz entuzjazm dla mglistych sloganów w rodzaju „czerwonej książeczki” Mao. W istocie rzeczy jest to jeszcze jeden przejaw „cywilizacji uczniów” — gorączkowe rozglądanie się za Nauczycielem-Odkupicielem, który wszystko za jednym zamachem załatwi. Stąd też ideologia „wszystko albo nic” — co daje w rezultacie „nic” na płaszczyźnie konkretnej, a nietolerancję i antydemokratyzm (por. epitety typu „zmieszczanie masy”, etc.) — na płaszczyźnie ideo-

wej. W efekcie taka np. Francja „jest krajem o najmniejszej ilości zrealizowanego socjalizmu na największą liczbę nieprzejdanych socjalistów”.

Rewolucji nie będzie też w *Trzecim Świecie*. Kto wierzy w misję odrodzicielską tej formacji, ten wierzy, że kraje w rodzaju Pakistanu, Togo lub Hondurasu potrafią: (a) zlikwidować imperializm krajów bogatych, (b) rozwinąć te kraje ekonomicznie, (c) zorganizować je politycznie. Doświadczenie wykazuje jednak, że rewolucja w krajach niedorozwiniętych jest również niedorozwinięta. Większość rewolucji w Trzecim Świecie zaczyna się od stworzenia ultra-kontrrewolucyjnej mieszanki, zwanej „socjalizm + tradycje narodowe” — co w praktyce oznacza: obietnice ponad stan + wzmocnienie odwiecznych hamulców rozwoju (nacjonalizm, ksenofobia, tabu religijne, etc.), czyli: dyktaturę i stagnację.

Revel proponuje zamiast tradycyjnego — ściślej: narzuconego przez komunistów — podziału świata na „socjalizm” i „kapitalizm” dwa inne: na *społeczeństwa o horyzontach zamkniętych i otwartych*, oraz na *społeczeństwa niedoinformowane i poinformowane*.

W pierwszym wypadku chodzi o zespół czynników „luzu” i ich przeniknięcie do świadomości społecznej takiej, że w społeczeństwach o otwartych horyzontach ludzie wierzą — bo mają podstawy wierzyć — że zmieniając rzeczy (instytucje, prawa, zwyczaje) zmieniają tym samym (na lepsze) *własną sytuację*; w społeczeństwach zamkniętych panuje — zazwyczaj uzasadnione — przekonanie, że zmienić i poprawić można jedynie *własną, jednostkową sytuację*, lawirując umiejętnie wśród odziedziczonych struktur. Przekonanie to zresztą jest dodatkowym czynnikiem stagnującym. (*Uwaga recenzenta*: por. główną tezę Kołakowskiego — że przekonanie o nieplastyczności systemu komunistycznego dodatkowo go usztywnia). W praktyce oznacza to podział na zbiorowości, obfitujące w inicjatywę społeczną — oraz na zbiorowości, w których „każdy cichutko różnie przez Ciemnąkę prywatną łódką”, jak pisał Gałczyński.

Podział związany z krążeniem informacji jest właściwie odbiciem podziału pierwszego: gdyż „otwarcie” społeczeństwa jest nie do pomyślenia bez pełnej, dokładnej i szybkiej informacji. W społeczeństwach otwartych pojęto prawdę, że *informacja ma służyć informowanemu*; w społeczeństwach przy- lub zamkniętych ludzie mniej lub bardziej chętnie godzą się ze smutnym faktem, że *informacja zazwyczaj służy informującemu*.

Z przeprowadzonej wyżej analizy perspektyw rewolucji światowej dość wyraźnie wynika, że Revel, stosując obydwie podziały do naszego świata, w obu wypadkach dzieli tak samo: na Stany Zjednoczone — i całą resztę. Oczywiście ta „reszta” wykazuje znaczne różnicowanie stopnia: manipulacja informacją w Europie Zachodniej polega raczej na tonowaniu, rozkładaniu akcentów, „grzeczności”, a nie na bezczelnej dezinformacji i przemilczaniu rzeczy niewygodnych dla władz — niemniej nigdzie poza

Stanami Zjednoczonymi nie spotyka się informacji równie „bolesnej, upokarzającej, oskarżycielskiej — i dlatego skutecznej”. W Stanach od dawna pojęto, że światem rządzi dysjunkcja: albo informacja *przedtem* — albo katastrofa *potem*; i zasada ta jest stosowana z chirurgicznym okrucieństwem: ponieważ ważne wiadomości to zazwyczaj złe (dla kogoś) wiadomości.

Istotę tego zamknięcia, przyhamowania, dreptania w kółko, zakapslowania, z at w a r d z e n i a, stwierdzalnego w formacjach nie-amerykańskich, można sprowadzić do zablokowania społeczeństw podwójnym nelsonem: *biedy i bujdy*; (Be-be — stąd tytuł tego omówienia). Czynniki te działają w różnej formie i proporcji, lecz zawsze ręką w rękę: w jaskrawej formie w Trzecim Świecie (bieda nie pozwala na modernizację „myślenia społecznego”, a zacofanie, tzn. „bujda tradycyjna” nie pozwala na wyjście z biedy), w subtelnej — w Zachodniej Europie (by wspomnieć choćby o dezintegracji politycznej i ekonomicznej, uniemożliwiającej badania podstawowe na wielką skalę — co pociąga za sobą ową wtórność i gimnazjalność nadbudowy — co znów z kolei wzmacnia kompensacyjne samodurstwo nacjonalistyczne, „wspaniało-przeszłościowe”, itd., itp.). Działanie „syndromu be-be” widoczne jest też ze szkolną pogładowością w społeczeństwach formacji komunistycznej.

Radykalizm i pasja, z jaką napisana jest książka Revela — rażają ją na łatawce zarzuty: że jej program jest utopijny, a krytyka — zbyt jednostronna. Na pewno — ponieważ „*Ni Marx ni Jésus*” jest właściwie pamfletem, czyli — z zamierzenia — zbiorem stwierdzeń „*bolesnych, upokarzających, oskarżycielskich*” — a zatem (w zamierzeniu przynajmniej) *skutecznych*.

Irzykowski powiedział kiedyś: „*są sytuacje, w których potrzebne są pamflety — nie flety*”. Ważność stwierdzeń Revela — jakkolwiek przesadne, brutalne czy jednostronne mogą się wydawać — polega właśnie na tym, że skutecznie utrudniają grę na flecie.

M. BRONSKI

„Świt zwycięstwa”

Nie jest rzeczą ani łatwą, ani przyjemną, pisać recenzję książki której tematyka jest nam dobrze znana a także i osoba autora, zwłaszcza gdy książka jest pseudo-historyczna, omawia nie tak dawną przeszłość i pozornie nie ma roszczeń do autentyzmu. Książka¹ czołowego asa naszego lotnictwa myśliwskiego

1. Witold Urbanowicz, *Świt zwycięstwa*, Wydawnictwo „ZNAK”, Kraków, 1971. Str. 320. Cena 52 zł.

posiada wiele walorów jako lektura, a jednocześnie jest irytującym materiałem dla krytyka, gdyż jest typowym przykładem dobrego „myśliwskiego” wymieszania faktów historycznych i osobistych wspomnień z fantastycznymi obrazkami, jakby wziętymi z amerykańskiego filmu „sensacyjnego” o znanej formułce bohatera-kryminalnej i romantycznej, tak popularnej obecnie w telewizji.

Dla czytelników młodych, jak również dla każdego nie znającego dziejów pobytu naszego lotnictwa w Wielkiej Brytanii, książka Urbanowicza może być pasjonująca, może otwierać nowe horyzonty, kreślić dziwne dzieje lotnika-Urbanowicza i 303-go dywizjonu; niestety jako źródło historyczne wymaga wielu wyjaśnień, sprostowań, poprawek i uzupełnień. Autor w przedmowie pisze, że podaje w książce tylko „niektóre fragmenty tej największej bitwy lotniczej w historii” oraz że chciał „napisać cośkolwiek na temat mało dotychczas znanych działań lotnictwa polskiego poza ramami tej bitwy”. Tego celu jednak książka nie spełnia zupełnie, gdyż jest zbiorem 28 krótkich szkiców o charakterze autobiograficznym, nie powiązanych, a jednocześnie zawierających rozważania filozoficzne autora i niezbyt udane wyliczki w dziedzinę wielkiej polityki i strategii.

Znając dość dobrze historię lotnictwa polskiego w Wielkiej Brytanii i szczegółowe wydarzenia, opisywane przez autora względnie naświetlane z jego osobistego punktu widzenia, mam wiele zastrzeżeń co do faktów, ludzi, ocen i przebiegu drobnych wydarzeń, które w książce urastają do przesadnych rozmiarów. Poruszę tylko kilka, najważniejszych, czy charakterystycznych.

Pierwsze pięćdziesiąt stron wydają się być zbędnym balastem, autor bowiem, jako młody porucznik na urlopie zagranicznym, opisuje swoje ówczesne myśli o polityce wielkich mocarstw, podaje rzekomy przebieg rozmowy Hitlera z Chamberlainem która, jak pisze, odbyła się „tylko w towarzystwie tłumacza”, opowiada o innych rozmowach i posunięciach polityków, ambasadorów itd., jakby przy nich był i jakby to miało jakiś związek z jego służbą w lotnictwie. Tragedia Czechosłowacji posłużyła autorowi za odskocznię do nagłego przyjazdu do Anglii, natomiast o kampanii 1939 roku w Polsce nie napisał prawie nic.

Od strony 56 począwszy Urbanowicz pisze dość dużo o odmowie złożenia przysięgi przez podchorążych w Eastchurch. Niestety, muszę stwierdzić, że wszystko mu się pomyliło, łącznie z datami, osobami i treścią. Byłem wówczas I. oficerem Sztabu obozu Eastchurch i znam sprawę dokładnie. Autor twierdzi, że rzekomo obwołano go „agentem niemieckim”, odpowiedzialnym za bunt podchorążych, ale nawet nie napisał dlaczego podchorążowie odmówili złożenia przysięgi.

Zacznijmy od początku. Pisze Urbanowicz: „Podchorążych tych po Kampanii Wrześniowej przyprowadziłem z Polski przez Rumunię, Syrię i Francję. Przybyli do Anglii innym statkiem. Nazajutrz kazano im przysięgać na wierność królowi angielskiemu”. Wolnego, wolnego panie Kolego!! Jakto: z Polski przez Ru-

munię, Syrię i Francję, przez trzy miesiące, bez wytchnienia, pan porucznik Urbanowicz prowadził podchorążych? Oczywiście, że tak nie było, szli grupami, największą prowadził z Dębłina do granicy rumuńskiej kpt. dypl. R. Referrowski a także kilku innych oficerów. W Syrii i we Francji byli oni rozrzucony w różnych grupach, z daleka od por. Urbanowicza. Mieli swoich dowódców, byli zorganizowani, nie zaś bandą bezdomnych pod wodzą por. Urbanowicza.

Po drugie: dlaczego podchorążowie nie chcieli składać przysięgi? Otóż powód był ten, i tylko ten, że nie uprzedzono ich o warunkach służby w RAFVR to znaczy, że będą przyjęci jako szeregowcy i traktowani jako tacy do czasu uzyskania angielskich kwalifikacyj na oficerów. Stworzono z nich (było ich 52) osobną eskadrę, pod dowództwem kpt. pil. Kołodyńskiego, któremu do pomocy przydzielono por. W. Urbanowicza. Obaj oni bronili stanowiska podchorążych (ja również przyznawałem słuszność podchorążym, ale twierdziłem, że źle postępowali), co naturalnie nie podobało się władzom, tj. płk. Stachoniowi i płk. Davidsonowi.

Po trzecie, nie jest zgodne z prawdą iż odmowa nastąpiła w obliczu gen. Zająca. Został on dopiero w końcu stycznia ściągnięty do Eastchurch celem załatwienia sprawy. Byłem na odprawie. Generał tłumaczył i prosił aby dla dobra sprawy podchorążowie zostali w Anglii. Ostatecznie pięciu pozostało, reszta została wysłana w lutym do Francji (ostatnia partia 27 lutego 1940 r.). W piśmie kończącym tę sprawę (z dnia 28 lutego 1940) płk. Stachon proponuje gen. Zającowi wezwanie do Paryża por. Urbanowicza jako świadka obrony podchorążych. Nie było więc mowy aby ktoś robił z por. Urbanowicza „agenta niemieckiego”.

Po czwarte, nie przyjechał w tej sprawie gen. Kalkus, który przybył do Eastchurch i Hucknall dopiero w kwietniu, jako inspektor PSP w Anglii, podczas gdy gen. Zając był nadal dowódcą PSP we Francji.

W tym samym czasie, wedle autora, miała się odbyć inspekcja obozu Eastchurch przez marszałka Dowdinga, dowódcę Fighter Command (Lotnictwa Myśliwskiego). Nigdy takiej inspekcji nie było. Byłem umyślnie w archiwum lotnictwa — nie ma śladu wizyty tak wielkiej osobistości. Odwiedził nas minister lotnictwa, Sir Archibald Sinclair. Bardzo ładnie wypadła w książce „odprawa” Dowdinga — zwłaszcza pytania por. Urbanowicza i odpowiedzi marszałka — ale niestety musimy to włożyć między bajki.

Pisze autor dalej, że „w dwa dni po wizycie Dowdinga” udał się do Londynu, aby zasięgnąć informacji o tworzeniu jednostek PSP w Anglii od oficerów Polskiej Misji Wojskowej, w której znał „kilku oficerów”. I to też jest fantazja, gdyż skład misji, w której przybyłem do Londynu 7 września 1939 roku, był następujący: gen. dyw. M. Norwid-Neugebauer, mjr dypl. Iliński (kawalerzysta, szef sztabu misji), kpt. dypl. F. Kalinowski (lotnik), kpt. Rerutkiewicz (intendent), por. Podoski (tłumacz) i

ppor. dr J Korczyński (oficer szyfrowy). Po drugie, nie potrzeba było w styczniu czy lutym 1940 roku jeździć do Londynu, bo „misja” już nie działała od dawna, oficerowie byli zatrudnieni w ambasadzie, a warunki umowy paryskiej z października 1939 roku nie były tajemnicą i wszyscy w Eastchurch o nich wiedzieli. Na tej właśnie podstawie jeszcze w grudniu myśliwiec warszawski, por. Ludwik Paszkiewicz, wyjechał do Francji, bo domagał się szkolenia na myśliwca. Byli jeszcze w Londynie w grudniu członkowie misji zakupów, z płk. C. Filipowiczem i kpt. inż. Pankracem na czele, ale Pankrac wyjechał do Eastchurch, a Filipowicz wrócił do Paryża.

Obrazek „Bitwa o Norwegię” wydaje się zbyt techniczny w książce, bo autor nie ma nic do powiedzenia na ten temat i nie miał nic wspólnego z Norwegią, nawet nie wspominał o naszym „Dywizjonie Finlandzkim”.

W znanym zatargu Dowding-Mallory, autor zajmuje słusznie stanowisko po stronie Dowdinga, ale jego ostateczna opinia o „architekcie zwycięstwa” jest mdła, nie taka jakiej by można spodziewać się po bohaterze Bitwy o Wielką Brytanię. Oto Urbanowicz ani słowem nie potępia gorszącego, brzydkiego potraktowania Dowdinga przez władze RAF i króla po bitwie — pomimo, że niedawno temu pisano o tym tak wiele.

Sprawę dowodzenia polskimi dywizjonami myśliwskimi w 1940 roku przedstawił autor jednostronnie. A przecież rzecz była jasno postawiona w rozkazach Ministerstwa Lotnictwa. W dyonach bombowych dowodzili Polacy i mieli „doradców” (*advisor*) brytyjskich, natomiast w dyonach myśliwskich zgodzono się z Dowdingiem, że do czasu opanowania języka i dowodzenia będą dowodzili oficerowie brytyjscy, którzy z czasem przekażą dowodzenie Polakom, dublującym funkcje dowódcze. Tak się też stało i od początku 1940 roku kolejno Polacy objęli dowodzenie na wniosek Brytyjczyków. Oczywiście dawało to pole do wykroczeń i nieporozumień, to rzecz ludzka. Cieszę się, że choć jeden myśliwiec — i to tak znany — podziela moje zdanie w tej sprawie, bo przecież zostałem za nią właśnie „potępiony” przez gros opinii Stowarzyszenia Lotników w związku z moją książką i artykułami na ten temat.

Pamięć zawodzi autora dość często, a niestety dokumenty nadal istnieją w archiwum lotnictwa. Pisze np. z pewnym zadowoleniem, że wybrano go przewodniczącym sądu honorowego w Eastchurch. W aktach jest meldunek L.Dz 59/tjn. 40 z 15. II. 1940, w którym skład sądu honorowego dla oficerów młodszych jest podany: przewodniczący — kpt. pil. B. Orliński, zastępca — kpt. pil. J. Orłowski, sekretarz — ppor. obs. C. Dej, a wśród 10 członków — na szóstym miejscu — por. W. Urbanowicz.

Zastanawiającą rzeczą jest to, że w książce myśliwca liczącej 300 stron figuruje tak mała ilość nazwisk pilotów myśliwskich. Właściwie poza kilkoma z 303-go dywizjonu nie ma nikogo ze znanych asów i dowódców. Można zrozumieć, że autor nie lubi generałów, więc pominięcie gen. Ujejskiego i gen. Iżyckiego da

się wytłumaczyć, ale zupełny brak nazwisk bohaterów, którzy dowodzili skrzydłami i dywizjonami wprost razi. Nie ma nawet kawalerów Złotego Krzyża *Virtuti Militari* — Gabszewicza i Horbaczewskiego, brak szefa sztabu Brzeziny, dowódców skrzydeł i dyonów: Nowierskiego, Rolskiego, Kołaczковского, Szczęsne-go, Jankiewicza, Zaremby, Ostoji, Pietraszkiewicza, Króla, Szczesńiewskiego, Koca, Bienkowskiego, Andersza, Arcta, Antonowicza, Michałowskiego, Aleksandrowicza, Grodzickiego, Drobińskiego, Kowalczyka i dziesiątka innych. To tak jakby w książce kawalerzysty autor pominął Belinę, Wieniawę, Dreszera, Głuchowskiego, Andersa, Rómmla. Nie do pomyślenia!

W zakończeniu książki autor skromnie podaje „stan faktyczny” swego konta zwycięstw na 17 zniszczonych w Bitwie o Wielką Brytanię i 11 na Dalekim Wschodzie, dodając, że po powrocie z Chin w 1944 roku złożył dokumentację w Inspektoracie PSP. Niestety nie mogę stwierdzić co się stało z tą dokumentacją ale komisja pod przewodnictwem płk. Jerzego Bajana — która wspólnie z Air Ministry ustaliła listę naszych asów — zatwierdziła ppłk. Urbanowiczowi owe 17 zniszczonych w 1940 roku, ale tylko dwa na Dalekim Wschodzie. Stąd znalazł się on na drugim miejscu wykazu asów po mjr. Stanisławie Skalskim.

Główną zaletą książki Urbanowicza — poza tym, że czyta się ją bardzo łatwo i przyjemnie — jest częste i logiczne podkreślanie znaczenia polskiej kampanii 1939 roku dla przebiegu 2. wojny światowej, a jeśli idzie o opisy i wrażenia z walk powietrznych, to są one bez wątplenia na bardzo wysokim poziomie narracyjnym i artystycznym. Wydanie książki jest bardzo staranne, a zdjęcia ciekawe i o wartości prawdziwie historycznej.

F. KALINOWSKI

Londyn, w październiku 1971

W Polsce o Australii

Wydawnictwo warszawskiego Ministerstwa Obrony Narodowej od lat specjalizuje się w kłamliwej propagandzie. Ale wśród dotychczasowych publikacji (książka Jana Rudzkiego jest tu pozycją nr 4772) nie było jeszcze podobnej słabizny językowej, nieporadności konstrukcyjnej, kłamstw i ignorancji (jeśli idzie o realia) tak zgodnie współgrających z niezamierzonym „humorem zeszytów” z *Przekroju*, jak w tej książce* o życiu emigrantów polskich

* Jan Rudzki, *Prądem rzek obojętnych*. Wydawnictwo MON, Warszawa 1971, str. 352.

w Australii. Pod tym względem jest to „klasyk”. W pełni ocenić tę niesmaczną bzdurę może jednak tylko ten, kto zna warunki australijskie i znał Rudzkiego, albowiem owa książka ma jeszcze bardzo specjalny wydźwięk personalny.

Że Rudzki pisze takie książki — można zrozumieć gdyż nie lubi on pracować fizycznie i będąc zakompleksionym półinteligentem chce by uważano go za intelektualistę. Że MON wypuszcza takie książeczki dla rekrutów i aktywistów pegeerowych, to mnie nawet cieszy, albowiem niebezpieczna jest wyłącznie mądrze robiona propaganda, nigdy głupio. Ale nie rozumiem czemu MON i jego redaktorzy pozwalają na to, że tacy Rudzcy pastwią się nad językiem polskim i ogłupiają czytelników?

Schemat książki Rudzkiego jest prosty: wszyscy Australijczycy to oszuści, egoiści i prymitywy kulturalne, wszyscy emigranci to głupcy, chorzy na umyśle i groteskowe ćwoki żyjące przeszłością. Jedyną świetlaną postacią jest *porte-parole* autora, Leon Kowalski, który po kilku latach okropnych katuszy moralnych i fizycznych, oraz wbrew radom matki w kraju, wraca do Polski. Matka Kowalskiego-Rudzkiego jest postacią osobliwą, bo bez powodu widzi same minusy w życiu codziennym Polski Ludowej, żali się tylko i narzeka, po to żeby od syna wydoić paczki. Lecz syn przejrzał wstrętą matkę i wrócił. Ta budująca i wzruszająca historia jest opowiedziana pompatycznym językiem i przeplatana filozoficznymi wstawkami.

Oto próbki stylu Rudzkiego, a zakreśliłem takich miejsc około pół tysiąca: „poskrobał się za organem słuchu”; „militarnej przewadze wroga ulegają nie tylko wsi i wzgórze, lecz także stolice, armie, państwa”; „oddawał mu się bez powszechnie przyjętych konwenansów”; „nagle z ptasiej duszy wyrwało się zawodzące łkanie”; „znaczna część podróży szybko znajdowała sobie partnerki do bardziej zmysłowych uścisków niż objęcia Morfeusza”; „niestety (Urszula) rozbiła sielankę fatalnym *faux pas* — zaszła w ciążę”; „zwoje mózgowie tej pseudo-dziewicy były rzeczywiście słabo rozwinięte”.

Stare auto nazywa się tu „antycznym wehikułem”, rezerwat dla *aborgines* „rezerwacją”.

Jeśli idzie o wartość „australijców” jest to zbiór nonsensów dużych i małych. Żyłę złota Lessetera umieszcza Rudzki w Arnhem Land, choć różnica w odległości wynosi kilka tysięcy mil. Opis tańca *corroboree* świadczy, że Rudzki nigdy go na oczy nie widział. Używanie polskich terminów jak „bór” i „puszcza” dla odmalowania krajobrazu australijskiego jest oczywistym nonsensem. To samo odnosi się do „wioski” aborygenów-koczowników, o których Rudzki „mądrze” pisze, że „jako koczownicy są bardzo wymieszani rasowo”, choć z koczownikami bywa akurat na odwrót.

Wprawdzie z okna mego mieszkania w Melbourne widzę co dzień kasztany, jednak Rudzki pisze, że w Australii nie ma kasztanów, co ma mieć oczywiście wydźwięk pejoratywny, albowiem Polak jest przyzwyczajony do kasztanu jako do elementu swoj-

kości i bez kasztanu trudno mu żyć. Rudzki ma nawet pretensję do Australii, że w grudniu tam jest lato, a nie zima, co zmienia cały koloryt pasterki.

Nie wiem czy robotnicy w Polsce — o ile przeczytają tę chałę — będą cierpliwi z wrażeń i współczucia jak to bohater okropnie borykał się z losem na obczyźnie pracując przy ważeniu i noszeniu worków soli, czy też będą mu zazdrościć. Bo oto właśnie w Australii związki zawodowe, bodaj pierwsze w świecie, wywalczyły 40-godzinny tydzień pracy i w to wliczone dwie przerwy 15-minutowe na herbatę rano i popołudniu, czyli, że robotnik australijski pracuje przez 5 dni w tygodniu po 7 i pół godzin dziennie. W wielu przedsiębiorstwach państwowych płacą i za przerwę obiadową. Ponadto każda nadgodzina pracy jest skrupulatnie wypłacana w wysokości 150 % normalnej stawki, tyle samo za pracę w sobotę, a 200 % za pracę w niedzielę i święto. Natomiast w Polsce tygodniowa praca wynosi 6 dni i zawsze więcej niż 40 godzin. A także — w przeciwieństwie do Polski Ludowej — nikt nigdy nie zmuszał nikogo w Australii do żadnych „czynów” czy „zobowiązań pierwszomajowych”, czy innych, ani do bratniej pomocy dla północnych Wietnamczyków lub Arabów — wbrew własnej woli i za darmo. Przy czym robotnik australijski o ile stoi w ogonku to do kina, nigdy po żywność.

Na pewno początki niejednego emigranta w każdym obcym kraju były ciężkie i trzeba te rzeczy zanotować, ale bez przesady. Sam, po przybyciu do Australii, paliłem śmiecie i naprawiałem drogi, a nie znając języka i warunków wystawiony byłem na wiele prawdziwych i urojonych krzywd. Ale korona mi z głowy nie spadła, zawsze byłem wolny i z każdej pracy mogłem uczciwie żyć i coś odłożyć.

Najbardziej jednak niesmaczne w tej książce są inne rzeczy. Jana Rudzkiego znałem osobiście, panią Wandę przedstawił mi jako swą żonę. Przychodzili na przedstawienia naszego kabaretu i nawet Jasia lubiliśmy, bo był małomówny: nie zdobywszy wykształcenia nie z własnej winy ale wskutek wojny, miał na tyle taktu, iż ust nie otwierał. Jednak przed Olimpiadą w Melbourne zjechało tam kilku polityków, jak płk UB Tomasz Lempart i mjr UB Jan Gorzelańczyk. Rudzki został ich szoferem. Ci, biorąc go pod pic, że taki zdolny i tak się marnuje na emigracji, namówili go na powrót do Polski. Co uczynił, ale kryjąc się z tym zamiarem przed panią Wandą z którą, jak się okazało, ślubu nie brał, bo podobnie jak i jego bohater książkowy wiązać się nie lubił. W Polsce Rudzki ogłosił kilka marnych książek szpiegowsko-wojennych, właśnie w MONie i właśnie z dobrym wydźwiękiem. I oto ten dżentelman do swej ostatniej powieści wprowadza postać kobiecą imieniem Wanda.

Niedość, że zgadzał się by go utrzymywała i obsługiwała, a potem od niej po kryjomu uciekł — a przewyższała go wdziękiem i inteligencją o niebo — jeszcze ją obsmarował. Cacy, cacy!

Leon Kowalski — którego nazwisko Rudzki wziął bezceremonialnie dla swego bohatera — istniał naprawdę. Był to miły

i elegancki chłopak i świetny fotograf, który safandule Rudzkiemu dawał przy sobie zarobić. W wyniku zawiedzionej miłości popełnił potem samobójstwo. Co robi wdzięczny za pomoc okazaną mu przez Kowalskiego Rudzki? Ze swego książkowego Leona Kowalskiego-Rudzkiego robi pomocnika fotografa, zaś prawdziwego fotografa nazywa Januszem, którego z kolei ukazuje jako kanalię, zostata i zarozumialca.

W książce Rudzkiego jest jeden ustęp, za który Jasia trzeba pochwalić. Opisując durnych i groteskowych emigrantów, którzy stracili kontakt z rzeczywistością, rzekomo wygłupiającemu się nieznaną sprawą Polski Ludowej emigrantowi wkłada w usta następujące dwa zdania: „Aparat ekonomiczny budowany na takim podłożu ideologicznym nie może działać skutecznie. Jestem przekonany, że te chaotyczne eksperymenty komunistów zakończą się fiaskiem”.

To jest już fakt, Rudzki! Przerzucić się na ekonomię, masz do tego nosa!

Andrzej CHCIUK

Polsko-ukraińskie stosunki w XIX wieku

Nie jestem specjalistą od stosunków polsko-ukraińskich, jednak — podobnie jak wielu moich kolegów, historyków polskich — nie mogłem abstrahować w swoim zakresie badań od zarówno stosunków obu narodów jak i od niektórych problemów czysto ukraińskich.

Nie jest łatwo pisać o tych stosunkach, jeszcze chyba trudniej recenzować. Przyznam się, że ilekroć dotykałem tych problemów, porażał mnie ich tragizm i drastyczność, wiekowe nawarstwienie krzywd, zawziętości, nienawiści, przechodzących z pokolenia w pokolenie... Zdawało mi się kiedyś, że wytworzony układ psychiczny polsko-ukraiński jest zdeterminowany już samym układem materialnym, że tak muszą się zawsze układać stosunki dwu narodów, umieszczonych w takim lub nawet podobnym układzie tzw. obiektywnych stosunków zależności klasowej i politycznej, o podobnym odniesieniu opóźnienia w kształtowaniu się świadomości narodowej itd.

Ale znajdując się od dwóch lat w Skandynawii, przyjrzałem

* Mychajło Demkowycz-Dobriański. *Ukraińsko-polski stosunki u XIX stulecia*. Z przedmową W. Janiwa. Monachium 1969, str. 120 (Ukraiński Wilnyj Uniwersytet).

się historycznemu nawarstwieniu stosunków szwedzko-fińskich, zawierających masę zasadniczych analogii do stosunków na terenie Galicji Wschodniej. W należącej do Rosji od 1809 roku Finlandii, Szwedzi zawsze stanowili warstwę uprzywilejowaną, wyprzedzającą w masowości świadomości narodowej itd. I nie można twierdzić, że Finowie szczególnie przepadają za Szwedami, ani za tymi w Szwecji, ani za mieszkającymi od wieków na terenie Finlandii. Ani Szwedzi za Finami. A mimo to tamtejsi Szwedzi odegrali zasadniczą rolę w fińskim ruchu narodowo-emancypacyjnym a później w budowaniu Finlandii po I wojnie światowej i we władzach powstałego państwa. Rolę tę zresztą w dużym zakresie odgrywają po dzień dzisiejszy.

Dla zrozumienia więc nawarstwień układu stosunków polsko-ukraińskich nie wystarczy poznanie socjologiczno-historyczne, potrzebne jest również zrozumienie realiów historyczno-politycznych. Jest to potrzeba nie tylko poznawcza, lecz również jak najbardziej polityczna, jeśli nie chce się dopuścić, by ktoś zbierał zasiane przez hajdamaków żyto — by odwołać się do przemożni Tarasa Szewczenki.

Czy istnieje możliwość rozplątania tego kłębaka? Jaką pozytywną rolę mogą w tym odegrać, obdarzeni dobrą wolą historycy, jeśli świadomość dziejowa jest tak jątrzącą siłą? A może dać lepiej przeszłości zwiednąć i liczyć na kojące działanie czasu? Mało w jakiej dziedzinie świadomość współczesnego Polaka jest uformowana przez stereotypy historyczne i chyba podobną jest świadomość współczesnego Ukraińca, a zwłaszcza Ukraińca z Zachodniej Ukrainy — na tzw. Wielkiej Ukrainie przecież te problemy układały się odrobinę lepiej.

Te myśli nasuwają się przy czytaniu wymienionej w nagłówku recenzji książki. Jej autor, Mychajło Demkowycz-Dobriański urodził się w 1905 roku na Ukrainie naddnieprzańskej, ale cały okres międzywojenny był związany z ziemią, której nazwa nawet jest przedmiotem nieustępliwych sporów, pasjonujących nie są jest toponimików: w Galicji Wschodniej, tj. Małopolsce Wschodniej, tj. na Zachodniej Ukrainie. We wstępie do swej książki autor pisze, że na oczach jego generacji „...niemal w całości, w zminiaturowanej postaci — powtórzyła się tysiącletnia historia stosunków obu narodów”.

Pisze autor dalej: „Na przestrzeni tak krótkiego czasu łatwiej więc było uświadomić sobie cały tragizm i — nie waham się powiedzieć — całe bezdroże walki polsko-ukraińskiej. Tragizm tkwi w tym, że była to walka między dwoma bratnimi, doprawtę w tym, że była to walka między dwoma bratnimi, doprawtę w tym, że była to walka między dwoma bratnimi” (str. 7). Do stosunków polsko-ukraińskich autor przywiązuje wielką wagę: „Na froncie walk ukraińsko-polskiej rozstrzygało się coś ważniejszego nawet niż losy obu narodów. Rozstrzygał się los całej Wschodniej Europy” (j.w.). Stanowisko może nieco przesadne, takich czynników w ówczesnej Europie było kilka, ale na pewno współpraca polsko-ukraińska byłaby wynikiem wystarczającym do zmiany trendu dziejowego. Chciałbym jednak zwrócić uwagę, że jest to stanowisko

o określonym rodowodzie, prowadzącym po stronie polskiej od gromady Humań, po stronie ukraińskiej od Tarasa Szewczenki i sklepiające się w polskiej myśli federalistycznej i jej ukraińskich sojusznikach.

Demkowycz stwierdza wreszcie, że starych ran dotyka z ciężkim sercem, ale „niesposób zapomnieć przeszłość tak bolesną” i że trzeba poznać prawdę w imię naprawy stosunków.

Mimo tych założeń lektura książki nie należy do przyjemnych. Jest to rachunek wystawiony przez ukraińskiego patriotę polskiemu społeczeństwu, za winy popełnione przez polskich polityków na przestrzeni kilku pokoleń. Odnoszę wrażenie, że jednostronność rachunku zaskoczyła samego Demkowycza, który gdzieś tam usiłuje złagodzić wymowę faktów w sposób może nawet sztuczny (np. przesadnie eksponując cień, jaki na stosunki polsko-ukraińskie rzuciło niepoparcie przez Ukraińców polskich powstań narodowo-wyzwoleńczych).

Myślę, że niewielu ludzi w Polsce wie, jakim cieniem kładzie się na te stosunki spuścizna Badeniego lub to co leżało u podstaw zamachu Syczyńskiego, którego ofiarą padł namiestnik Półtocki. Myślę, że odkurzenie archiwum przeszłości może być zabiegiem pożytecznym szczególnie dla Polaków — po stronie ukraińskiej pamiętać o tym chyba nie uległa przedawnieniu.

Gorzej, że do pracy można zgłosić dużo zastrzeżeń czysto naukowych. Zaczniemy od tego, że tytuł pracy i jej zawartość różnią się między sobą w sposób dość zasadniczy. Wbrew tytułowi, autor nie zajmuje się wcale stosunkami polsko-ukraińskimi na terenie Ukrainy Naddnieprzańskiej. Ta problematyka została sprowadzona do kilkunastu omówienia roli Tarasa Szewczenki oraz do kilku rozszaniach w pracy wzmianek, nie zawsze ścisłych. Nie ma więc racji autor, stwierdzając, że na terenie trzech prawobrzeżnych guberni ukraińskich Polacy stanowili mniej niż jeden procent ludności (str. 39). Według oficjalnych, fałszowanych statystyk stanowili oni 4%, według nieoficjalnych, lecz raczej bezspornych danych stanowili 7% ludności. Może to nie jest nawet najważniejsze, gorzej bowiem, że praca, zajmująca się stosunkami polsko-ukraińskimi w okresie od trzeciego rozbioru aż po rok 1918 obchodzi się bez nazwisk Dragomanowa, Dmitra Doncowa, Wiaczesława Lipińskiego, Stanisława Stempowskiego, podobnie jak bez tych nazwisk obchodzi się bibliografia na końcu monografii.

Zgódźmy się jednak, że stosunki polsko-ukraińskie na terenie Galicji Wschodniej układały się z bardzo dużą dozą autonomiczności w stosunku do układu stosunków na terenie Imperium Rosyjskiego i że są one wystarczająco ważnym problemem poznawczym, godnym zresztą wysiłku nie jednego lecz wielu badaczy. Niedawno recenzowałem (*Zeszyty Historyczne* Nr 20, 1971) II tom wydanej przez czechosłowackich badaczy historii stosunków polsko-czechosłowackich (*Czeszi a Polaci v minulosti*, Praha 1967). Jest to praca kilkunastu badaczy, w tym dwóch wybitnych uczonych. Badacze ci dysponowali i pieniędzmi i archi-

wami a ich publikacja była uwieńczeniem wieloletniej pracy naukowej, w czasie której wytworzyli sobie krytyczny stosunek i do źródeł i do stereotypów myślowych epoki. Niestety, tego nie da się powiedzieć o recenzowanej publikacji.

Na czoło wysuwa się problem co należy rozumieć przez „stosunki polsko-ukraińskie”? Jest to pytanie, istotne w każdej pracy, obierającej sobie jako temat stosunki międzynarodowe, ale specjalnie ważny w specyficznej sytuacji, gdy nawet przyjęcie stereotypu myślowego nie pozwala na zastąpienie stosunków międzynarodowych stosunkami między państwowymi. Tego pytania nie czuje się w pracy. Autor napisał dramat, ale ani nie scharakteryzował postaci dramatu ani ich nawet nie nazwał. Czym był naród ukraiński na przestrzeni omawianego okresu i na terenie Galicji Wschodniej? Czym był odpowiednio naród polski? Jaki charakter nosiły podziały na przestrzeni tych stu kilkudziesięciu lat, obfitujących w wydarzenia nie tylko przecież polityczne? Przecież wystarczy wspomnieć, że był to z jednej strony okres kształtowania się ukraińskiej świadomości narodowej, znajdującej na terenie Galicji Wschodniej warunki o wiele korzystniejsze (nie polska to co prawda zasługa) niż na terenie Ukrainy Naddnieprzańskiej. Z drugiej — okres masowego spolszczenia się tej samej masy etnicznej, z której brał się i naród ukraiński.

Pójdę dalej. Mogę dowieść, że jako historyk bardzo ostro traktowałem obłudę tych polskich działaczy, którzy odmawiali Ukraińcom miana narodu. Pod jednym jednak względem wezmę ich w obronę. Nie sam pragmatyzm polityczny nimi kierował, istniały bowiem i trudności określenia nowego zjawiska jakim był ruch ukraiński, dzieło doprawdy bardzo wąskiej początkowo grupy, która stopniowo dopiero ukształtowała ukraińską świadomość narodową. Przecież sama nazwa narodu była czymś przyjętym, zastosowanym, wcale nie tak organicznym. Czy piewca Ukrainy, autor tak kontrowersyjnego „Tarasa Bulby” uważał się za Ukraińca?

Ale jeśli badania miałyby być ograniczone do stosunków politycznych to i w tym zakresie luki są dotkliwie. Brak wzmianki o polityce ukraińskiej PPSD, przecież nie ukraiñożerczej, socjaliści polscy zaboru rosyjskiego pojawiają się tylko jako odpowiedzialni za „wychodowanie” późniejszych przywódców Ligi Narodowej, J. Popławskiego i Z. Balickiego (str. 101). (To zresztą wypominano socjalistom w PRL w latach stalinowskich, a później przestano). Daszyński, W. Feldman, Wereszycki pojawiają się na stronicach książki jako źródła, nie jako reprezentanci nurtu politycznego.

Trudno się nie zgodzić z oceną roli H. Sienkiewicza w jątrzeniu stosunków polsko-ukraińskich, ale w imię prawdy należałoby podać ukraińskiemu czytelnikowi, że Sienkiewicz napotkał na sprzeciw w polskich sferach intelektualnych, że przeciwko Sienkiewiczowi ostro wystąpił nie byle kto, bo Bolesław Prus.

O „konserwatystach krakowskich” dowiadujemy się z margi-

nalnej wzmianki, że powieść Sienkiewicza zniszczyła dzieło szkoły krakowskiej (str. 110). Identycznie przedstawia się sprawa z życiowymi dla Ukraińców Demokratami. W rezultacie pominięte zostały całkowicie nazwiska takich ukraińskich działaczy jak Baczyński, Hankiewicz, Iwan Franko, polskich jak Bol. Wystouch, a zatarta rola Michała Bobrzyńskiego.

Leży na moim stole słynna monografia Bobrzyńskiego, „Wskrzeszenie Państwa Polskiego”. Ostatnie słowa autora wyrażają najgłębszą troskę, czy Polska, wcieliwszy „miliony ludności ruskiej” potrafi je „dla siebie i dla niego pozyskać” (*Wskrzeszenie*, t. II, str. 283). Dla Bobrzyńskiego był to centralny problem, decydujący o istnieniu lub nieistnieniu, tymi bowiem słowami zamyka swoją pracę i swą działalność naukową. I nie było to stanowisko u niego nowe, tym bowiem kierował się w czasach austriackich jako namiestnik i jako szef szkolnictwa galicyjskiego.

Razi pominięciem dorobku ostatniego ćwierćwiecza. Upomniałbym się o publikację Konstantego Grzybowskiego, Buszki, Najdusa, Dunin-Wąsowicza, Hornowej, autorów przecież krytycznych w stosunku do przeszłości galicyjskiej.

Obraz stosunków polsko-ukraińskich, sam w sobie dość już jest czarny i przeczniania nie potrzebuje.

Józef LEWANDOWSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

KOŚCIAŁKOWSKI (Stanisław). *Antoni Tyzenhauz Poskarbi Nadworny Litewski — Tom II*. Str. 573 i 3 nlb. (Wyd. Społeczności Akademickiej Uniwersytetu Stefana Batorego w Londynie, Londyn, 1971).

SKIBA (Antoni, Ppłk). *Boje 19 Pułku Ułanów Wołyńskich w kampanii wrześniowej*. Str. 97 i 3 nlb. (Wyd. „Przeglądu Kawalerii i Broni Pancernej”, Londyn, 1971).

Materiały do biografii genealogii i heraldyki polskiej — tom V. Przewodniczący Komitetu Redakcyjnego — Szymon Konarski. Str. 293 i 3 nlb. (Buenos Aires - Paryż, 1971).

Zarys historii 6 Pułku Ułanów II

Korpusu Wojsk Polskich na Wschodzie 1917-18 r. Str. 16 (powielacz). Opracował: Andrzej Hławaty, rtm. dypl. 6 Pułku Ułanów Kaniowskich. (Nakładem Koła 6 Pułku Ułanów Kaniowskich, Londyn, 1965).

SZYPER (Adam). *Zielony prymityw*. Str. 48 i 2 nlb. Wiersze. (Wyd. Palpress).

Poezje Bernarda T. Frydrysiaka. Str. 56. (Nakł. Marii Frydrysiak, Nowy Jork, 1970).

IWANSKA (Alicja). *Purgatory and Utopia. A Mazahua Indian Village of Mexico*. Str. 214. (Wyd. Schenkman Publishing Company, Cambridge, Massachusetts, 1971).

GOLAWSKI (M., M.A.). *Poland*

through the Ages. An Outline of Polish History for Young Readers. Str. 185 i 7 nlb. Tłumaczenie na angielski Paul Stevenson. (Wyd. Orbis (London) Limited, Londyn, 1971. Cena £1,65).

RIABCHIKOV (Evgeny). *Russians in Space*. Str. 300 i 4 nlb. Redakcja Colonel General Nikolai P. Kamanin, przekład Guy Daniels. (Wyd. Doubleday and Company, Inc., Garden City, New York, 1971. Cena \$10,00).

CZERNIAWSKI (Adam). *The ontological status of fictional worlds*. Str. 75-79. (Nadbitka ze zbioru artykułów z Polish Congress of Contemporary Science and Culture in Exile, Londyn, 1970).

DEDECIUS (Karl). *Deutsche und Polen. Botschaft der Bücher*. Str. 98 i 2 nlb. (Wyd. Carl Hanser Verlag, Monachium, 1971).

BILAJIW (Wołodymyr). *Polittia*. Poezje. Str. 78 i 4 nlb. (Wyd. Kyiw Publishing, Philadelphia, Pa., 1970).

De Ucrainorum Catholica Universitate S. Clementis Papae. W pierwsze pięćdziesiąt lat swego powstania i

działalności 1963-1968. Str. 290 i 2 nlb. (Nakładem Uniwersytetu, Rzym, 1969). Tom XXXII prac Greko-Katolickiej Akademii Teologicznej.

Opera omnia Kyr Josephi (Slipyy - Kobernycky - Dyckovskyj) Archiepiscopi Maioris et Cardinalis. Zebrał: Presb. Prof. Dr. Joannes Choma i Presb. Dr. Georgius Fedoriw. Str. 416 i 2 nlb. (Tom V Vol. Wyd. Ukr. katolickiego Univ. im. A. S. Clemente Papa, Rzym, 1971).

ZBYCH (Andrzej). *Kapten Kloss. Med livet som insats*. (Stawka większa niż życie, Tom I. Str. 175 i 1 nlb. *Odesdigert uppdrag* (Stawka większa niż życie) Tom II. Str. 176. Tłumaczenie na jęz. szwedzki Norberta Żaby. (Wyd. Wennerbergs Förlag, Kopenhaga, 1971).

KANTOR (Leonid). *Material Till en Bibliografi över Blok-Litteraturen 1950-1970*. Str. 20 i 1 nlb. (powielacz). (Meddelanden, Nr 6, 1971. Wyd. Slaviska Institutionen Stockholms Universitet, Stockholm).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

15-10-71

W Moskwie parafowano układ o ruchu cywilnym między NRF i ZSSR. W przyszłym roku zostanie otwarte połączenie lotnicze między Frankfurtem a Moskwą. W ten sposób po raz pierwszy od 1940 roku Lufthansa będzie mogła podjąć loty do Związku Sowieckiego. Bonn projektuje przedłużenie tej linii do Tokio via Syberia. ■ Minister spraw zagranicznych PRL, Jędrzychowski, oświadczył w ONZ, że rząd PRL gotów jest oddać kontyngent wojskowy do dyspozycji Rady Bezpieczeństwa. ■ Lubelski Sztandar Ludu zamieścił zbiorowy list do redakcji protestujący przeciwko zburzeniu na miejscowym cmentarzu grobów żołnierzy poległych w 1939 i wywiezieniu prochów poza obręb cmentarza. Miało to miejsce w maju 1970 roku; mimo protestów nadal burzy się dalsze groby wojskowe.

16-10-71

W Warszawie zmarł, w wieku lat 79, Stefan Stok, redaktor i korespondent zagraniczny Polskiej Agencji Telegraficznej i redaktor naczelny dzienników Polskiego Radia w okresie międzywojennym. ■ Na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie profesorzy: Adam Vetulani i Kazimierz Przybyłowski przeszli w stan spoczynku. ■ W bieżącej pięciolatce ma się wybudować w Warszawie 72 tysięcy mieszkań. Potrzeby mieszkaniowe stolicy do roku 1980 szacuje się na 208 tysięcy mieszkań. ■ W Taszkencie, stolicy Uzbekkiej SSR, otwarto polską wystawę wyrobów przemysłu lekkiego pod nazwą „Wykonano w Polsce”. Wystawa cieszy się dużym powodzeniem.

17-10-71

Wskutek złego opakowania polskie towary są za granicą sprzedawane taniej niż gorsze od nich produkty z innych krajów. Aby temu przeciwdziałać, na poprawę sytuacji w przemyśle opakowań przeznaczono w obecnej pięciolatce 5,3 miliarda złotych. ■ Międzynarodowy Bank Inwestycyjny RWPG, utworzony w styczniu br., przyznał PRL kredyt w wysokości 14,6 milionów rubli transferowych na modernizację Zakładów Mechaniki Precyzyjnej w Błoniu, budowę fabryki silników w Zagórzcu i rozbudowę zakładów przemysłu motoryzacyjnego w Prazce.

18-10-71

Na uroczystym posiedzeniu Komitetu Nauk Filozoficznych Polskiej Akademii Nauk wręczono honorowy adres z okazji 85-ej rocznicy urodzin Tadeuszowi Kotarbińskiemu i Władysławowi Tatarkiewiczowi.

19-10-71

W Wilnie odbyło się sympozjum elektrochemików z krajów socjalistycznych, poświęcone zagadnieniom wielowarstwowego niklowania i potłuskowego miedziowania. Po sympozjum odbyła się narada naukowo-koordynacyjna elektrochemików z krajów należących do RWPG.

20-10-71

Niż demograficzny daje znać o sobie: w bieżącym roku zlikwidowano na wsi 300 szkół. ■ Prezes Rady Ministrów PRL zakazał urządzania koleżeńskich przyjęć na terenie zakładów pracy oraz wręczania upominków kolegom i szefom. ■ Minister sprawiedliwości PRL został zobowiązany do przedstawienia Radzie Ministrów „Raportu o stanie prawa w PRL”.

21-10-71

W najbliższym czasie ma być uruchomione nowe przejście graniczne w rejonie Tuplice-Trzebiel w województwie zielonogórskim, w miejscu, które przecina autostrada Berlin-Wrocław.

22-10-71

W Warszawie odbyło się plenarne zebranie Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich. Zarząd postanowił zwołać zjazd delegatów ZLP w dniach 4-5 lutego 1972 roku w Łodzi. Zarząd podjął decyzję skreślenia Andrzeja Brychta z listy członków ZLP. ■ W Algierii zmarł, w wieku lat 56, gen. Grzegorz Korczyński, jeden ze sprawców masakry na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku. Po upadku Gomułki został mianowany ambasadorem PRL w Algierii.

25-10-71

W Bukareszcie Ceaucescu zarządził, iż młodzi ludzie od lat 9-ciu do 14-tu będą przechodzili wstępne przeszkolenie wojskowe „by być w każdej chwili gotowymi do obrony ojczyzny”. ■ Na konferencji prasowej w Warszawie Jędrzychowski, minister spraw zagranicznych PRL, złożył oświadczenie o nowej, nielegalnej (a więc nie tej z 1968 r.) emigracji. Oświadczył on, że ponad 17 tysięcy osób, przebywających w ostatnich latach za granicą bądź służbowo, bądź prywatnie, odmówiło powrotu do Kraju. Zostało wydane zarządzenie by ludziom, którzy nie uprawiają „antypolskiej działalności” wydawać na ich życzenie paszporty konsularne.

26-10-71

Zmarł w Warszawie, w wieku lat siedemdziesiąt, Bolesław Rumiński, działacz komunistyczny, ostatnio wiceprzewodniczący Rady Państwa PRL. ■ Rzeka Wieprz w województwie lubelskim została zatruta na odcinku 130 km. Sprawcą zatrucia jest cukrownia w Klemensowie. ■ Czy nie za dużo: Bułgaria przystępuje w bieżącej pięciolatce do rozbudowy w Łowiczu fabryki-gigantu, która ma produkować 250-300 tysięcy samochodów osobowych rocznie. W chwili obecnej fabryka ta montuje „Moskwicze” i „Fiaty”. PRL zaś podpisała umowę z „Fiatem” o zakup licencji na małolitrażowy samochód osobowy. Umowa przywiduje produkcję roczną minimum 150 tys. sztuk samochodów w nowej fabryce samochodów osobowych w Tychach i Bielsku Białej. Pierwsze polskie małolitrażowe „Fiaty” mają się ukazać w 1974 roku; uruchomienie seryjnej produkcji ma nastąpić w rok później. Jednocześnie prasa polska podaje o gwałtownym obniżeniu się jakości polskich „Fiatów”, „Syren” i „Warszaw”. 60 % samochodów dostarczanych z Żerania powoduje reklamacje. Główną przyczynę złej jakości należy upatrywać w nadmiernym forsowaniu rozmiarów produkcji w stosunku do możliwości fabryki. ■ Prasa krajowa podaje, że w roku 1971 Polska zakupiła pięciokrotnie większe ilości mięsa niż w analogicznym okresie roku ubiegłego. Zakupiono również dwukrotnie więcej samochodów osobowych (10.000 sztuk), motocykli i tkanin jedwabnych. Więcej jest na rynku importowanych aparatów fotograficznych i mebli. Ostatnio rząd PRL przeznaczył 30 milionów złotych na dodatkowy import trykotażu, konfekcji i obuwia. ■ Lucjan Motyka został odwołany ze stanowiska ministra Kultury PRL i mianowany ambasadorem Polski w Czechosłowacji.

27-10-71

Witold Trampeżyński został mianowany ambasadorem PRL w Waszyngtonie. ■ Korespondentem PAP w Pekinie został mianowany redaktor St. Barteczka.

31-10-71

W roku bieżącym Kościół Katolicki w Polsce otrzymał 480 nowowyświęconych kapłanów (w roku 1970 — 381, w roku 1969 — 406). W diecezjalnych seminariach duchownych w 1970 roku było 3.131 alumnów, a w seminariach zakonnych — 1.098. ■ Grupa misjonarzy polskich, księży sercanów, wyjechała do Konga i Indonezji. W sumie na Sumatrze będzie 11-tu polskich księży, a w Kisandze (Kongo) — 7-miu. ■ W Warszawie rozpoczął się kurs szkolenia kandydatów do pracy w krajach niedorozwiniętych. Kurs ten prowadzony jest przy studium afrykanistycznym Uniwersytetu Warszawskiego.

1-11-71

Dyrekcja Polskich Linii Lotniczych LOT wprowadziła zakaz palenia tytoniu we wszystkich samolotach obsługujących linie krajowe. ■ Ks. Metropolita Krakowski, kardynał Paweł Wojtyła, obchodzi 25-ciolecie kapłaństwa. ■ Zmarła w Warszawie, w wieku lat 71, Jadwiga Smosarska, jedna z pierwszych aktorek polskiego filmu.

2-11-71

Zmarła w Warszawie, w wieku lat 83, Janina Porazińska, seniorka literatury dla dzieci i młodzieży, na której utworach wychowały się trzy pokolenia.

5-11-71

W 26-tą rocznicę śmierci Wincentego Witosa, w jego obejściu w Wierchosławicach, otwarto stałą wystawę pamiątek. ■ Na 14 tysięcy zakładów przemysłowych w PRL odprowadzających ścieki do rzek i jezior tylko 2 tysiące ma urządzenia do oczyszczania tych ścieków. Na niektóre miasta śląskie spada rocznie na kilometr kwadratowy od 500 do 1.000 ton pyłu — dużo więcej niż w wielu przemysłowych metropoliach świata. ■ Na placach skladowych lubelskich cegielni leży 400 tysięcy sztuk cegły, której handel nie odbiera. Cegielniom grozi zahamowanie produkcji. Niemniej prywatny klient cegieł zakupić nie może bez uprzedniego starania się o ich przydział w Radzie Narodowej. ■ PRL zawarła w Moskwie umowę handlową ze Zw. Sowieckim na dostawę 1,5 miliona ton zboża, zaś Zw. Sowiecki kupił w St. Zjedn. zboże, kukurydzę, jęczmień, owies za sumę 136 miln. dol.

8-11-71

Czterech studentów ormiańskich szukało schronienia w ambasadzie brytyjskiej w Moskwie, chcąc emigrować do Wielkiej Brytanii. Po 32-ch godzinach namów i preswazi byli zmuszeni do opuszczenia ambasady.

9-11-71

W Moskwie ogłoszono listę nagród państwowych z dziedziny literatury, sztuki i nauki. Między innymi nagrodę otrzymał poeta Aleksander Twardowski. Twardowski od szeregu miesięcy jest bardzo ciężko chory. ■ W Moskwie zmarł, w wieku lat 71, wybitny reżyser sowiecki Michaił Romm.

14-11-71

W bieżącym miesiącu ma być oddane do użytku krakowskie lotnisko, znajdujące się w przebudowie prawie od roku.

15-11-71

Robotnicy stoczni jugosłowiańskich w Splicie zagrozili władzom nie tylko strajkiem ale i „poważnymi zaburzeniami”. Powodem niezadowolenia jest fakt, że premie eksportowe za statki budowane dla Zw. Sowieckiego (głównego odbiorcy) są utrzymane na poziomie 1965 roku w przeciwieństwie do premii za dostawy dla świata zachodniego, które są stale podwyższane.

ZACHÓD — EMIGRACJA

15-10-71

Fundacja Kościuszkowska organizuje, przy współudziale Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, kurs letnich studiów o Polsce. Kurs będzie miał miejsce w Krakowie od 10 lipca do 21 sierpnia 1972 roku. Kurs ten obliczony jest na 50 osób. Przyjęci kandydaci będą mieli pokryte całkowicie koszty pobytu w Polsce, natomiast będą musieli pokryć sami koszty przejazdu do Polski i z powrotem. Termin składania podań: do dnia 15 stycznia 1972 roku. ■ Nowa próba dywersji: w Londynie została utworzona Rada Polonii Brytyjskiej. Ma ona zajmować się m.in. „krzewieniem obywatelstwa w Wielkiej Brytanii” oraz organizować wycieczki do Polski. We władzach Rady znaleźli się pp. Henryk Archutowski, Tadeusz Korycki, Adam Krajewski. ■ Władze Izraela odmówiły prawa osiedlenia się 18-toosobowej grupie Murzynów wyznania judaistycznego. Dotychczas 180-ciu Murzynów tego wyznania osiedliło się w Izraelu. ■ Prof. Jerzy Wojciechowski zorganizował na początku października, na uniwersytecie w Ottawie, międzynarodową konferencję na temat klasyfikacji nauk. Uczni zaproszeni z PRL nie otrzymali paszportów. Byli to: prof. St. Dobrowolski z Uniwersytetu Warszawskiego i Ks. dr St. Kamiński, dziekan wydz. filozofii z KUL-u.

20-10-71

W Berlinie na konkursie dyrygenckim ufundowanym przez Herberta von Karajan, Antoni Wit, dyrygent Filharmonii poznańskiej zdobył jedną z dwóch równorzędnych nagród i srebrny medal. ■ W Londynie powstała fundacja *Writers and Scholars International* mająca na celu wydawanie kwartalnika *Index*, który ogłaszać będzie prace autorów czy uczonych nie mogące się ukazać, czy też odrzucone, przez cenzurę w krajach totalitarnych. Pierwszy numer kwartalnika *Index* ukaże się prawdopodobnie w styczniu 1972 roku i zawierać będzie nowelle M. Dżilasa. Prezesem fundacji oraz redaktorem pisma jest Michael Scammell, który oświadczył, że celem fundacji nie jest akcja polityczna i że fundacja nie będzie występowała w obronę prześladowanych pisarzy czy naukowców. ■ Papież Paweł VI osobiście ogłosił błogosławionym ojca Maksymiliana Kolbe. Na uroczystości beatyfikacyjne przybyła do Watykanu dwutysięczna grupa księży i świeckich z Polski. Drugie tyle Polaków przybyło z emigracji. Na uroczystościach znalazła się również duża grupa katolików z NRF. Polskie władze państwowe reprezentowali: wiceminister Aleksander Skarżyński i ambasador w Rzymie Wojciech Chabasiński. Papież odbył z nimi rozmowę, a następnie przyjął na specjalnej audiencji wszystkich polskich pielgrzymów. ■ W Bonn została otwarta wystawa polskiej grafiki.

21-10-71

W Insel Verlag ukazała się, w przekładzie na język niemiecki, książka Mariana Brandysa „Maria Walewska”. ■ *Kronika kanadyjska*: Na uniwersytecie of Western Ontario w London powstało Towarzystwo Czowskiego (*Sir Casimir Czowski Society*). Inicjatorami są inżynierowie a jednym z założycieli prof. Edward Nowak. Inauguracyjny wykład wygłosił Sir Bernard Lovell, dyrektor Jodrell Bank. ■ W Montrealu, z okazji 150 rocznicy urodzin Cypriana Norwida, odbyło się symposium z udziałem licznych slawistów. ■ Rząd federalny ustosunkował się pozytywnie do zaleceń specjalnej komisji, która badała problemy dwujęzyczności i dwukulturowości w

Kanadzie. Stanowisko rządu sformułował prem. Trudeau 8 października na dzień przed Kongresem Ukraińców w Kanadzie i zjazdem konstytucyjnym Młodzieży Polonii Kanadyjskiej. Kanada — stwierdził p. Trudeau — uznaje dwa języki oficjalne, ale też wielokulturowość kraju. Celem zapewnienia każdej grupie, która tego pragnie, rozwoju swoich właściwości kulturowych rząd powoła odpowiednią komórkę, która wspierać będzie działalność instytucji kulturalnych, instytutów badawczych itp. Niezależnie od tego rząd przyjdzie z pomocą w wydawaniu podręczników szkolnych dla nauki „trzecich” języków. Akcja rządowa zmierza oczywiście do stworzenia szerokiej platformy współżycia i współdziałania wszystkich grup etnicznych w ramach jednolitego i zjednoczonego państwa. ■ Konserwatywny rząd prowincji Ontario, który po 28 latach władzy uzyskał znowu zwycięstwo w wyborach, w dniu 21 października, zapowiedział wprowadzenie „trzecich” języków w trzech ostatnich klasach szkół średnich, jeśli znajdzie się oczywiście odpowiednia ilość kandydatów. ■ W wyborach ontaryjskich zdobyli mandaty trzej kandydaci pochodzenia polskiego: Bernard Newman (zmienione nazwisko), Paul Yakabuski i dr Jan Duksza. Dwaj pierwsi zasiadali w poprzedniej Izbie. Yakabuski, należy do partii konserwatywnej i wywodzi z Kaszubów, pierwszych osadników polskich w tej prowincji. Dr Duksza należy do Nowej Partii Demokratycznej i zdobył po raz pierwszy mandat w okręgu Parkdale-Toronto. Jednym z jego przeciwników był adw. Kazimierz Bielski, prezes Zarządu Głównego Kongresu Polonii Kanadyjskiej, który kandydował z ramienia partii konserwatywnej. W ten sposób w każdej partii znajduje się jeden poseł pochodzenia polskiego. ■ Stowarzyszenie Techników Polskich w Kanadzie wysłuchało na walnym zjeździe w Ottawie 16 października referatu prof. A. Bromke o położeniu Polski i roli jej w polityce międzynarodowej. Charakterystyczne jest, że Adam Bromke sugerował zmianę nastawienia do Polski. Dowodził, iż w ten sposób ułatwi się jej uniezależnianie się od ZSSR, rozluźnianie form komunistycznych. Znamienne jest także że na Kongresie Ukraińców podobny referat miał prof. Tarnopolski, pochodzenia ukraińskiego, prawnik, dziekan wydziału w Windsor, specjalista problemów konstytucyjnych i doradca w tych zagadnieniach p. Trudeau. Dowodził on, że grupa ukraińska będzie zamierała, jeśli nie będzie miała kontaktu z Ukrainą sowiecką. Nieliczni nowi imigranci przybywają jedynie z Polski lub Jugosławii. Zdaniem jego nawiązanie dobrych stosunków z ZSSR może spowodować przyływ imigracji i dostęp do prawdziwych źródeł kultury ukraińskiej.

22-10-71

Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury otrzymał komunistyczny pisarz chilijski Pablo Neruda (prawdziwe nazwisko Neftali Ricardo Reyes Besualto). Pablo Neruda w 1953 roku otrzymał leninowską nagrodę pokoju. Jest obecnie ambasadorem Chile we Francji. ■ Prof. Wiktor Weintraub został pierwszym profesorem katedry języka i literatury polskiej im. A. Jurzykowskiego w Harvardzie, ufundowanej przez Fundację Jurzykowskich. Prof. Weintraub wykładał dotąd w Harvardzie również literaturę polską.

23-10-71

W Londynie rozpoczął się światowy zjazd b. kawalerzystów polskich z lat 1914-1945. Zjazd odbywał się pod protektoratem generałów: S. Kopańskiego, S. Dembińskiego i S. Maczka i został zorganizowany w ramach Zrzeszenia Kół Pułkowych kawalerii pod przewodnictwem gen. K. Rudnickiego. ■ W Londynie odbył się Walny Zjazd Zw. Dziennikarzy R.P. Prezesem został wybrany po raz trzeci Zygmunt Stermiński. ■ W New Yorku odbył się Zjazd Stronnictwa Narodowego w USA, który obradował pod przewodnictwem prof. St. Smoleńskiego z Chicago. Nowy Zarząd Str. Nar. w USA ukonstytuował się z prezesem inż. Gawlikowskim na czele.

25-10-71

Kardynał Slipyj wystąpił na Synodzie w Rzymie z gwałtownym oskarżeniem polityki watykańskiej, zarzucając, że Watykan nie interweniował na korzyść 6 milionów Ukraińców wyznania greko-katolickiego, prześladowanych w bloku wschodnim; nie zaprotestował gdy patriarcha moskiewski Pimen ogłosił w obecności przedstawicieli Watykanu likwidację Unii oraz odmówił stworzenia patriarchatu greko-katolickiego. Greko-katolicy w Polsce pozbawieni są biskupa od lat 30-tu, ponadto żaden ksiądz greko-katolicki nie został dopuszczony na Synod. ■ Georges Bidault, b. minister spraw zagranicznych Francji, oświadczył w prasie, iż doszły do niego wiadomości, że Watykan zakazał kardynałowi Mindszentemu ogłoszenia pamiętników, które opracował w okresie dobrowolnego odosobnienia w ambasadzie amerykańskiej w Budapeszcie. ■ W czasie wizyty Kosygina w Kanadzie, która miała miejsce od 17 do 22 października br., odbyły się masowe demonstracje we wszystkich miejscach jego pobytu: w Ottawie, Montrealu, Vancouverze, Edmonton i Toronto. Demonstracje były organizowane przez organizacje ukraińskie, żydowskie oraz grupy protestujące przeciwko prześladowaniom religijnym. Kosygin musiał zrezygnować z odwiedzenia zakładów General Motors ze względu na to, że pracuje tam wielu robotników pochodzenia ukraińskiego. ■ W Monachium zmarł, w wieku lat 60, Wołodimir Stachiw. Był on wybitnym publicystą ukraińskim, związanym z kołami nacjonalistycznymi. Przez szereg lat był redaktorem naczelnym *Suczasnój Ukrainy*, a później *Suczasnosti*. Z redakcji *Suczasnosti* został on w ub. roku usunięty na skutek konfliktu z grupą Lebedia.

26-10-71

Ogólne Zgromadzenie Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku zdecydowało przyjąć do Narodów Zjednoczonych Chińską Republikę Ludową, usuwając jednocześnie przedstawicielstwo Formozy. Uchwała ta została przyjęta 76-ciu głosami przeciw 35 i przy 17-tu wstrzymujących się. ■ Kanclerz Niemiec Zachodnich, Willy Brandt otrzymał nagrodę pokojową Nobla. ■ W Andach Peruwańskich grupa polskich alpinistów zdobyła 17 szczytów, w tym 7 dziewiczych. ■ Jugosławia zamierza do 1975 roku osiągnąć taką sytuację ekonomiczną, która umożliwi wymienialność dinara.

27-10-71

Młodzi Francuzi pochodzenia ukraińskiego wystosowali List Otwarty do prezydenta Francji w czasie wizyty L. Breżniewa w Paryżu, apelując aby Francja interweniowała w obronie wolności ludzi i słowa w Związku Sowieckim, a specjalnie w sprawie zwolnienia więźniów politycznych. W pierwszym rzędzie idzie o zwolnienie bpa obrządku greko-katolickiego Wętyczkowskiego, który w roku 1969 został skazany na 3 lata więzienia oraz młodego historyka ukraińskiego W. Moroza, skazanego na 9 lat. Do apelu dołączyli się czołowi intelektualisci francuscy: Pierre Pascal, Gabriel Marcel, Henry Troyat i Jules Romain.

28-10-71

Juliusz Katz-Suchy, dziennikarz i dyplomata PRL zmarł w Aarhus, Dania, w wieku lat 69. Katz-Suchy opuścił Polskę w początku 1969 roku. ■ Izba Gmin większością 112 głosów uchwaliła zasadę przystąpienia Wielkiej Brytanii do wspólnego rynku. Jednocześnie identyczną uchwałę podjęła Izba Lordów 451 głosami przeciw 58. ■ Witold Lutosławski dyrygował orkiestrą w czasie „Styryjskiej Jesieni 1971”. W koncercie wzięła udział śpiewaczka Anna Malewska-Madey wykonując m.in. „5 pieśni” (słowa Kazimiery Iłakowiczówny). ■ Zmarł w Chicago Kazimierz Wiehler, kompozytor, twórca pieśni i badacz polonijnego folkloru. Był on jednym z organizatorów życia kulturalnego Polonii w USA.

30-10-71

W Domu Polskim w Melbourne. (Australia) staraniem Towarzystwa przyjaciół paryskiej *Kultury*, odbył się wieczór Andrzeja Chciuka, który mówił o swoich wrażeniach z podróży po Europie i Izraelu. ■ Prof. Jerzy Toeplitz, b. dyrektor Szkoły Filmowej w Łodzi, przyjął zaproszenie uniwersytetu Latrobe w Melbourne na katedrę filmową. Zaproszenie jest na dwa lata. Prof. Toeplitz jest przewidziany na rektora mającej powstać Narodowej Szkoły Filmu i Telewizji w Australii. ■ W Szwajcarii odbyły się wybory do parlamentu federalnego, w których po raz pierwszy kobiety uzyskały prawo głosu. Nie wpłynęło to ani na większe ożywienie wyborów, ani na zmianę układu politycznego w Szwajcarii.

31-10-71

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów we Włoszech obchodziło 25-tą rocznicę swego istnienia. W tymże dniu miał miejsce w Rzymie, w sali przy polskim kościele Św. Stanisława, XVII-y walny zjazd delegatów Stowarzyszenia. Prezesem w dalszym ciągu został wybrany Witold Zahorski, wiceprezesem Adam Iwanejko, sekretarzem Roman Szenwicz, a skarbnikiem Władysław Szydłowski. ■ Kongres Polonii w Ameryce przyznał doroczną nagrodę „Heritage Avard” wybitnemu matematykowi polskiemu, prof. St. Ulamowi, za jego osiągnięcia naukowe na uniwersytetach amerykańskich i za zasługi w pracy społecznej w Ameryce.

1-11-71

Strajk górników hiszpańskich w Asturii, który wybuchł na początku października br., prawdopodobnie zostanie w najbliższych dniach złamany przez masowe dostarczenie węgla przez PRL. Nie jest to pierwszy wypadek łamania strajków hiszpańskich przy pomocy Polski. ■ Po wyjeździe kardynała Mindszenty z Budapesztu Watykan cofnął zakaz dla księży węgierskich należącego do organizacji politycznych pod karą ekskomuniki. Ten zakaz dotyczył w pierwszym rzędzie tzw. „księży pokoju”, z których szereg jest posłami do parlamentu. ■ W teatrze düsseldorfskim odbyła się prapremiera sztuki Sławomira Mrożka „Szczęśliwe wydarzenia” (*Kultura* Nr 5/284) w reżyserii Peter Arensa. ■ W Hanser Verlag ukazała się książka Karl Dedeciusa „Deutsche und Polen” o wymianie kulturalnej polsko-niemieckiej od XIII wieku do chwili obecnej. ■ Ośrodek Studiów Emigracyjnych przy uniwersytecie Minnesota przystąpił do pracy nad historią Polonii Amerykańskiej, uzyskując na ten cel środki z Fundacji Jurzykowskich.

2-11-71

Na czterech polskich cmentarzach wojennych we Włoszech odprawili nabożeństwa biskupi krajowi obecni w Rzymie bądź na synodzie biskupów, bądź pozostali jeszcze po uroczystościach związanych z beatyfikacją o. Maksymiliana Kolbe. Na Monte Cassino odprawił mszę żałobną i wygłosił kazanie ksiądz kardynał Stefan Wyszyński, prymas Polski. Apelu poległych dokonał prezes SPK Witold Zahorski, który ponadto wręczył biskupowi częstochowskiemu Krzyż 25-lecia bitwy o Monte Cassino jako votum byłych żołnierzy polskich do częstochowskiego sanktuarium. Obecnych na uroczystości było ponad 300 osób, wśród nich przedstawiciele włoskich władz cywilnych i wojskowych. ■ Pomimo zakazu papieża 15-tu biskupów ukraińskich pod przewodnictwem kardynała Józefa Slipeja postanowiło odbyć w Rzymie swój synod. Organizatorzy tego synodu zaznaczają, że nie oznacza to zerwania stosunków ze Stolicą Apostolską. Przypuszcza się, że synod podejmie uchwałę o wybieraniu własnych biskupów oraz zadecyduje o wyborze następcy kardynała Slipeja.

3-11-71

Nagrodę Nobla z dziedziny fizyki przyznano profesorowi Dennis Gabor z Imperial College w Londynie. Nagrodę Nobla z dziedziny chemii dr. Gerhardowi Herzbergowi z Ottawy (Kanada). ■ Prasa francuska donosi, że polski wiceminister Spraw Wojskowych gen. Chocha ma przybyć do Francji na zaproszenie francuskiego szefa sztabu generalnego, gen. Maurin. Jest to pierwsza tego rodzaju wizyta od czasu wojny. ■ Polski Klub Artystyczny w USA rozpiął konkurs literacki dla młodzieży polonijnej ze szkół typu licealnego wyznaczając dwie nagrody: a) za opracowanie w języku polskim i b) za tłumaczenie z angielskiego na polski fragmenty dzieła literackiego.

4-11-71

UNESCO obchodziło dwudziestopięcioletnie swego istnienia. ■ Według danych ogłoszonych przez Narody Zjednoczone, na świecie wydaje się 200 tys. miliardów dolarów rocznie na cele wojskowe. Reprezentuje to 6,5 % dochodu światowego brutto. ■ Na międzynarodowych targach filmowych MIFED w Mediolanie film telewizyjny Andrzeja Wajdy „Brzezina” otrzymał jedną z dwóch równorzędnych pierwszych nagród.

5-11-71

W Londynie odbył się XV Światowy Walny Zjazd delegatów Związku Inwalidów wojennych P.S.Zbr.

8-11-71

Szef dyplomacji watykańskiej mgr. Agostino Casaroli udaje się do Warszawy dla przeprowadzenia rozmów z czynnikami rządowymi PRL. ■ Zmarł w Londynie, w wieku lat 76, mjr Czesław Święciecki, członek Związku Walki Czynnej w latach 1912-1914, szef sztabu Związku Strzeleckiego do wybuchu 2-ej wojny światowej.

9-11-71

W Chicago powstała nowa Księgarnia Polska p.n. „Polonia”, przy której urządzona jest stała wystawa obrazów Grupy Artystów Plastików polsko-amerykańskich. W uroczystym otwarciu księgarni wzięło udział ponad 150 przedstawicieli organizacji polonijnych, kół artystycznych i prasy.

10-11-71

W związku z przeprowadzaniem w Portugalii ogólnej reformy nauczania dokonywana jest modernizacja całego aparatu administracji szkolnej od struktury Ministerstwa Oświaty poczynając. Autorem tej generalnej reorganizacji jest prof. Jerzy Langrod z Paryża, delegowany do tej misji przez O.C.D.E. W tekście urzędowych rozporządzeń ustawodawczych wyrażone jest imiennie uznanie dla prof. Langroda za jego „bezcenny wkład osobisty” w dzieło reformy. ■ W Londynie odbył się doroczny Zjazd Zw. Pisarzy Polskich na Obczyźnie. W sprawozdaniu Zarządu stwierdzono, że „Dom Pi-sarza” został już sprzedany, zaś procenty od uzyskanych w ten sposób sum będą służyły na prowadzenie prac Związku. Prezesem Związku wybrano po raz czwarty Teodozję Lisiewicz. Laureatem tegorocznej nagrody Związku został Mieczysław Lisiewicz — za całokształt twórczości literackiej.

12-11-71

W Londynie rozpoczął się IX światowy zjazd Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, połączony z jubileuszem 25-lecia istnienia tej organizacji. ■ Do USA przybył prezes Str. Narodowego na Obczyźnie, dr T. Bielecki, który odwiedza ośrodki polonijne wygłaszając przemówienia na temat bieżącej polityki. Dr Bielecki wygłosił odczyty w Polskim Inst. Naukowym w New Yorku, w S.P.K. w Chicago, w Waszyngtonie i w innych skupiskach polonijnych.

13-11-71

Rada Fundacji imienia Kościelskich w Genewie uchwaliła przyznanie na rok 1971 sześciu nagród literackich po 3.000 Fr. Szw. każda. Nagrody te otrzymali: Adam Czerniawski za twórczość poetycką; Bohdan Cywiński za zbiór esejów historyzoficznych, Zbigniew Zakiewicz za twórczość powieściopisarską oraz — z okazji 10-lecia stnienia Fundacji: Jerzy Harasymowicz za całokształt twórczości poetyckiej, Zygmunt Haupt za całokształt twórczości i Wacław Iwaniuk za całokształt twórczości poetyckiej. ■ Stow. Akademików Polskich w USA zorganizowało w Chicago wieczór autorski Aleksandra Janty.



W ostatniej chwili dowiadujemy się że 1. XI. 1971 zmarł w Chile, w domu starców Fundacji Tołstojowskiej, 91-letni gen. Stanisław Małachowski.

Humor krajowy

W WARSZAWIE MÓWIĄ:

- że trzeba jeszcze w kraju dużo zmienić, żeby było tak jak przedtem...
- że lekarze orzekli, iż Gomułka jest zdrow — może siedzieć...
- że wykryto ostatnio przyczynę pożaru w Czechowicach — Czechowice spaliły się ze wstydu...
- że Akowcy nie znają historii — nigdy nie słyszeli o Gwardii Ludowej...
- że Leonid Breżniew po ostatnim spotkaniu z Gierkiem westchnął ze smutkiem: towarzysz Gomułka! Ten to całował...
- że tow. Moczar jest teraz NIK-im...
- że najlepszym lekarstwem na komunizm jest chinina...

A W KRAKOWIE:

- że po Domagale każdy jest Klasą.

Zebrała Zofia HERTZ

Listy do Redakcji

Nowy Jork, 14 października 1971.

Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł Marcina Wyziembły „Majakowski był i pozostanie” (*Kultura*, lipiec-sierpień 1971) czytałam z rosnącym zdumieniem: postać pięknoducha i sympatyka liberałów za młodu, a karierowicza literackiego w okresie późniejszym wydawała się nie mieć nic wspólnego z nazwiskiem, wymienionym w tytule artykułu.

O młodości Majakowskiego nie brak informacji. W biografii-montażu, napisanej przez Wiktora Woroszyńskiego (*Życie Majakowskiego*, Warszawa, 1966) czytamy, że jeszcze jako uczeń szkoły średniej został on wciągnięty do pracy nielegalnej przez kilku studentów-działaczy partyjnych. Jeden z nich, Iwan Karachan, członek moskiewskiego komitetu bolszewików, opowiada, że wprowadził młodego chłopca do partii jako „dobrze przygotowanego” do pracy rewolucyjnej. Doświadczenia więzienne, które były skutkiem tej pracy, mogły tylko wzmocnić zapał młodego buntownika. Nie został on działaczem partyjnym, lecz buntownikiem pozostał na zawsze. I nawet w okresie, kiedy paradował w słynnej żółtej „kofcie” (żółtych spodni, o których pisze p. Wyziembło, nie nosił nigdy), nie nie wskazywało na to, że skłonny był sympatyzować z politycznie umiarkowanym liberalnym odłamem rosyjskiego społeczeństwa. Toteż nie mogłam opanować zdumienia, czytając, że w marcu 1917 roku zbierał on pieniądze (kwota jest dokładnie podana) na rzecz centralnego organu liberalnej partii kadetów. Miało to rzekomo miejsce w kabarecie literackim, gdzie poeta recytował swoje wiersze; jestem ciekawa, czy recytował wtedy wiersz „Wam”, w którym oświadcza, że raczej aniżeli pójść na front „wolałby podawać kurwom w barze napój ananasowy”.

Zdumienie moje wynikało przede wszystkim z faktu, że właśnie w tym okresie, kiedy Majakowski, według świadectw p. Wyziembły, demonstrował publicznie uznanie dla liberałów, zdarzało mi się widywać go w gronie ludzi o innym obliczu społeczno-politycznym. W 1916-tym i na początku 1917-go roku Majakowski był częstym gościem w redakcji miesięcznika *Lietopiś* i zaprzyjaźnił się z Gorkim, naczelnym redaktorem pisma. *Lietopiś* była wówczas jedynym legalnym organem, który, walcząc z cenzurą, prowadził systematycznie propagandę antywojenną. Polityczną platformą pisma był program, sformułowany na międzynarodowej konferencji lewicy socjalistycznej w Zimmerwaldzie. Czołowi publicyści *Lietopisi*, Bazarow i Suchanow, najostrzejsze swe ataki kierowali przeciwko partii kadetów, której ówczesne hasło brzmiało — *wojna do pobiednawo konca* (wojna aż do zwycięstwa).

Pozostał w mojej pamięci jeden z wieczorów w redakcji *Lietopisi*. Gorki pokazał rękopis poematu Majakowskiego „Wojna i mir” (Wojna i pokój), który tego samego dnia wrócił z cenzury przekreślony od góry do dołu czerwonym ołówkiem. Poproszono autora o przeczytanie poematu. Zdaje mi się, że jeszcze dziś słyszę grzmiący głos, nabrzmiały bólem i gniewem; ude-

zeniami młota padły słowa o „tiefuszcze”, z frontu, w której „na czterdziestu ludzi są cztery nogi”. Kiedy w kwietniu 1917 roku *Lietopiś* przekształciła się w gazetę *Nowaja Żyziń*, Majakowski stał się jej stałym współpracownikiem. 27 lipca ukazał się niesłychanie ostry satyryczny wiersz jego pod tytułem „Skazoczka o krasnoj szapoczkie” (Bajeczka o czerwonym kapturku), skierowany przeciwko kadetom. A jeszcze wcześniej, bo na początku kwietnia, Majakowski (według relacji Iwana Bunina, cytowanej przez Woroszyńskiego) sprowokował awanturę na wystawie fińskiego malarstwa, nie dopuszczając do głosu Pawła Milukowa, ówczesnego ministra spraw zagranicznych i czołowego przywódcy partii kadeckiej. Dziwny to sympatyk kadetów!

P. Wyziembło był zaniepokojony tym, że pięknoduch w zagadkowy sposób przekształcił się w barda rewolucyjnego. Nie było się o co niepokoić. Sytuacja była jasna — Wiktor Szklowski, który znał Majakowskiego z bliska, określił ją po swojemu krótko i dobitnie, mówiąc, że Majakowski „wszedł w rewolucję jak do własnego domu”.

Pozostaje problem stosunku społeczeństwa do Majakowskiego. P. Wyziembło twierdzi z wyraźną satysfakcją, że kariera nie przyniosła pocie upragnionej popularności; „nie cierpieł” go nawet komuniści. Jest to słuszne w odniesieniu do pewnej grupy komunistów — tzw. „napostowców”, krytyków z pisma *Na literaturnom postu*, wydawanego przez RAPP (*Rossijskaja Asocjacja Proletarskich Pisatielej*) — fanatycznych dogmatyków i zaciętych wrogów nowatorstwa w poezji, którzy oskarżali Majakowskiego i jego pismo *Lef* o wszelkie możliwe herezje. I aczkolwiek poeta był lubiany przez młodzież i cieszył się uznaniem ze strony takich ludzi jak Pasternak, Szklowski, Marina Cwietajewa i Roman Jakobson, nie umiał sobie poradzić z przygnębieniem, wywołanym przez brutalne ataki ze strony pisarzy z własnego obozu.

Wszystko, co powiedziałam, sprowadza się do pytania: komu jest potrzebne, jakiemu celowi służy zniekształcenie oblicza romantyka, który się spalał, pragnąc pełni w miłości i rewolucyjności w rewolucji, aż do tragicznego końca swego życia?

Łączę wyrazy szacunku,

Zofia DUBNOWA-ERLICHOWA

Marcin Wyziembło napisał artykuł w którym nie tał niechęci do rewolucji listopadowej w Rosji ani do jej barda, wybitnego zresztą poety, Włodzimierza Majakowskiego. Pani Dubnow-Erlichowa napisała list do redakcji *Kultury*, w którym daje wyraz swemu uwielbieniu dla rewolucji a nawet dla — jak określa — „rewolucyjności w rewolucji” oraz uwielbieniu dla Majakowskiego. A po drodze — odradzie do Marcina Wyziembły.

Ludzkie uczucia, jako że każdy ma prawo do własnych przekonań. Cieszyć się tylko trzeba, że żyjemy w warunkach, w których wolno nam posiadać własne, niezunifikowane poglądy. No i, jako autor, Wyziembło winien się cieszyć, że jego artykuł nie przeszedł nie zauważony, że wywołał reakcję.

Ale nie wszystko może cieszyć. Są w tym liście zdania powodujące refleksję i bezradną zadumę. Skąd u ludzi, którzy bodajże coś nieco przeżyli, tyle wiary zaślepięczej w słuszność własnego stanowiska, w posiadanie patentu na prawdę? I w jaki sposób uchował się ten jakże charakterystyczny ton tych pań, które — bez cienia życzliwości — młodzi Rosjanie zwykli określać zwrotem „ona widziała Lenina”?

Pani Dubnow-Erlichowa zadaje pytanie: „Komu to służy, komu to jest potrzebne...?” Na pewnego rodzaju stylistykę my, ludzie „stamtąd” jesteśmy bardzo wyczuleni. Bo nie nowe to pytanie i nie nowa to stylistyka. To samo

pytanie zadawał w 1947 roku Andriej Żdanow Annie Achmatowej i Michajłowi Zoszczenko, to samo pytanie, jak refren, powtarzało się w nagonce przeciwko Pasternakowi, przeciwko Siniawskiemu i Danielowi, przeciwko Sołżenicynowi. Ba, nawet referat Chruszczowa na XX zjeździe spotkał się ze strony twardego i konsekwentnych z tym samym zarzutem. A pytanie jest groźne, stanowiące w większości wypadków wstęp do akcji policyjnej.

Właśnie, czemu służą ci wszyscy, detronizujący rewolucję, wyciągający na światło dzienne to, o czym władza sowiecka chciała — ponoć w imię interesów rewolucji — nie mówić, nie pisać. Dlaczego ci wszyscy niszczą tak kunsztownie plecioną przez lata swoistą wersję historii rewolucji i Związku Sowieckiego?

Pani Dubnow-Erlichowa jasno i wyraźnie domaga się, by kryterium prawdy stanowiło to, co „tam” zostało wydane i otrzymało zgodę tamtejszej cenzury. Mogę jednak zaręczyć, że większość podanych przeze mnie faktów nie stanowi tajemnicy i dla Szklowskiego i dla Woroszyłskiego. Ale oni ich nie opublikowali i nie opublikują. Nawet nie zamierzają. Dlaczego? Nie do mnie to pytanie.

Najbardziej moja przeciwniczka zdenerwowała się tym, że Majakowski zaniósł zebrane pieniądze do redakcji kadeckiej gazety *Riecz*. No cóż, zamiast się denerwować, lepiej pójść do biblioteki i przejrzeć numer (wystarczy jeden, data podana) tego pisma. Ale co wówczas z efektywnym listem?

Dla korespondentki rosyjskiej „konstytucyjni demokraci” to „kurwy piąke w barze napój ananasowy”. Pani nie chce przyjąć do wiadomości, że była to partia rosyjskiej postępowej, choć umiarkowanej, demokratycznej inteligencji. Partia wielkich uczonych, mężnych prawników, pełnych poświęcenia społeczników. Jeśli pani Dubnow-Erlichowa zada sobie trud przeczytania *Nadzieży Mandelsztam i Sołżenicyna*, dostrzeże, co z tymi ludźmi w Związku Sowieckim zrobiono. I trudno, jeśli szczerzył na nich Majakowski. Ale nie godzi się by pani Dubnow-Erlichowa przyłączała się do chóru prześladowców.

Marcin WYZIEMBŁO

Bermagui, 1 listopada 1971.

Szanowny Panie Redaktorze!

Wdzięczny byłbym *Kulturze* za umożliwienie mi podania do ogólnej wiadomości mego nowego adresu, który, po opuszczeniu przeze mnie Griffith, brzmi jak następuje: Bermagui South, NSW 2547 Australia.

Nie dotyczy to warszawskiego „ZBOWiD”u.

Nieproszone publikacje tej organizacji, nadsyłane w podwójnych egzemplarzach, przez szereg lat zapychały moją skrzynkę pocztową w Griffith. Ale tam istnieje pewna instytucja dobroczynna, która obywatelom miasta dostarcza bezpłatnie plastykowych worków na wszelką nieczytelną makulaturę — do przemiału w papierni. Tak więc zbowidowskie śmiecie, w Polsce dla nas wydawane kosztem nędzy niedopłacanych mas robotniczych, ostatecznie jednak przyczyniało się w Australii do polepszenia losu sparaliżowanych dzieci. Niestety, w Bermagui owa dobroczynna instytucja nie ma swej placówki. Zbowidowskiej makulatury nie mógłbym więc obrócić tu na rzecz jakiegokolwiek sprawy godziwej.

Przy okazji: odnawiając prenumeratę *Kultury* na rok 1972 (przerwaną z powodu trudności materialnych), cieszę się, że wypełniam tym lukę, powstałą przez rezygnację eks-prenumeratora w osobie p. Zygmunta Gabryszewskiego z Chicago. Czytając jego list (nr 9/88), słyszy się echa „Heil

Hitler!”. Nie, *Kultura* nie jest ani filosemicka, ani antysemitka. W sprawach żydowskich jest ona pismem, po prostu, przyzwoitym.

Sądzę też, iż pana Henryka Grynberga nie powinien aż tak bardzo zabolęć (nr 9/288) anonimowy list „Robotnika z Kanady” (nr 6/285). List ten nacechowany jest chamszym tak ponurym, że sztydo samo wyłazi z judaszowego worka, dżgając nie Henryka Grynberga, lecz anonimowego pismaka. Nie wątpię, że *Kultura* właśnie dlatego list ten ogłosiła. Ostatecznie, nam, czytelnikom *Kultury*, nie brak jest wyczucia. Ani rzekomy „Robotnik z Kanady”, ani p. Gabryszewski — nie odebrali mi ani wiary no lepsze ludzkie wartości, ani mego szacunku do pióra i Osoby Henryka Grynberga.

Łączę, Panie Redaktorze, wyrazy mego poważania,

Zbigniew JASIŃSKI

Sztokholm, 13 listopada 1971.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z przerażeniem przeczytałem wypowiedź p. Jerzego Bonieckiego opublikowaną w Nrze 11/290 *Kultury*, w dziale Listy do Redakcji. Autor twierdzi, że „około roku 1980”, a więc już za 10 lat, przewiduje się katastrofy, w wyniku których zginą miliardy ludzi, znaczna część ludności naszego globu, co nastąpi w związku z polucją, eksplozją demograficzną i nieuwzględnianiem problemów ekologii. Jako środek zaradczy proponuje p. Boniecki dezindustrializację, godząc się na „pozbawienie pracy milionów ludzi” (dlaczego nie miliardów?). W słusznym przecuciu, że żaden demokratyczny rząd takiej recepty nie przyjmie, przepowiada w końcu autor, że ustrój demokratyczny „zostanie być może zmuszony do dobrowolnej cesji na rzecz tej czy innej formy dyktatury, rządów totalitarnych”. W związku z powyższą apokaliptyczną *science fiction* chciałbym zadać autorowi pytania następujące. Po pierwsze, czy przewidywana śmierć miliardów ludzi ok. roku 1980 jest powszechnie uznaną hipotezą naukową, a nie izolowanym przypuszczeniem niewielkiej grupy osób? Po drugie, czy katastrofalne zniknięcie rzeźzonych miliardów ma nastąpić, tak nagle, że opinia publiczna krajów demokratycznych nie zdąży poprzez swych parlamentarnych przedstawicieli znaleźć równie dobrych środków zaradczych jak dyktatura? Po trzecie, czy autor wie lub się domyśla, jak właściwie ten proces znikania będzie przebiegał? W wypadku negatywnej odpowiedzi na powyższe pytania nie mógłbym postawić autora określić inaczej jak histeria. Proszę uprzejmie o opublikowanie niniejszego listu, który jak myślę wyraża opinię pogardzaną przez autora z racji „całkowitej bierności” i „ignorancji” — „większości społeczeństwa”. Panowie, nie dajmy się zwariować.

Z poważaniem,

Aleksander PECZENIK

15 października 1971.

Szanowny Panie Redaktorze!

Chciałbym skorygować kilka błędów, które wkrały się do mego artykułu „Odpowiedzialność i dyscyplina na autostradzie” (*Kultura* Nr 10/289). Skoncentrowały się one na stronie 144.

W trzecim wierszu u góry, gdzie jest mowa o prymitywnym społeczeństwie, w nawiasach powinno być „meksykańskie”, a nie „amerykańskie”.

W drugim zdaniu drugiego akapitu powinno być „tu też” zamiast „toteż”, błąd ten powtarza się dwukrotnie.

I wreszcie na końcu tegoż akapitu zostało opuszczonych kilka wierszy, których zasadniczy sens był następujący:

„A mimo to autostrady dają człowiekowi ogromną wolność poruszania się, którą należy cenić, ale wolność tę można utrzymać jedynie za cenę brania na siebie odpowiedzialności, jak również za cenę zachowania dyscypliny na autostradzie. Łamanie tej dyscypliny i uchylanie się od odpowiedzialności niweczy wolność jazdy własnej i jazdy innych”.

Bez tego zdania tytuł artykułu zawisł nieco w powietrzu.

Pozostaję z szacunkiem,

Z. S. SIEMASZKO

14 października 1971.

Szanowny Panie Redaktorze!

Przynajmniej Brukselczyk, że nie wie, jak powiedzieć po chińsku „tak”. Jako jeden z niewielu, a może jedyny czytelnik *Kultury* znający (choć już zapominający) trochę język chiński, wyjaśniam, że „tak” znaczy „shih”. Niestety polska transkrypcja chińskich słów jest mało komu znana i owo dziwne „shih” wymawia się prawie tak samo jak nasze „szy”.

Słótko to ma wiele innych znaczeń. Znaczą one „jest” (lub „być” lub jakakolwiek forma tego słowa, bo chińskie czasowniki nie mają koniugacji), ale znaczą też „tak” i tu jest odpowiedź na pytanie Brukselczyka, jak powiedzieć po chińsku „tak”. Po prostu „szy”!

Często używane wyrażenie „szy pu szy” znaczy tyle co nasze „czy nie tak?” lub francuskie „n'est-ce pas”.

Natomiast „nie ma” (lub „nie mieć”) to nie jest „pu szy”, lecz „mei you” (w naszej wymowie „mej jou” lub nawet „mej joi”). I tak by brzmiała odpowiedź na pytanie: czy masz coś (lub czy „jest” coś) dla prezydenta Johnsona? — choć oczywiście pytanie i odpowiedź mogła być sformułowana inaczej. Jest w chińskim kilka słów znaczących „nie”: „pu”, „mej”, „u” (wu) i inne, ale ze słowem „szy” używa się tylko „pu”. Jak na pierwszą lekcję chińskiego, to chyba dość, więc kończę.

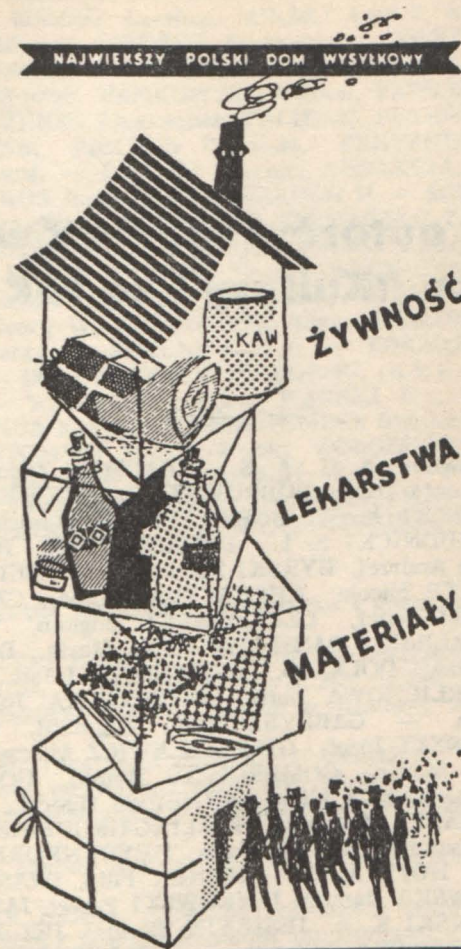
Z wyrazami szacunku,

Ks. Wojciech SOJKA C.M.

Pp. Marek Błaszko (Lille), Zygmunt Gabryszewski (Chicago), Szymon Laks (Paryż), B. H. Łoziński (Londyn), „Student ze Sztokholmu”, Dr Jan Tarczyński (Evanston), Witold A. Zwoliński (Sorel, P.Q., Kanada) — Listów nie zamieścimy. Są to jałowe spory — a często pojątki — że Polacy są antysemitami, a Żydzi są antypolscy. Tego rodzaju dyskusje mogą posłużyć jedynie dalszemu zaognianiu. Należałoby się wreszcie zastanowić nie nad tym kto ponosi winę, ale dlaczego tak się stało.

Pani M. z Toronto: — Nie zamieścimy. W tej sprawie wyjaśniliśmy już nasze stanowisko w listopadowej *Kulturze*. Nawiasem mówiąc możemy zapewnić zarówno Panią jak „Studenta ze Sztokholmu”, że — przynajmniej dotąd — rodziny i znajomi w PRL osób nie tylko pisujących listy, ale nawet współpracujących z *Kulturą* — nie podlegają żadnym represjom.

REDAKCJA



TAZAB
22 ROLAND GARDENS LONDON SW7

Oddział w Stanach Zjednoczonych:
TAZAB OF LONDON
16 STUYVESANT ST., NEW YORK, N.Y. 10003
Telefon: ALgonquin 4-4160

Indeks autorów i tematów rocznika "Kultura" za rok 1971

Spis autorów

ADAMSKI Bogdan, A. G., A. S. — BAUMAN Zygmunt, BIENKOWSKA Danuta Irena, BOBROWSKI St., BOCHENSKI I. M., O. P., BONIECKI Jerzy, BOBR-TYLINGO Stanisław, BRONSKI M., BRUDNICKI S. L., BRUKSEL CZYK, BRYCHT Andrzej, BUSZA Andrzej, BYRSKI Zbigniew. — CHCIUK Andrzej, CHIAROMONTE Nicola, CHORAŻYNA Hanna, CZAPSKA Maria, CZAPSKI Józef, CZAYKOWSKI Bogdan, CZYMBURA Maria. — DALIMIL, DANILEWICZOWA Maria, DAWÉ Bruce, DOBEK Czesław, DOLAN O., DREWNOWSKI Jan, DROZD M., DUBNOWA-ERLICHOWA Zofia, DWORZECKA Jolanta, DŻILAS Milovan. — GABRYSZEWSKI Zygmunt, GARLIŃSKI Józef, GIDYŃSKI Józef, GIERGIELEWICZ Mieczysław, GŁOGOCZOWSKI Marek, GOMBROWICZ Witold, GÖRLICH Joachim G., GRABOWSKA Alina, GRYNBERG Henryk, GUTOWSKI Antoni. — HAUPT Zygmunt, HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw, HERTZ Aleksander, HERTZ Zofia, HEYDENKORN Benedykt, HIŻ Henryk, HOPE A. D. — ISTNER Filip, IWAŃSKA Alicja. — JAGOSZEWSKA Danuta, JANKOWSKI Paweł, JASIŃSKI Zbigniew, JELEŃSKI K. A., JESIENIN Siergiej, JEŻ T. T., JURKSZUS-TOMASZEWSKA Jadwiga. — KALINOWSKI Franciszek, KALINOWSKI Jerzy, KAŁUSKI Marian, KANIOWSKI Michał, KLATOVSKY Karel, KLIGERT Jan, KOBRZYŃSKI Bolesław, KOŁAKOWSKI Leszek, KOLESNYK E. O., KOMORNICKI Stefan, KORAB, KORBOŃSKI Andrzej, KORBOŃSKI Stefan, KORRESPONDENT, KOSTEK Hanna, KOSZELIWEK Iwan, KOWALIK Jan, KOWALSKI Jerzy, KOZŁOWSKI S. W., KRÓTKI Karol J., KRUCZEK Adam, KRZYŻANOWSKI Jerzy R., KUBIAK-ŻYTOMIRSKA Maja. — LAKS Szymon, LEITGEBER Witold, LEŚMIAN Bolesław, LEWANDOWSKI Józef, LEWICKYJ Borys, LONDYŃCZYK, LOURIE Richard, LURCZYŃSKI Mieczysław. —

LOBODOWSKI Józef. — MACIEJOWSKI J., MAREK Zdzisław, MATEJKO Aleksander, MIECZKOWSKI Bogdan, MIEROSZEWSKI Juliusz, MIŁOSZ Czesław, MIRSKI Leszek, MOOS Bruno, MOŻEJKO Edward, MROŻEK Sławomir. — NORT W., NOWAKOWSKI Tadeusz — OCHOCKI Adam. — PAULSON Henry, PALESTER Roman, PANKOWSKI Marian, PAWLKOWSKI Michał K., PECZENIK Aleksander, PELIKAN, PETERSEN Nicolas, PETRYS Tibor, PICCHIO Riccardo, PREYZNER Stanisław, PUACZ Edward. — RAWICZ Marian, REDAKCJA, ROBOTNIK Z KANADY, ROS Jerzy, ROZENSTRAUCH H. — SCHERER Olga, SCHOELL Franck N., SEVER Jan, SIEMASZKO Z. S., SILONE Ignazio, SKALSKI Ryszard, SKOLIMOWSKI Henryk, SMOLIŃSKI Leon, SOJKA Wojciech, Ks., SOŁŻENICYN Aleksander, SOROKA Waław W., STAWAR Andrzej, STEMPOWSKI Jerzy, STROBEL Georg W., SUTKOWSKI Adam, SZAŁOWSKI Antoni, SZPERAK Jerzy. — ŚMIEJA Florian. — TOKARZEWSKI Szymon, T. R. — UCHODŹCY Z GÖTEBORGU, (u. k.). — VINCENZ Stanisław. — WANDYCZ Damian, WARSKI Jan, WEINTRAUB Wiktor, WENDA Krzysztof, WISZNIEWSKI Stanisław, WITTLIN Józef, WOJSTOMSKI Stefan Witold, WOŁODKOWICZ Andrzej, WYGODZKI Stanisław, WYZIEMBŁO Marcin. — ZABRZECKI Aleksander, ZAHORSKI Witold, ZAWADZKA-WETZ Alicja, ZAWISZA B., ZDOLEŃSKI Zbigniew, ZDZIECHOWSKI Paweł.

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

BRUKSEL CZYK: *Widziane z Brukseli* (1/280-2/281, 3/282, 4/283, 5/284, 6/285, 7/286-8/287, 9/288, 10/289, 11/290, 12/291).
BYRSKI Zbigniew: *Czarna lewica w Stanach Zjednoczonych* (6/285).
— *Czy Ameryce grozi faszyzm?* (7/286-8/287).
— *Legenda pierwszego sekretarza* (3/282).
— *Postawa polityczna intelektualistów amerykańskich* (1/280-2/281).
CZYMBURA Maria: *Departament Stanu o Wschodniej Europie* (5/284).
DWORZECKA Jolanta: *Spokojny człowiek z Maine* (4/283).
GŁOGOCZOWSKI Marek: *Freedom on Freeway* (7/286-8/287).
HERTZ Aleksander: *Myśli o sukcesie i niepowodzeniu* (1/280-2/281).
— *Myśli o telewizji* (10/289).
IWAŃSKA Alicja: *Kuba i Chile* (6/285).
JURKSZUS-TOMASZEWSKA Jadwiga: *Konfrontacja dwu samotności* (12/291).
KOŁAKOWSKI Leszek: *Tezy o nadziei i beznadziejności* (6/285).
LEWANDOWSKI Józef: *Rola strachu w socjalizmie* (3/282).
— *Rozważania metafizyczne* (11/290).
LONDYŃCZYK: *Kronika angielska* (1/280-2/281, 3/282, 7/286-8/287).

- MATEJKO Aleksander: *Wolszczyzna* (1/280-2/281).
 MIEROSZEWSKI Juliusz: *Pierwszy rok lat 70-tych i Polska* (1/280-2/281).
 — *Refleksje grudniowe* (3/282).
 — *Refleksje i dygresje* (12/191).
 — *Rozważania o nie-świętej trójcy* (10/289).
 — *Zawieszenie doktryny Breżniewa* (11/290).
 MIŁOSZ Czesław: *Reakcja* (10/289).
 NOWAKOWSKI Tadeusz: *Inny wiatr* (3/282).
 PELIKAN: *Morowa i z charakterem* (11/290).
 RAWICZ Marian: *Eksperyment chilijski* (11/290).
Tekst układu między PRL a NRF (1/280-2/281).
Wydarzenia miesiąca (1/280-2/281, 3/282, 4/283, 5/284, 6/285, 7/286-8/287, 9/288, 10/289, 11/290, 12/291).
 WYZIEMBŁO Marcin: *Historia w czasie teraźniejszym* (12/291).
 ZDZIECHOWSKI Paweł: *Lodówki czy poznanie siebie?* (7/286-8/287).

Obserwatorium

- DŻILAS Milovan: *Wnioski z polskiego Grudnia* (3/282), przeł. z serbskiego Jan Kligert.
Gwarancja praw (3/282).
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Małe matowe lustro* (10/289).
 — *Z czarnego rejestru* (1/280-2/281).
 KLIGERT Jan (tłumacz) ob. Dżilas Milovan.
Pogrom (10/289).
 SIŁONE Ignazio: *Oświadczenie* (3/282).

Artykuły i eseje z dziedziny literatury, sztuki i inne

- BRONSKI M.: *O twórczości Sławomira Mrożka* (9/288).
 CHIAROMONTE Nicola i HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Dialog o Sołżenicynie* (4/283).
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Dziennik pisany nocą* (6/285, 12/291).
 MIŁOSZ Czesław: *Zapisać wczesnym rankiem* (6/285, 9/288, 12/291).

Powieść, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

- BRYCHT Andrzej: *Chmury* (12/291).
 — *Słowa z chaosu* (9/288).
 CHCIUK Andrzej: *Jasio z archipelagu* (7/286-8/287).
 GRYNBERG Henryk: *Ojczyzna (dok.)* (1/280-2/281).
 HAUPT Zygmunt: *Meldunek o nieprzybyciu Wetnowskiego* (7/286-8/287).
 — *Trzy* (1/280-2/281).
 — *Więzień z Isle of Ely* (12/291).

- IWAŃSKA Alicja: *Cocktail etnografów* (4/283).
 JEŻ T. T.: *Rewolucja O.K. — ale jaka?* (1/280-2/281).
 KANIOWSKI Michał (tłumacz) ob. Sołżenicyn Aleksander.
 KORAB: *Oko Dajana* (5/284).
 KWARC Seweryn: *Ojciec i syn* (1/280-2/281).
 MROZEK Sławomir: *Szczęśliwe wydarzenie* (5/284).
 SOŁŻENICYN Aleksander: *Procesja wielkanocna* (4/283) przeł. z rosyjskiego Michał Kaniowski.
 TOKARZEWSKI Szymon: *Z Teodorem Dostojewskim na katordze* (11/290).
 VINCENZ Stanislaw: *Żniwo górskie* (7/286-8/287).
 WARSKI Jan: *Jakie jest twoje hobby?* (7/286-8/287).

Utwory poetyckie

- BIEŃKOWSKA Danuta Irena: *Jedyna godzina życia* (9/288).
 — *Rytm życia* (9/288).
 BUSZA Andrzej: *Biała Róża* (12/291).
 — *Czerwona Róża* (12/291).
 — *Les mains propres* (12/291).
 — *Przeigrana partia* (12/291).
 — *Wiosenne widzenie pani S.* (12/291).
 CHCIUK Andrzej (tłumacz) ob. Dawe Bruce, Hope A. D., Slessor Kenneth.
 DAWE Bruce: *W nowym krajobrazie* (12/291) przeł. z angielskiego Andrzej Chciuk.
 HOPE A. D.: *Australia* (12/291), przeł. z angielskiego Andrzej Chciuk.
 CZAYKOWSKI Bogdan: *Akwarius* (11/290).
 — *Lato 1971* (11/290).
 — *Miejsce* (11/290).
 ISTNER Filip: *Zadziwienie* (9/288).
 JESIENIN Siergiej: *Polska* (9/288) przeł. z rosyjskiego Józef Łobodowski.
 KOBRZYŃSKI Bolesław: *Złoty kubek* (1/280-2/281).
 ŁOBODOWSKI Józef (tłumacz) ob. Jesienin Siergiej.
 MAREK Zdzisław: *Na pogrzebie Wierzyńskiego* (4/283).
 SLESSOR Kenneth: *Biegunowości* (12/291) przeł. z angielskiego Andrzej Chciuk.
 WYGODZKI Stanisław: *Boże Narodzenie 1970* (4/283).

Sprawy krajowe

- ADAMSKI Bogdan: *Ludowy zamek?* (6/285).
Amerykańskie Związki Zawodowe a polski Grudzień (5/284).
Czarna lista (1/280-2/281).
 DREWNOWSKI Jan: *O polskiej gospodarce* (4/283).
Edward Ochab w opozycji (12/291).

- GIDYŃSKI Józef: *Aresztowanie cudzoziemca według prawa PRL* (4/283).
— *Skazywanie bez sądu* (10/289).
- HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Odpowiedź* (3/282).
- HERTZ Zofia: *Humor krajowy* (3/282, 4/283, 5/284, 6/285, 7/286-8/287, 10/289, 12/291).
- Jeszcze o procesie „taterników”* (12/291).
- KORRESPONDENT: *List do Gustawa Grudzińskiego* (3/282).
- LEWANDOWSKI Józef: *List do Jerzego Topolskiego* (4/283).
— *Z Warszawy donoszą* (9/288).
- MATEJKO Aleksander: *Dialog o Polsce* (4/283).
— *Historia naturalna polskiego naukowca* (5/284).
— *O moich byłych władcach* (9/288).
— *Świadomość inteligentka* (7/286-8/287).
- MIECZKOWSKI Bogdan: *Nowoczesny kapitalizm a przyszła Polska* (4/283).
— *Szacunki zmian w płacach realnych w latach 60-tych* (12/291).
- „Na martwej fali”* (1/280-2/281).
- Noty* (10/289).
- Nowe procesy polityczne* (12/291).
- Polski Grudzień* (1/280-2/281).
- Proces przeciwko książkom* (11/290).
- SKALSKI Ryszard: *Rzeczywistość handlu zagranicznego PRL* (6/285).
- Świadek szczeciński* (11/290).
- Włodzimierz Brus o Grudniu* (9/288).
- ZABRZEŃSKI Aleksander: *Technika a polityka* (7/286-8/287).
— *W cieniu układu Bonn-Warszawa* (1/280-2/281).
- Zmiany stawek w taryfach celnych PRL* (9/288).
- Żale Machejka* (7/286-8/287).

Sąsiedzi

- BOBROWSKI St.: *Tragiczna śmierć Kazlauskasa* (10/289).
- DALIMIL: *Koniec czeskiej partii komunistycznej* (7/286-8/287),
przeł. z czeskiego Józef Lewandowski.
- DOLAN O. — LEWANDOWSKI J.: *„Listy”* (5/284).
- Gen. Sikorski w sowieckiej prasie* (4/283).
- KLATOVSKY Karel: *Stosunki kulturalne polsko-czesko-słowackie* (11/290).
- KOSZELIWEC Iwan: *Pięćdziesiątka literatury ukraińskiej* (9/288),
przeł. z ukraińskiego Józef Łobodowski.
- KOZŁOWSKI S. W.: *Przegląd niemiecki* (11/290).
- Kronika* (10/289).
- Kronika czeska: a) Kilka zapytań Aragona; b) Apel emigrantów* (6/285).
- KRUCZEK Adam: *W sowieckiej prasie* (1/280-2/281, 3/282, 4/283, 5/284, 6/285, 7/286-8/287, 9/288, 10/289, 11/290, 12/291).

- LEWANDOWSKI Józef: *Słowacja w XX wieku* (4/283).
— *„68 Publishers Toronto”* (12/291).
— (tłumacz) ob. Dalimil, ob. Sever.
- LEWICKI Borys: *XIV Zjazd KPZS* (6/285).
— *Spis ludności w ZSSR w 1970 r.* (11/190).
- ŁOBODOWSKI Józef: *Zgryźliwe uwagi na tematy ukraińskie* (3/282).
— (tłumacz) ob. Koszeliwec Iwan.
- Ostatnie wiadomości z Czech* (7/286-8/287).
- SEVER Jan: *Przeciw „normalizacji”* (6/285) przeł. z czeskiego Józef Lewandowski.
- SOŁŻENICYN Aleksander: *List otwarty do KGB* (9/288).
- WYZIEMBŁO Marcin: *Majakowski był i pozostanie* (7/286-8/287).

Sprawy i troski

- CHORAŻYNA Anna: *O emigracji polskiej* (1/280-2/281).
- DWORZECKA Jolanta: *Division — blaski, cienie i nadzieje* (1/280-2/281).
— *Gdzie trawa jest zieleńsza* (6/285).
- Emigracja a odbudowa Zamku* (11/290).
- GARLIŃSKI Józef: *Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny* (3/282).
- GRABOWSKA Alina: *Między Wisłą a Jordanem* (9/288).
- GRYNBERG Henryk (tłumacz), ob. Lurie Richard.
- IWAŃSKA Alicja: *O grupach etnicznych* (10/289).
- Jeszcze o nowej emigracji w Izraelu* (1/280-2/281).
- LOURIE Richard: *Wstęp do studiów o polonikach* (7/286-8/287)
przeł. z angielskiego Henryk Grynberg.
- PETERSEN Nicolas: *Emigracja polska we Francji* (1/280-2/281).
- PUACZ Edward: *Kolegium Związkowe* (7/286-8/287).
— *Kryzys prasy polonijnej w USA* (11/290).
— *Wywiad z prez. Mazewskim* (3/282).
- T.R.: *Polskie Liceum nad Marną* (6/285).
- Tragiczna śmierć Marka Orłańskiego* (5/284).
- WANDYCYZ Damian: *2-gi Kongres Naukowców Polskich w Ameryce* (7/286-8/287).
- ZAWADZKA-WETZ Alicja: *Nowa emigracja* (5/284).

Najnowsza historia Polski

- Pan Premier w roli historyka* (12/291).

Kronika kulturalna

- BYRSKI Zbigniew: *2-gi Zjazd Polskich Naukowców w New Yorku* (6/285).

- DANILEWICZOWA Maria: *Krzemieńskie post-scriptum* (7/286-8/287).
- DROZD Marian: *W sprawie żywych ludzi* (1/280-2/281).
- GIERGIELEWICZ Mieczysław: *Filadelfijska zagadka Adama Mickiewicza* (3/282).
- HIŻ Henryk: *Jubileusz Alfreda Tarskiego* (9/288).
Ignorancja czy niechlujstwo? (10/289).
- KOŁESNYK E. O.: *Krzemieńskie zbiory w Kijowie* (7/286-8/287) przeł. z ukraińskiego Józef Łobodowski.
— *Wokół minionego konkursu* (5/284).
- LURCZYŃSKI Mieczysław: *Awantura w Hanowerze* (4/283).
- ŁOBODOWSKI Józef: *Stulecie Łesi Ukrainki* (6/285).
— (tłumacz) ob. Kołesnyk E. O.
- MOŻEJKO Edward: *Nieznany list Żeromskiego* (11/290).
- Nagroda Literacka „Kultury” dla Kazimierza Iłakowiczówny* (9/288).
- PALESTER Roman: *Po śmierci Igora Strawińskiego* (7/286-8/287).
- PICCHIO Riccardo: *Giovanni Maver i jego szkoła* (7/286-8/287) przeł. z włoskiego Wiktor Weintraub.
- SOŁŻENICYN Aleksander: *Bóg* (7/286-8/287).
- SUTKOWSKI Adam: *Kompozytorzy polscy na obczyźnie — Adam Szałowski* (1/280-2/281).
(u.k.): *Vincenz w zwierciadle sowieckim* (7/286-8/287).
- WEINTRAUB Wiktor: *Po co Tadeusz Zieliński?* (10/289).
— (tłumacz), ob. Picchio Riccardo.

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

- BOBR-TYLINGO Stanisław: *Skończcie jak najszybciej Polaków* (1/280-2/281).
- BRONSKI M.: *Be-Be* (12/291).
— *Niść czarna* (11/290).
— *Przedsięwzięcie piśmiennicze* (10/289).
— *Sprawy cieniste* (7/286-8/287).
— *Szok przyszłości* (5/284).
— *Wspomnienia Nadzieży Mandelsztam* (6/285).
- CHCIUK Andrzej: *W Polsce o Australii* (12/291).
- CZAPSKA Maria: *Kronika życia i twórczości Mickiewicza* (10/289).
- DANILEWICZOWA Maria: *Jest czym się niepokoić* (1/280-2/281).
— *Krajowe nowości wydawnicze* (4/283, 7/286-8/287, 11/290).
- HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Okręt i skała* (9/288).
- HEYDENKORN Benedykt: *Przyczynki do historii Polonii Kanaadyjskiej* (7/286-8/287).
— *Publikacje Ukraińców z Kanady* (10/289).
- JELEŃSKI K. A.: *Dział wód* (4/283).
- KALINOWSKI Jerzy: *O prawdzie* (1/280-2/281).
- KALINOWSKI Franciszek: *Świt zwycięstwa* (12/291).

- KOWALIK Jan: *Dzieje słowa polskiego za granicą* (1/280-2/281).
- KRUCZEK Adam: *Rewolucjoniści, policja, represja* (4/283).
- KRZYŻANOWSKI Jerzy: *Polonica Americana III* (4/283).
- KUBIAK-ŻYTOMIRSKA Maja: *„Uzupełniony” Poradnik Bibliograficzny* (5/284).
- LEWANDOWSKI Józef: *Polsko-ukraińskie stosunki w XIX wieku* (12/291).
- ŁOBODOWSKI Józef: *Prof. Kubijowycz* (10/289).
Nadestane nowości wydawnicze (1/280-2/281, 3/282, 4/283, 6/285, 7/286-8/287, 9/288, 10/289, 11/290, 12/291).
- PAWLIKOWSKI Michał K.: *Zadra ocalałych* (6/285).
- SIEMASZKO Z. S.: *Najwyższy czas mówić głośno* (1/280-2/281).
- SMIEJA Florian: *Epopeja Beskidu śląskiego* (4/283).
- WEINTRAUB Wiktor: *W malstroemie epistolografii Krasińskiego* (7/286-8/287).
- WITTLIN Józef: *Post-scriptum do „Soli ziemi” po 35 latach* (3/282).
- ZDZIECHOWSKI Paweł: *Wizja Andrzeja Bobkowskiego* (4/283).

Straty kultury polskiej

- CZAPSKI Józef: *Stanisław Vincenz* (3/282).
- KORBOŃSKI Andrzej i SMOLIŃSKI Leon: *Jerzy Karcz* (4/283).
- REDAKCJA: *Stanisław Vincenz* (3/282).
- SCHERER Olga: *Pamięci Kazimierza Bulasa* (4/283).

Polemiki

- BYRSKI Zbigniew: *O nadziejach Leszka Kołakowskiego* (9/288).
- DREWNOWSKI Jan: *Różne reformy i różni reformatorzy* (9/288).
- HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Pozytywizm barokowy* (7/286-8/287).
- KOŁAKOWSKI Leszek: *Umilknięcie (Odpowiedź na „Słowo”)* (7/286-8/287).
- List ze Sztokholmu* (7/286-8/287).
- MROŻEK Sławomir: *Słowo* (7/286-8/287).
- SKOLIMOWSKI Henryk: *Polacy nie gęsi i swój marksizm mają* (5/284).
- ZAWISZA B.: *Proszę o coś nowego* (9/288).
- ZDOLEŃSKI Zbigniew: *Uwagi i uzupełnienia* (9/288).

O religii bez namaszczenia

- BOCHEŃSKI I. M., O. P.: *Rycerz Niepokalanej w rzeczywistości* (10/289).
Kościół i Państwo (5/284).

Komunikaty

- Australia w 500-letnią rocznicę urodzin Kopernika* (10/289).
Biblioteka Polska w Paryżu (7/286-8/287).
Deklaracja P.P.S. i P.S.L. (7/286-8/287).
Drugi Kongres Naukowców w Nowym Jorku (4/283).
Działalność Bibliotek Polskich w Paryżu i w Londynie (6/285).
Kluby Przyjaciół „Kultury” (5/284).
Komunikat POSKu w Londynie (10/289).
Konkurs na najlepszą książkę pt. „Kraj i emigracja” (1/280-2/281).
Konkurs na powieść (5/284).
Konkurs na znaczek pocztowy USA o motywie kopernikowskim (11/290).
Konkurs POSKu (9/288).
Najlepsze książki roku (1/280-2/281).
Odznaczenia Krzyżem A.K. (10/289).
Stypendia „Polonia Technica” (4/283).
Światowy Kongres Muzyczny (4/283).
Tablica dla gen. Sosnkowskiego (7/286-8/287).
30-lecie Polonia Technica (7/286-8/287).

Wolna trybuna

- SIEMASZKO Z. S.: *Odpowiedzialność i dyscyplina na autostradzie* (10/289).

Tłumaczenia**Z języka angielskiego**

- DAWE Bruce: *W nowym krajobrazie* (12/291) przeł. Andrzej Chciuk.
 HOPE A. D.: *Australia* (12/291) przeł. Andrzej Chciuk.
 LOURIE Richard: *Wstęp do studium o polonikach* (7/286-8/287) przeł. Henryk Grynberg.
 SLESSOR Kenneth: *Biegunowości* (12/291) przeł. Andrzej Chciuk.

Z języka czeskiego

- DALIMIL: *Koniec czeskiej partii komunistycznej* (7/286-8/287) przeł. Józef Lewandowski.
 SEVER Jan: *Przeciw „normalizacji”* (6/285) przeł. Józef Lewandowski.

Z języka rosyjskiego

- JESIENIN Siergiej: *Polska* (9/288) przeł. Józef Łobodowski.
 SOŁŻENICYN Aleksander: *Procesja wielkanocna* (4/283) przeł. Michał Kaniowski.

Z języka serbskiego

- DŽILAS Milovan: *Wnioski z polskiego Grudnia* (3/282), przeł. Jan Kligert.

Z języka ukraińskiego

- KOŁESNYK E. O.: *Krzemieńskie zbiory w Kijowie* (7/286-8/287), przeł. Józef Łobodowski.
 KOSZELIWEK Iwan: *Pięciolatki literatury ukraińskiej* (9/288) przeł. Józef Łobodowski.

Z języka włoskiego

- PICCHIO Riccardo: *Giovanni Maver i jego szkoła* (7/286-8/287), przeł. Wiktor Weintraub.

Listy do Redakcji

- A. S. (10/289), BAUMAN Zygmunt (6/285), BONIECKI Jerzy (11/290), BRUDNICKI S.L. (9/288), BYRSKI Zbigniew (10/289), DOBEK Czesław (6/285), DROZD M. (6/285), DUBNOWA-ERLICHOWA Zofia (12/291), GABRYSZEWski Zygmunt (9/288), GÖRLICH Joachim G. (7/286-8/287), GRYNBERG Henryk (9/288), JAGOSZEWSKA Danuta (4/283), JANKOWSKI Paweł (5/284), JASIŃSKI Zbigniew (12/291), KAŁUSKI Marian (7/286-8/287), KOMORNICKI Stefan (11/290), KORBOŃSKI Stefan (5/284), KRÓTKI Karol J. (3/282), LAKS Szymon (10/289, 11/290), LEITGEBER Witold (7/286-8/286), MACIEJOWSKI J. (9/288), MIRSKI Leszek (5/284), MOOS Bruno (9/288), MROŻEK Sławomir (10/289), NORT W. (1/280-2/281), OCHOCKI Adam (9/288), PAULSON Henry (1/280-2/281), PAWLIKOWSKI Michał K. (6/285), PECZENIK Aleksander (12/291), PETRYS Tibor (6/285), PREYZNER Stanisław (3/282), PUACZ Edward (3/282), REDAKCJA (1/280-2/281, 7/286-8/287), 9/288, 11/290, 12/291), ROBOTNIK Z KANADY (6/285), ROS Jerzy (10/289), ROZENSTRAUCH H. (6/285), SCHOELL Franck N. (11/290), SIEMASZKO Z. S. (12/291), SOJKA Wojciech, Ks. (6/285, 12/291), SOROKA Wacław W. (10/289), STROBEL Georg W. (11/290), SZAŁOWSKI Antoni (11/290), UCHODŹCY Z GÖTEBORGU (1/280-2/281), WENDA Krzysztof (11/290), WISZNIEWSKI Stanisław (7/286-8/287), WITTLIN Józef (4/283), WOJSTOMSKI Stefan Witold (5/284), WOŁODKOWICZ Andrzej (10/289), WYGODZKI Stanisław (1/280-2/281), WYZIEMBŁO Marcin (12/291), ZAHORSKI Witold (6/285).

Bibliografie

- Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1971* (12/291).

Noty biograficzne

BRYCHT Andrzej (9/288).
 KOŁAKOWSKI Leszek (7/286-8/287).
 LEWANDOWSKI Józef (3/282).
 PALEWSKI-PETERSEN Nicolas (1/280-2/281).
 PICCHIO Riccardo (7/286-8/287).
 RAWICZ Marian (11/290).

**Specjalny (2-gi) Numer „Kultury”
 w języku rosyjskim (lipiec 1971)**
 zawierał następujące opracowania:

Od Redakcji.

KOSTEK Hanna: *Szczerze rozmowy. Jesteśmy sobie wzajemnie potrzebni.*
 KOŁAKOWSKI Leszek: *Tezy o nadziei i beznadziejności.*
 STEMPOWSKI Jerzy: *Polacy w powieściach Dostojewskiego.*
 MIŁOSZ Czesław: *Science Fiction i przyjsie Antychrysta.*
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Zmartwychwstanie.*
 GOMBROWICZ Witold: *Berliński dziennik.*
 PANKOWSKI Marian: *Bolesław Leśmian.*
 LEŚMIAN Bolesław: *Piesni Wasylisy Premudroj.*
 WEINTRAUB Wiktor: *Władysław Broniewski.*
 MIEROSZEWSKI Juliusz: *Może zdarzyć się i tak.*
 GUTOWSKI Antoni: *Logika ideologii i logika ekonomii.*
Zaburzenia studenckie — marzec 1968.
 DZILAS Milovan: *Nad dogmatem.*
 KRUCZEK Adam: *Upadek sowieckiego imperium.*
Parę słów o Andrzeju Stawarze.
 STAWAR Andrzej: *Sowiecka biurokracja.*

Różne

Do prenumeratorów „Kultury” (3/282, 6/285).
Komunikat Redakcji o chorobie J. Mieroszewskiego (4/283).
Sprostowanie Redakcji (4/283).
Wkładka katalogowa: Nowości Biblioteki „Kultury” (10/289).
*Wpłaty na fundusz „Kultury” (1/280-2/281, 3/282, 4/283, 5/284,
 6/285, 7/286-8/287, 9/288, 10/289, 11/290, 12/291).*

Wydawnictwa książkowe w roku 1971

Biblioteka « Kultury »

Tom 198 — *List do emigranta* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 34), str. 128.
 Tom 199 — *Staliński Tomasz: Cienie w pieczarze*, str. 368.

Tom 200 — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 19-ty), str. 240.
 Tom 201 — Bogdan Czaykowski: *Point-no-Point* (Poezje), str. 96.
 Tom 202 — *Poznań 1956 — Grudzień 1970* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 35-ty), str. 228.
 Tom 203 — Sołżenicyn Aleksander: *Oddział chorych na raka*, str. 480.
 Tom 204 — Gombrowicz Witold: *Teatr* (Tom V „Dzieł Zebranych”), str. 224.
 Tom 205 — Gombrowicz Witold: *Dziennik (I) 1953-1956* (Tom VI „Dzieł Zebranych”), str. 304.
 Tom 206 — Bieńkowski Władysław: *Drogi wyjścia* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 36-ty), str. 88.
 Tom 207 — Bieńkowska Danuta Irena: *Pieśń suchego języka* (Poezje), str. 64.
 Tom 208 — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 20-ty), str. 256.
 Tom 209 — Bieńkowski Władysław: *Socjologia kłęski (Dramat gomułkowskiego czternastolecia)* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 37-my), str. 136.
 Tom 210 — Stempowski Jerzy (Paweł Hostowiec): *Od Berdyczowa do Rzymu*, str. 416.
 Tom 211 — Gombrowicz Witold: *Dziennik (II) 1957-1961*, (Tom VII „Dzieł Zebranych”), str. 256.
 Tom 212 — Szpotański Janusz: *Satyra podziemna*, str. 76.
 Tom 213 — Gombrowicz Witold: *Dziennik (III) 1961-1966* (Tom VIII „Dzieł Zebranych”), str. 256.
 Tom 214 — Miłosz Czesław: *Prywatne obowiązki*, str.



Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
 11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
 Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Kanadyjski korespondent „Kultury”: Waclaw IWANIUK
 263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. — Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
 91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte
 Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal : 4^e Trimestre 1971.

FUNDUSZ «KULTURY»

(D. e. wpłat ze str. 2)

Two Przyjaciół Kultury w Toronto, po raz trzeci F. 2.200,00
Wpłatę otrzymaliśmy wraz z listem, który drukujemy w całości:

Toronto, 15 listopada 1971.

Szanowny Panie Redaktorze,
Towarzystwo Przyjaciół Paryskiej Kultury w Toronto przesyła czek na \$ 400.00 (\$ czterysta) na Fundusz Wydawniczy Kultury.

Jednocześnie Towarzystwo przekazuje kwotę \$ 100.00 (\$ sto) na budowę Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie oraz kwotę \$ 100 (\$ sto) na Fundusz im. M. Grydzewskiego.

Decyzję o przekazaniu wyżej wymienionych kwot Zarząd Towarzystwa podjął na zebraniu w dn. 12. bm.

W skład Zarządu, poza niżej podpisanymi, wchodzi: Z. Czerniakowski, I. Habrowska-Jellaczyc, B. Krasuski, W. Morawski, R. Retman, J. Jellaczyc.

Prosimy uprzejmie o odnotowanie wyżej podanych wpłat w najbliższym numerze Kultury.

Z poważaniem,

Skarbnik
(—) W. JASINSKA

Prezes
(—) W. IWANIUK



BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 209 - SERIA "DOKUMENTY"
WŁADYSŁAW BIEŃKOWSKI

SOCJOLOGIA KLĘSKI

(Dramat gomulkiowskiego czternastolecia)

zawiera następujące rozdziały:

Przećmowa. — Pytania wstępne. — Program-utopia — czy manewr taktyczny. — Gospodarze bezdroża. — Odbudowa i rozkład aparatu partyjnego. — Koniec jedności i „parcelacja centralizmu”. — Komentarz do wydarzeń marcowych. — Produkty rozkładu. — Rachunek społecznego sumienia. — Kilka wniosków. Oraz ANEKSY: Uwagi o aktualnej sytuacji kraju. — Michała Kaleckiego „Uwagi o planie gospodarczym na lata 1966-1970”. — List autora do Wł. Gomulki z 11 marca 1970 roku. — „Refleksje nad dyscypliną”. List autora do Trybuny Ludu z 5 lutego 1971. — Przed użyciem wstrząsnąć (Refleksje nad zastosowaniem nauki).

Str. 136

Cena F. 14 (dol. 3,25; £ 1.25)

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte.
Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolkowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	R. 1,—	R. 5,85	R. 10,65
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25	F. 7,50	F. 45,00	F. 82,00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty. Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney N.S.W. 2000	\$ A. 1,50	\$ A. 8,00	\$ A. 15,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	—	Sch.A. 200,00	Sch.A. 380,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18.69.23	F.B. 75,00	F. B. 400,00	F. B. 750,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, rua Guira 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523	\$ US 1,50	\$ US. 8,00	\$ US 15,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 7,50	F. 40,00	F. 75,00
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	F. 7,50	F. 40,00	F. 75,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. 482-4673; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel. 586-3825; Z. Michardzinski, 34 Facer Str., St. Catharines, Ontario, Jozef Polkowski, 110 Cobourg Street, apt. 301. Ottawa 2, Telefon: 233-7212; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W., Toronto 145, Ont.; « ZWIĄZKOWIEC », 1475 Queen St. W. Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491	Fl. h. 5,00	Fl. h. 28,00	Fl. h. 54,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 ..	\$ Can. 1,50	\$ Can. 8,00	\$ Can. 15,00
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	DM. 5,50	DM. 30,00	DM. 55,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 12.14431	F. 7,50	F. 45,00	F. 82,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärgsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm.	F. S. 6,00	F. S. 35,00	F. S. 65,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetyński, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Ave., Hollywood, Cal. 90028; Ada Dziewanowska, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W. Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, Tel. LA-1-2305; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346, Edward Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Ave., Jamesburg, N.J. 08531. Edward Puacz, POLONIA, 2903 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R. J. Sas-Babczynski, 15517 Woodruff Ave., Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5436 Chopin, Detroit, Mich 48210, Tel. 899-5165	\$ US 1,50	\$ US. 8,00	\$ US 15,00
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.	12 sh.	£ 3.10.00	£ 6.00.00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	L. It. 900	L. It. 4600	L. It. 9000

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F. 82; półroczna F. 45.
Prześląka pojedynczego numeru: 0,70 F.

Należności można wpłacać przekazem pocztowym na konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY » TOM 208 — ZESZYTY HISTORYCZNE ZESZYT DWUDZIESTY

Zawiera m.in.: W. Babiński: *Prasa angielska w sprawach polskich na przełomie lat 1943-1944*; St. Kirkor: *Próby dobrojenia Polski i Ewakuacja Min. Skarbu w 1939 r.*; Józef Beck: *Preliminaria polityczne do wojny 1939 r. i Komentarze do historii dyplomatycznej wojny 1939 r.*; A. Ciołkosz: „Dzielnica żydowska” obozu w Jabłonie oraz szereg innych artykułów, RELACJE i WSPOMNIENIA — POLEMIKI — RECENZJE i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 256.

Cena F. 18,50 (dol. 4,00; £ 1.50)

TOM 210 — JERZY STEMPOWSKI (Paweł Hostowiec)

OD BERDYCZOWA DO RZYMU

Wybór dzienników podróży wybitnego eseisty i humanisty z okresu przed- i powojennego, które wraz z poprzednio wydanym przez Instytut Literacki tomem „Eseje dla Kassandry”, obejmują znakomitą większość dorobku literackiego niedawno zmarłego Autora.

Str. 416.

Cena egz. F. 35 (dol. 7,25; £ 2,90)

TOM 211 — WITOLD GOMBROWICZ DZIENNIK (II)

1957 - 1961

(TOM VII „DZIEŁ ZEBRANYCH”)

Str. 256.

Cena F. 25 (dol. 5,00; £ 2.00)

TOM 212 — JANUSZ SZPOTAŃSKI

SATYRA PODZIEMNA

Str. 74.

Cena F. 10 (dol. 2,25; £ 0.93)